**UCHODŹCY**
Pomagający bez pomocy

**SYNOD NA NIBY**
Papież nie zmieni Kościoła w Polsce

**LAO, CZEŚĆ!**
Nasze sprawy według „Spiętego”

**MAŁPIE KRĄGŁOŚCI**
Słowa są ostre tylko dla ludzi

**TWOJA REGUŁA**
Sztuka życia według mnichów

Kraków 24 kwietnia 2022 nr 17 (3798) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

# TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

# Co się dzieje z Rosjanami

**ANNA ŁABUSZEWSKA**
Putin i jego poddani

**ARKADIJ BABCZENKO**
Byłem rosyjskim żołnierzem

**WOJCIECH KONOŃCZUK**
Barbarzyńcy w ogrodach Ukrainy

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

# weź czytaj i zasiej nadzieję!

**Już w następnym numerze „Tygodnika” – dużo czytania na wiosnę:**

Sztuka bujania | Prawa dzikich zwierząt | W kosmosie nie ma wojen | Najwspanialszy naród świata
Bieg po wolność | Życie seksualne owadów | Pogoda ducha mimo wszystko

oraz **PREZENT** dla naszych Czytelniczek i Czytelników – saszetka z nasionami najpiękniejszych kwiatów łąkowych: lnu, ogórecznika, żmijowca greckiego, facelii błękitnej, nagietka czy krokosza barwierskiego.

Łąka Powszechna dostępna już od środy **27 kwietnia**,
wyłącznie z podwójnym wydaniem „Tygodnika Powszechnego” – na majówkę i dłużej!

Białystok | pani łąka | RMF CLASSIC | KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL | Kraków | PRZE KRÓJ fundacja

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // RYS. ANNA PRUSIEWICZ / DOLASU

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

# Suwerenni dzięki Wam!

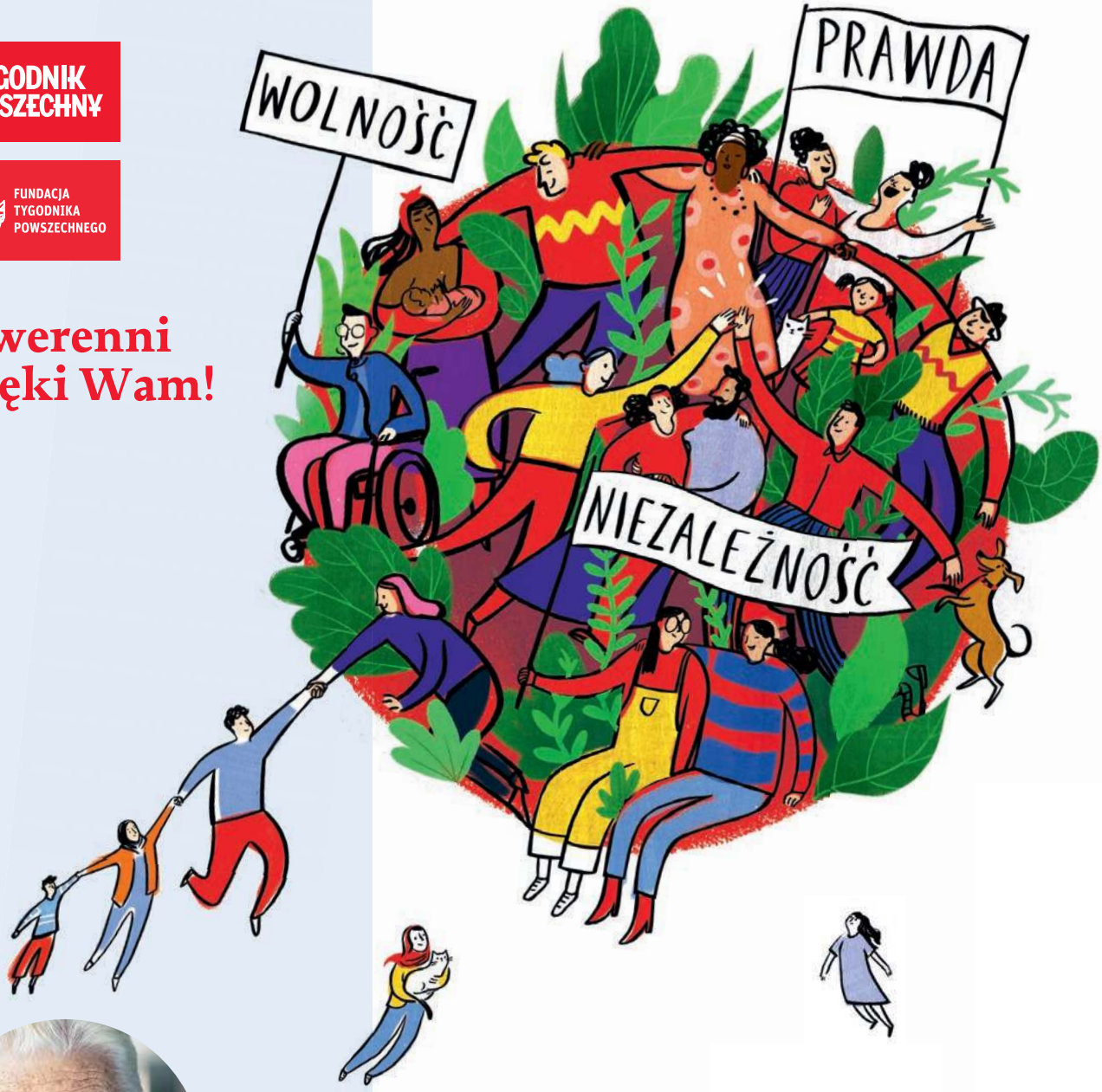

Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.

*Ks. Adam Boniecki*

**1%**

**Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.**

**WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM**
**nr KRS 0000125605**

**Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:**
**Santander Bank Polska S.A.**

**31 1910 1048 2006 1845 1121 0001**

**Więcej informacji:**
**powszech.net/dar**

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA

**22 Druga solidarność**
MARCIN KĘDZIERSKI, EKONOMISTA I POLITOLOG:
*Miliony sfrustrowanych uchodźców mogłyby źle wpłynąć na przyszłość Polski. Ci ludzie muszą pracować i wspinać się po szczeblach drabiny społecznej, by stać się wartością dodaną, a nie tylko kosztem.*

**34 Rozmowy w drodze**
MARCIN CHODUŃ
*Odnowiony, dialogowy, bardziej wspólnotowy – taki Kościół ma się wyłonić z trwającego obecnie Synodu Biskupów. Jak proces synodalny przebiega w Polsce?*

**44 Barbarzyńcy w ogrodach Ukrainy**
WOJCIECH KONOŃCZUK
*Masowe zbrodnie na ludności cywilnej mają charakter planowy i systemowy. Rosyjscy żołnierze zabijają, mszczą się i chcą zastraszyć. Inaczej nie potrafią.*

**60 Krągłości bonobo**
KATARZYNA DZIADOWICZ
*Kanzi nie dzieli słów na kolczaste i smukłe. Ten fakt coś mówi o małpach, ale przede wszystkim może pozwolić lepiej zrozumieć sposób, w jaki ludzie używają języka.*

**64 Skończony pisarz**
ARKADIJ BABCZENKO:
*Wielu z nas strzelało do wszystkiego, co się rusza, a sami byliśmy tylko mięsem armatnim. Pojęcie „rosyjska armia" oznacza hordę agresywnych, uzbrojonych w ciężką broń niewolników.*

**78 Sztuka życia według mnichów**
MACIEJ MÜLLER
*Bezrefleksyjne naśladowanie średniowiecznych zakonników raczej nie przyniesie nam szczęścia. Warto jednak przyjąć generalną zakonną zasadę, by wyznaczyć sobie w życiu cel. Nie musi nim być zbawienie.*

JERZY DUDEK / EAST NEWS // RAFAŁ GUZ / PAP // LAURENTIU GAROFEANU / BARCOFT MEDIA / GETTY IMAGES // DOMENA PUBLICZNA // WIKIPEDIA.ORG // OLEG PETRASYUK / EPA / PAP

**6 Czy leci z nami księgowy**
MAREK RABIJ

**7-11 Obraz tygodnia**

**20-21 Czytania / Widzenia**
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

**KRAJ**

**22 Druga solidarność**
ROZMOWA Z MARCINEM KĘDZIERSKIM, EKONOMISTĄ I POLITOLOGIEM

**27 Stanąć na własnych nogach**
ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK: *Mówią jedna przez drugą. W ich opowieści bomby spadają na miasto, wyją syreny, a one same schodzą do piwnicy*

**31 Kule się kłaniają**
MAREK RABIJ: *Uproszczenie dostępu do broni palnej w Polsce nie jest tak groźnym pomysłem, ale nie poprawi też naszego bezpieczeństwa*

**WIARA**

**34 Rozmowy w drodze**
MARCIN CHODUŃ *o Synodzie Biskupów*

**39 Miłosierdzie równych ludzi**
PIOTR SIKORA: *Przyjęcie pomocy może być trudniejsze niż jej udzielenie*

**41 Gdzie wszystko się zaczęło**
MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z ANTAKYI: *Nauczali tu święci Piotr i Paweł i tu nazwano wiernych chrześcijanami*

**ŚWIAT**

**44 Barbarzyńcy w ogrodach Ukrainy**
WOJCIECH KONOŃCZUK

**47 Siewierodonieck pod ostrzałem**
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z SIEWIERODONIECKA (WSCHODNIA UKRAINA): *Rosjanie szykują się do wielkiej ofensywy na Donbas. Na miejscowości znajdujące się na linii frontu codziennie spadają pociski i rakiety*

ANNA BEDYŃSKA

**TEMAT TYGODNIKA**

**12 Co się dzieje z Rosjanami**
ANNA ŁABUSZEWSKA
Jak dyktator, który postanowił rządzić dożywotnio wielkim krajem, stworzył równoległą rzeczywistość. Jak ludzie uwierzyli, że takie rządy dadzą im szczęśliwe życie w chwale.

**FELIETONY**

**43** ZUZANNA RADZIK
**59** TOMASZ STAWISZYŃSKI
**76** JAN KLATA
**77** PAWEŁ BRAVO
**82** STANISŁAW MANCEWICZ
**82** BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
TOMASZ KUCZBORSKI
DLA NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ NOWA, 1980 R.

Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

**50 Główny hamulcowy Europy**
ŁUKASZ GRAJEWSKI: *Stare dogmaty blokują niemieckie wsparcie dla Ukrainy*

**53 Szwajcaria szuka kremlowskich miliarderów**
AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU: *Inwazja Rosji na Ukrainę zmusza Helwetów do przeanalizowania na nowo swojej roli – państwa neutralnego i bezpiecznej przystani dla pieniędzy oligarchów*

**HISTORIA**

**56 Koniec toksycznego braterstwa**
MACIEJ PIOTROWSKI: *Początki ukraińskiej kultury doby niepodległości związane są z atomową katastrofą sprzed 36 lat. Obecny dramat wojenny przynosi finał rozpoczętych wtedy przeobrażeń*

**NAUKA**

**60 Krągłości bonobo**
KATARZYNA DZIADOWICZ

**63 Śmierć na żywo**
PIOTR SZYMANEK: *Neurolodzy zbadali aktywność mózgu umierającego człowieka*

**KULTURA**

**64 Skończony pisarz**
ROZMOWA Z ARKADIJEM BABCZENKĄ

**68 Boska kontrkultura**
KAROLINA FELBERG: *Świat Dantego trawiły te same konflikty, które rozpalają naszą codzienność*

**71 Lao, cześć!**
KRZYSZTOF STORY: *„Spięty" jest uzależniony od tego, żeby mieć nad wszystkim kontrolę, nawet nad ksywką*

**74 Nie jesteśmy sami**
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Duch śniegów"*

**76 Obcy**
LEKTOR *o książce Anny Arno „Paul Celan. Tam, za kasztanami, jest świat. Biografia"*

**ZMYSŁY**

**78 Sztuka życia według mnichów**
MACIEJ MÜLLER

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

**Kto zamawiał ruskie: jak odkrywamy tajemnice Kremla?**
*Tropy rosyjskich zbrodniarzy i agentów są w sieci dostępne jak na talerzu. Czasem dosłownie* – piszą **WOJCIECH BRZEZIŃSKI** i **AGATA KAŹMIERSKA** | tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

**Miesiąc w nauce [Podkast TP]**
*Co się dzieje z ukraińską nauką? Jak skomunikować się ze sparaliżowanym człowiekiem? Czy słowa mają kształt?*
Zaprasza **ŁUKASZ LAMŻA** | tygodnikpowszechny.pl/podkast

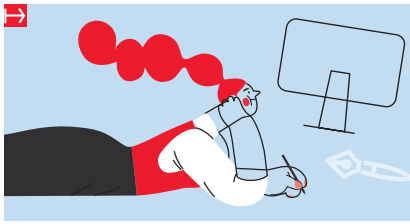

Serwisy specjalne: patrz szerzej
**POLSKA SZKOŁA**
**Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia**
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SZKOLA

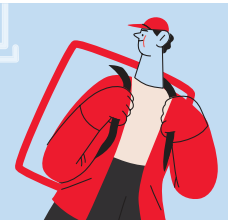

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

# CZY LECI Z NAMI KSIĘGOWY

Od dekad Polska nie zadłużała się równie szybko jak teraz – i od lat nie miała takich problemów z uzyskaniem pożyczek. Zaczynamy się niebezpiecznie bawić w bogate państwo.

MAREK RABIJ

*Warszawa, 13 kwietnia 2022 r.*

Około 3 proc. PKB – mniej więcej tyle warte są pozycje, które od początku roku rząd musiał dopisać do listy tegorocznych wydatków budżetowych. Gdyby przeliczyć je z procentów na liczby, otrzymamy ponad 60 mld zł.

To prawda, nowy rok zaczął się jak w filmach Hitchcocka: najpierw uderzyła inflacja, a potem zaczęła się wojna w Ukrainie i polską granicę przekroczyło w miesiąc ponad 2,5 mln uchodźców, na pomoc którym państwo musiało błyskawicznie wyasygnować 8 mld zł. A przecież nie zdążyliśmy jeszcze posprzątać po pandemii! Podtrzymywanie popytu w wielu sektorach gospodarki za pomocą tarcz antykryzysowych tylko w 2020 r. pochłonęło 187 mld zł.

Rząd uspokaja, że mimo puchnącej listy wydatków sytuacja jest nadal pod kontrolą, bo dzięki szybko rozwijającej się gospodarce (w ub. roku urosła aż o 7,3 proc.) dług publiczny w Polsce nie przekracza 48 proc. wartości PKB. Jesteśmy zatem wciąż daleko od konstytucyjnego limitu zadłużenia, który każe państwu mocno zacisnąć pasa po

przekroczeniu progu 60 proc. W rzeczywistości PiS (podobnie, choć na mniejszą skalę, bawiły się też poprzednie rządy) upycha kolejne wydatki poza budżetem, najczęściej w funduszach celowych, unikając w ten sposób wliczania ich do długu publicznego. Bliższe rzeczywistości są więc obliczenia Eurostatu, który podaje, że na koniec ub. roku nasze zadłużenie sięgało 57 proc. PKB. Nadal nieźle, zwłaszcza gdy porówna się Polskę ze strefą euro, gdzie średnia relacja długu publicznego do PKB sięga obecnie 98 proc.

Wszystko wskazuje na to, że zmierzamy właśnie w tym kierunku. Zapowiedzi zwiększenia wydatków na wojsko aż do 3 proc. PKB (z ich wyjściem poza konstytucyjne limity zadłużenia) dowodzą, że rządzący postanowili zerwać z polityką poprzedników, którzy dług publiczny traktowali jak objaw choroby toczącej państwo. Opozycja, która powinna działać trzeźwiąco na pożyczkowe plany władzy, też zagrzewa ją do rozrzutności: Donald Tusk zgłosił właśnie groteskowy postulat 20 proc. podwyżki dla budżetówki, zarzucając jednocześnie rządowi niedostateczne wysiłki w walce z inflacją. Najpewniej jeszcze w tym roku cichaczem przekroczymy więc wskazany w konstytucji próg 60 proc. PKB. Wszak na same tarcze antyinflacyjne rząd będzie musiał wydać ekstra 34 mld zł (GUS właśnie podał, że w marcu inflacja wzrosła do 11 proc.).

Nie wiadomo tylko u kogo i na jaki procent będziemy się zadłużać. Zapowiedzi resortu finansów, który zamierza zorganizować wirtualne prezentacje dla inwestorów z Europy Zachodniej i Azji, pokazują, że polskie obligacje skarbowe przestają być towarem łatwym do sprzedaży. Na początku kwietnia rząd pożyczał pieniądze średnio na 6 proc. – choć jeszcze rok temu inwestorzy kupujący polskie obligacje skarbowe kazali sobie płacić za takie pożyczki zaledwie 1,5 proc. Winna temu jest nie tylko wojna w Ukrainie. Pożyczkodawcy ewidentnie dostrzegli, że polski rząd dotarł do ściany w polityce upychania swojego długu w kontrolowanych przez siebie bankach, dlatego każą sobie płacić coraz więcej.

Wysoki dług publiczny nie musi być oznaką śmiertelnej choroby państwa. Przeciwnie, może stać się narzędziem stymulującym gospodarkę i wspierającym społeczeństwo obywatelskie. Taka operacja powinna być jednak prowadzona w sposób transparentny dla obywateli, którzy ten dług będą spłacać. O polskiej polityce fiskalnej ostatnich lat można tymczasem powiedzieć wiele, ale nie to, że jest czytelna dla Polaków. ©℗

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

# *Portal Culture.pl bez sekcji rosyjskiej*

RENATA LIS

We mgle antyrosyjskich emocji Instytut Adama Mickiewicza zawiesił sekcję rosyjską portalu Culture.pl. „Tak nakazuje przyzwoitość cywilizowanego człowieka w obliczu rosyjskiego barbarzyństwa i zbrodni, jakich Rosja dopuszcza się na Ukrainie", oświadczyli urzędnicy. Wiele osób może uznać, że to słuszna decyzja – toczy się wojna i nie czas żałować rosyjskich róż, gdy płoną ukraińskie lasy.

Nic bardziej mylnego. Celem sankcji nakładanych na Rosję jest wywarcie presji na reżim Putina, odcięcie go od pieniędzy, które napędzają wojnę, i ukaranie jego popleczników. Bojkot kultury rosyjskiej ma natomiast na celu wytrącenie Rosji z ręki jej *soft power* – żeby nie mogła dłużej ukrywać za Tołstojem i Czechowem swoich zbrodni. Zawieszenie sekcji rosyjskiej Culture.pl żadnego z tych celów nie realizuje – nie ma nic wspólnego z racjonalnością, sprawiedliwością ani skutecznością. Jeśli z czymś się kojarzy, to najprędzej z rasizmem, podobnie jak użyte w komunikacie IAM kuriozalne wyrażenie „przyzwoitość cywilizowanego człowieka". Wyrzucony na bruk zespół sekcji składa się z osób mieszkających w Polsce i szczerze oddanych naszej kulturze. Ich podatki nie zasilają kasy rosyjskiego dyktatora, a wobec inwazji Rosji na Ukrainę zespół od razu zajął jednoznaczne stanowisko. Teksty trafiały do ponad dwumilionowego audytorium, z którego tylko małą część stanowili Rosjanie: do rosyjskojęzycznych Białorusinów, Ukraińców i innych, często mieszkających w Polsce jako uchodźcy polityczni lub wojenni.

Portal powinien zainwestować w trzy sekcje: rosyjską, ukraińską i białoruską. Powstałaby w ten sposób platforma łącząca nas w oparciu o wspólne wartości: przeciwko autorytaryzmowi i imperializmowi, za wolnością, szacunkiem i poszanowaniem prawa. Zamiast tego Polska zdecydowała się na krok, który podsyca animozje narodowościowe wśród wschodnich Europejczyków, a tym samym wpisała się w logikę rosyjskiej wojny. Gdyby zapytać: *cui prodest?* – kto odniósł korzyść z zawieszenia sekcji rosyjskiej – odpowiedź byłaby dla urzędników bardzo przykra. ©

## Minister wieży nie wierzy

**TO JEDEN Z NAJBARDZIEJ** pożądanych zawodów. Szkolenie trwa kilka lat i kosztuje kilkaset tysięcy dolarów. Kandydatów (a nawet kandydatem zostać jest skrajnie trudno) uczy się błyskawicznego myślenia i podejmowania decyzji, panowania nad gigantycznym stresem, asertywności podczas pracy w zespole, wyobraźni przestrzennej, zdolności do przewidywania, a nawet... szybkiej matematyki. Płaci się im także za dbanie o siebie – bo w tym zawodzie długie dyżury mogą się, dosłownie, skończyć katastrofą.

Pod wieloma względami łatwiej jest dziś znaleźć i zatrudnić pilota jumbo jeta niż kontrolera ruchu lotniczego. Mimo pandemii, która wywołała największy w historii kryzys lotnictwa cywilnego, zawód ten można wykonywać w każdym miejscu świata – to główny powód, dla którego kontrolerzy zarabiają dużo, nie tylko jak na polskie warunki (do kilkudziesięciu tysięcy złotych miesięcznie). Dlatego trwającego właśnie konfliktu między nimi a władzami Polskiej Agencji Żeglugi Powietrznej, odpowiadającej za bezpieczeństwo i organizację ruchu lotniczego, nie da się sprowadzić do pieniędzy. Choć politycy, w czasach drożyzny wyczuwający nastroje wyborców, sięgają po populizm. O kontrolerach jako o „niezwykle dobrze zarabiającej, uprzywilejowanej grupie" mówił ostatnio wiceminister infrastruktury.

Po pandemii przyszła wojna na Ukrainie, która jeszcze bardziej zmniejszyła ruch – oraz wpływy z opłat nawigacyjnych – nad Polską. Aby umożliwić misje zwiadowcze NATO, niektóre sektory przestrzeni powietrznej są wyłączone z kontroli cywilnej, co dodatkowo utrudnia pracę na wieżach kontrolnych. Teraz jest więc najgorszy czas na rozpętywanie sporu, który może sparaliżować niebo nad Polską – nawet jeżeli w sporze w PAŻP racje są podzielone. ©℗ MARCIN ŻYŁA

# Granica znowu cierpi

MAREK KĘSKRAWIEC

Aktywiści Grupy Granica oskarżyli Straż Graniczną o obojętność wobec cierpień młodego Jemeńczyka, który w ostatnich dniach leżał rzekomo pobity przez służby białoruskie tuż przy naszej granicy. Polscy strażnicy twierdzą jednak, że po ich interwencji białoruscy pogranicznicy zabrali całą grupę koczujących migrantów.

„Z naszych sprawdzonych informacji nie wynika, aby Jemeńczyk potrzebował natychmiastowej interwencji medycznej. Po przybyciu na miejsce białoruskich służb samodzielnie wstał i wraz z grupą i funkcjonariuszami białoruskimi o własnych siłach oddalił się" – informuje Straż Graniczna na Twitterze. Aktywiści pozostają jednak przy własnej opinii, zarzucając polskim funkcjonariuszom bezduszność i rasizm. Ich zdaniem bliskowschodni migranci nie otrzymają żadnego wsparcia od Białorusinów (kilka tygodni temu zlikwidowali oni centrum pomocy i wypchnęli uchodźców ku granicy z Polską).

Organizacje pomocowe alarmują, że z nastaniem wiosny w przygranicznych lasach pojawia się coraz więcej uchodźców błagających o wsparcie. Wiele osób jest też zatrzymywanych. W czwartkową noc było to 39 migrantów z Sudanu, Egiptu i Tadżykistanu. Straż Graniczna zatrzymuje również samych aktywistów za udzielanie pomocy, a w niektórych przypadkach prokuratorzy wnioskują wręcz o areszty. W środę białostocki sąd odrzucił taki wniosek wobec zatrzymanych w Narewce czterech osób, które przewoziły w autach sześciu cudzoziemców, w tym dzieci. ©℗

## Szkoła nierówności

**IGNOROWANIE** możliwości oraz potrzeb dzieci uchodźczych może prowadzić do nierówności (...), dyskryminacji oraz ograniczania ich wolności i praw" – napisał do ministra edukacji i nauki rzecznik praw obywatelskich. Marcin Wiącek nawiązał do decyzji, zgodnie z którą ukraińscy uczniowie przyjęci do podstawówek będą zdawać egzamin ósmoklasisty (24-26 maja) na niemal identycznych zasadach co uczniowie polscy. A to – w związku z gorszą znajomością języka – zmniejszy ich szanse podczas rekrutacji do szkół ponadpodstawowych.

Wcześniej przeciw egzaminom – także maturalnemu – w formule nieuwzględniającej w wystarczającym stopniu możliwości młodych Ukraińców protestowały organizacje pozarządowe. W „TP" szef Społecznego Towarzystwa Oświatowego Zygmunt Puchalski komentował, że nowe przepisy są upokarzające i nieludzkie. ©℗ PW

## KRAJ W SKRÓCIE

**GRUBO**
**Najlepszym podsumowaniem farsy związanej z pracami tzw. podkomisji smoleńskiej wydaje się fakt, że zamieszczony w sieci i otwarty dla wszystkich raport końcowy z jej prac zawierał drastyczne zdjęcia szczątków ofiar katastrofy (nazywanej tam zamachem).**

**CIENKO**
**„To, że nasi przeciwnicy z tamtych czasów, dzisiaj dość cienko piszczący, sprzeciwiają się temu, co zostało w raporcie powiedziane, jest oczywiste" – powiedział Jarosław Kaczyński. Wygląda więc na to, że niezależnie od dochodzenia wszczętego przez kontrwywiad w związku z dołączonymi doń zdjęciami Antoniemu Macierewiczowi nic nie grozi. Bać się ma za to Donald Tusk: prezes PiS uważa, że sprawa odpowiedzialności „w sensie procesowym, karnym dla bardzo wielu ludzi w Polsce jest jak najbardziej aktualna".**

TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

**DZIŚ**
**Komornik, działający na zlecenie władz Warszawy, zajął należący do Rosji kompleks budynków po radzieckich dyplomatach. „Szpiegowo", jak nazywa się je w stolicy, ma zostać oddane uchodźcom z Ukrainy.**

**JUTRO**
**Sejm – głosami PiS i kilku posłów Konfederacji – odrzucił poprawkę Senatu do tzw. ustawy sankcyjnej o zakazie importu gazu z Rosji, rząd nadal deklaruje jednak zamiar uniezależnienia się od rosyjskich surowców do końca roku.**

## Las bez certyfikatu

**REGIONALNA DYREKCJA** Lasów Państwowych w Gdańsku rozważa wycofanie się z certyfikatu FSC. Powód: LP uważają, że mają zbyt mało do powiedzenia przy ustalaniu reguł certyfikacji. FSC to jeden z dwóch najważniejszych na świecie standardów produkcji drewna, gwarantujący odpowiedzialną hodowlę lasu. Jego brak zamyka wiele drzwi: polski tartak, który nie będzie miał FSC, nie sprzeda desek do Ikei i wielu innych firm.

Utrata FSC to potencjalnie gorzej chronione lasy i konsekwencje ekonomiczne. Już od dawna obserwujemy gwałtowny wzrost cen drewna, a odcięcie kolejnego źródła nie pomoże, zwłaszcza przy wojennym embargu na import z Rosji i Białorusi.

Certyfikat dla RDLP w Gdańsku wygasa 12 listopada. Na razie jej szef, Bartłomiej Obajtek, zapytał, co o jego pomyśle myślą przedsiębiorcy. Myślą źle, zwłaszcza że w październiku 2021 r. certyfikat straciła dyrekcja w Łodzi, a od wielu lat nie ma jej Krosno. ©℗ KRZYSZTOF STORY

## Kim są ukraińskie uchodźczynie

**DOBRZE WYKSZTAŁCONA** kobieta przed czterdziestką, z jednym lub dwójką dzieci – to statystyczna figura ukraińskiego uchodźcy. Według raportu Fundacji Wspierania Migrantów na Rynku Pracy „EWL" i Studium Europy Wschodniej UW średni wiek uchodźczyni (bo to kobiety stanowią wśród pełnoletnich Ukraińców przygniatającą większość) wynosi 38 lat, przy czym niemal 80 proc. to osoby w wieku 18-45 lat. Więcej niż co trzecia z pytanych przyjechała do Polski z jednym dzieckiem, a niemal co piąta – z dwójką.

Dobrze, jeśli idzie o szanse na rynku pracy, rokuje struktura wykształcenia przyjezdnych – aż 53 proc. ma wyższe wykształcenie, a kolejnych 8 proc. wyższe niepełne. Gorzej z umiejętnościami językowymi: aż dziewięć na dziesięć osób nie zna polskiego (45 proc.) lub zna go słabo bądź przeciętnie, co radykalnie różni populację przybyłych po 24 lutego od tej będącej u nas wcześniej (tu niemal połowa zdążyła poznać polski dobrze lub bardzo dobrze).

Plany? Aż 58 proc. pytanych chce wracać, 12 proc. wyjechać do innego kraju niż Ukraina, zaś 30 proc. chciałoby zostać w Polsce na dłużej. ©℗ PW

ALY SONG / REUTERS / FORUM

**26-MILIONOWY SZANGHAJ,** gdzie od trzech tygodni trwa ścisły lockdown, może stać się symbolem porażki władz Chin i ich strategii „zero covid", prezentowanej jako przejaw wyższości nad Zachodem. W chińskim internecie krążą filmy, w których głodujący mieszkańcy Szanghaju wyrażają frustrację. Na jednym z nich do budynku, z którego słychać krzyki protestu, podlatuje dron i przemawia mechanicznym głosem: „Proszę kontrolować swoje pragnienie wolności". Na zdjęciu: aby ułatwić kontrolę, ulice Szanghaju przegrodzono barierami. 11 kwietnia 2022 r. ©℗ WP

# *Japonia: czas dramatycznych przemyśleń*

**PIOTR BERNARDYN Z TOKIO**

Tuż po rosyjskiej inwazji na Ukrainę były premier Shinzo Abe oświadczył, że Japonia powinna rozważyć posiadanie broni jądrowej na swoim terytorium. Najprostszą drogą do tego miałby być dostęp do arsenału USA. Obecny szef rządu Kishida zdystansował się wprawdzie od tej idei, ale wojna w Europie nadała dynamiki japońskiej debacie o polityce bezpieczeństwa. Minister obrony Kishi mówi o konieczności „dramatycznych przemyśleń", by „drastycznie wzmocnić możliwości obronne kraju", a 64 proc. społeczeństwa popiera zwiększenie wydatków wojskowych.

Narodowa Strategia Bezpieczeństwa, której publikację przewidziano na koniec kwietnia, ma zawierać propozycję podwojenia budżetu na obronę z jednego do dwóch procent PKB (dziś to 44 mld dolarów). Uwagę przykuwa też plan pozyskania broni umożliwiającej atak na bazy wroga, co stanowiłoby odejście od obecnej *stricte* obronnej strategii.

Postępowanie Rosji, jak mówi Kishida, zaszokowało Japończyków. Złamano reguły ładu światowego, którego stabilność po 1945 r. warunkowała rozwój pacyfistycznej Japonii. I choć od Ukrainy dzieli ją 10 tys. km, to od najbliższego terytorium zamieszkanego przez Rosjan ledwie 40 km: to Wyspy Kurylskie, według Japonii bezprawnie zajęte przez Moskwę w 1945 r. Z tego powodu oba kraje nie podpisały do dziś traktatu pokojowego.

Tokio uznaje atak Rosji za pogwałcenie prawa międzynarodowego, a zachowanie jej żołnierzy za zbrodnie wojenne. Solidarnie z Zachodem wprowadza sankcje i przyjmuje uchodźców. W reakcji Moskwa określiła Japonię jako kraj nieprzyjazny, zrywając z nią rozmowy pokojowe. Tokio powtórzyło tylko, że uważa Kuryle za swoje niezbywalne terytorium. Oficjalnie Rosja ma odtąd stanowić „wyzwanie dla bezpieczeństwa" kraju.

To jednak nie postawa Rosji jest główną przyczyną zwrotu w japońskiej polityce. Coraz większy niepokój Tokio budzi rosnąca potęga Chin i ich postawa wobec Tajwanu oraz na Morzu Południowochińskim, gdzie biegną szlaki handlowe Japonii. A przecież jest jeszcze Korea Północna.

Jak nigdy dotąd po 1945 r., Japonia ma świadomość końca epoki, gdy – korzystając z parasola ochronnego USA i mając pacyfizm za wymówkę – mogła oddać się głównie pomnażaniu własnego bogactwa. ©

# Brytania chce odsyłać azylantów do Afryki

**WIĘKSZOŚĆ LUDZI,** którzy nielegalnie przekroczyli La Manche i dotarli na brzeg angielski, będzie transportowana 6,5 tys. km do Rwandy, gdzie ma oczekiwać na decyzję w sprawie azylu – ogłosiła szefowa brytyjskiego MSW Priti Patel. Za „partnerstwo w dziedzinie migracji i rozwoju gospodarczego", jak nazwała umowę z tym wschodnioafrykańskim krajem, Wielka Brytania zapłaci 120 mln funtów (ok. 637 mln zł). „Nowatorskie podejście" do masowej migracji – to z kolei słowa premiera Borisa Johnsona – ma rozwiązać narastający z punktu widzenia władz w Londynie problem: tylko we wtorek 12 kwietnia do Anglii dotarło nielegalnie ponad 600 osób, przez cały zaś poprzedni rok – aż 28 526.

Brytyjczycy nie są pierwsi. Podobną politykę długo prowadziła Australia, która umieszczała azylantów w zamkniętych ośrodkach na wyspach Pacyfiku (i to na czas nieokreślony; wśród zatrzymanych dochodziło do samookaleczeń i samobójstw). Patel twierdzi, że odesłani z Wysp ludzie w dostosowanych do tego celu hotelach w Kigali będą czekać na decyzję nie dłużej niż trzy miesiące. Za pochwałami rwandyjskiej polityki integracji, które wygłasza brytyjska minister, kryje się jednak jeszcze jeden komunikat: osoby, które nie dostaną azylu – czyli zapewne niemal wszyscy – będą formalnie wolne, ale wciąż w Afryce. Za miliony funtów Rwanda przyjmie ludzi, których nie chce Wielka Brytania. Nie do końca jest też jasne, kto ma być tu odsyłany, a kto przyjęty do ośrodków na Wyspach.

Opozycyjna Partia Pracy oraz organizacje ochrony praw człowieka uznały pomysł za niehumanitarny, drogi (w przeliczeniu na osobę ma kosztować, jak twierdzą, więcej niż nocleg w londyńskim hotelu Ritz) i mający odciągnąć uwagę od kłopotów Johnsona, który otrzymał właśnie wezwanie do zapłaty kary za uczestnictwo w imprezach podczas lockdownu. Rząd się jednak nie cofnie – prawie dwie trzecie Brytyjczyków jest niezadowolonych z dotychczasowej polityki w sprawie migrantów na La Manche, a uregulowanie polityki azylowej było jednym ze sztandarowych haseł brexitu. Czyli projektu, który obecny premier firmował swoją twarzą. ©℗ MARCIN ŻYŁA

# *Czy wiara powinna być prawnie chroniona*

ARTUR SPORNIAK

Przebywając gościnnie w toruńskiej szkole o. Rydzyka, wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł zapowiedział nowelizację art. 196 kodeksu karnego penalizującego obrazę uczuć religijnych. Stwierdził, że konieczne jest zwiększenie prawnej ochrony chrześcijan w Polsce.

W dotychczasowym brzmieniu przepis przewiduje karę grzywny, ograniczenia lub pozbawienia wolności do lat dwóch dla tego, kto „obraża uczucia religijne innych osób, znieważając publicznie przedmiot czci religijnej lub miejsce przeznaczone do publicznego wykonywania obrzędów religijnych". W praktyce sądowniczej znamiona przestępstwa wypełniały czyny, które obrażały uczucia przynajmniej dwóch osób. Poza tym prokurator musiał przekonać sąd, że sprawca umyślnie chciał czyjeś uczucia obrazić lub godził się z tym, że taki skutek wywoła. Co nowelizacja ma zmienić?

Przewiduje ona m.in., że osobie oskarżonej o zakłócanie nabożeństwa nie trzeba będzie już udowadniać, że czyniła to „złośliwie". Według Warchoła przepis w obecnym brzmieniu niewystarczająco chroni prawa osób wierzących. „Prawo jest niedoskonałe, bowiem zrównuje ochronę wiary, za którą miliony ludzi oddawały życie przez całe wieki, z prywatnym odczuciem osób biorących udział w danym nabożeństwie" – tłumaczył. Przepis ma regulować rodzaje karalnych czynów: lżenie i wyszydzanie związku wyznaniowego, jego dogmatów lub obrzędów, czy publiczne znieważanie miejsca wykonywania obrzędów – dowiedziała się KAI w Ministerstwie Sprawiedliwości. Wprowadzony zostanie też przepis, który będzie chronił prawo do wyrażania poglądów czy opinii związanych z wyznawaną religią. W Toruniu Warchoł dopowiadał, że ma to m.in. zatrzymać poszerzanie praw osób LGBT kosztem chrześcijan.

Zwolennicy zarówno zaostrzenia art. 196, jak i wykreślenia go w ogóle z kodeksu karnego zgadzają się, że jest on nieprecyzyjny. Prawodawca, formułując jego brzmienie, chciał prawną ochroną objąć osoby wierzące, a nie przedmiot ich wiary. Stąd jego dziwaczne wymogi – jak pisał na tych łamach Andrzej Osęka: „oskarżyciel sam tu staje się świadkiem i swego rodzaju dowodem rzeczowym w sprawie, sam bywa również gorliwym śledczym". Proponowana nowelizacja powraca do tego, czego chciano uniknąć: prawnej ochrony treści wiary. Ministerstwo Sprawiedliwości szykuje polski szariat, a to gwóźdź do trumny dla instytucji Kościoła. ©℗

## KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

**TRYBUNAŁ**
**Około 200 księży Ukraińskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego zaapelowało do patriarchów starożytnych Kościołów wschodnich, by powołali „międzynarodowy trybunał kościelny", który mógłby osądzić patriarchę moskiewskiego i całej Rusi Cyryla za głoszenie heretyckiej doktryny „russkiego miru" i wspieranie agresji na Ukrainę. Taki trybunał w 1666 r. pozbawił urzędu patriarchę moskiewskiego Nikona.**

**LIST**
**Wyrażając zaniepokojenie niemiecką Drogą Synodalną „Braterski list otwarty" do biskupów w Niemczech wystosowało 74 hierarchów z czterech kontynentów – w tym kardynałowie George Pell z Australii, Francis Arinze z Nigerii, Wilfrid Napier z RPA i Raymond Burke z USA. Biskupi obawiają się, że lokalne Kościoły „zarażą się" niemieckimi reformami.**

**NOMINACJA**
**Papież mianował członkiem Papieskiej Akademii Nauk profesora Uniwersytetu Chicago Zeresenaya Alemsegeda (na zdjęciu). Etiopski paleoantropolog zasłynął odkryciem w 2000 r. w Dikika w Etiopii najbardziej kompletnego szkieletu ludzkiego przodka – datowanej na 3,3 mln lat trzyletniej samicy z gatunku *Australopithecus afarensis*, nazwanej „najstarszym dzieckiem świata" lub „dzieckiem Lucy" (od nazwy innego słynnego szkieletu tego gatunku).**

UNIVERSITY OF CHICAGO

# Papież, Cyryl i metody

**MOSKWA** próbuje instrumentalizować papieża – powiedział abp Swiatosław Szewczuk, zwierzchnik Kościoła greckokatolickiego w Ukrainie. Przykładem wideo-rozmowa Franciszka z patriarchą Cyrylem – strona rosyjska przedstawiała ją jako wyraz poparcia dla patriarchy. Stolica Apostolska, swoim zwyczajem, tego nie skomentowała, poprzestając na powściągliwym komunikacie.

Ale nie o samą propagandę chodzi. Moskiewski patriarchat próbuje wpływać na opinie i decyzje papieża – czy to z pomocą sympatyków Rosji, których nigdzie nie brak, czy też tajnych współpracowników. Co nie powinno dziwić: są rosyjscy agenci we Francji, Niemczech, w Polsce... są też (zawsze byli) w Watykanie. Putin i Cyryl z jednej przecież, kagiebowskiej formy wyszli.

Dziś rosyjska Cerkiew robi wszystko, by papież nie wycofał się ze spotkania z patriarchą, do którego miałoby dojść podczas czerwcowej pielgrzymki Franciszka do Libanu. Skompromitowany w świecie Cyryl tylko na tym skorzysta. Krytyki ze strony papieża bać się nie musi (byłby to koniec ekumenizmu), a wyciągnięta ręka Franciszka może go jedynie uratować. Albo obu pogrążyć.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

# Niezauważana pomoc

**JAK POLACY OCENIAJĄ** działania Kościoła na rzecz uchodźców z Ukrainy? Takie pytanie zadał IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej". 32,2 proc. badanych oceniło te działania dobrze, 19,9 proc. źle, a odsetek osób, które takich działań w ogóle nie odnotowały, wyniósł aż 43 proc. W odpowiedzi Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego oraz Caritas Polska podały szacunkową wielkość dotychczasowej pomocy. Parafie katolickie oraz greckokatolickie zebrały i przekazały pomoc finansową i rzeczową o wartości co najmniej 209 mln zł, męskie zakony – 29 mln zł, a zgromadzenia żeńskie – 4,3 mln zł. Wartość wsparcia udzielonego za pośrednictwem Caritas Polska i Caritas diecezjalnych to 241,3 mln zł.

Choć Kościół pomaga Ukrainie, to Polacy tego nie widzą – dlaczego? Padają różne odpowiedzi: sekularyzacja, poczucie, że ludzie sami pomagają bez wsparcia instytucji, ale też zły PR Kościoła spowodowany kryzysem pedofilskim. ©℗ ASK

## KULTURA W SKRÓCIE

**PRZED CANNES**
Polsko-włoski film „Eo" Jerzego Skolimowskiego zostanie zaprezentowany podczas 75. festiwalu filmowego w Cannes. Obraz znalazł się w konkursie głównym obok dzieł Hirokazu Koreedy, Davida Cronenberga i Kiriłła Sieriebriennikowa. Z kolei w sekcji Un Certain Regard zobaczymy anglojęzyczny „Silent Twins" Agnieszki Smoczyńskiej.

**PO NOBLU**
Wyróżnienie „Found in Translation" przyznawane autorom najlepszych angielskich tłumaczeń polskich książek otrzymała w tym roku Jennifer Croft za przekład „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk. Książkę opublikowały wydawnictwa Fitzcarraldo Editions w Wielkiej Brytanii (2021) i Riverhead Books w Stanach Zjednoczonych (2022). Tymczasem najnowsza powieść noblistki „Empuzjon" trafi do naszych księgarń już 1 czerwca.

**W SAMĄ PORĘ**
Przez kilka ostatnich tygodni naukowcy, samorządowcy i bibliofile usiłowali zapobiec przekazaniu Węgrom „Katalogu Korwina" – bezcennego, renesansowego manuskryptu, który znajduje się w zbiorach Książnicy Kopernikańskiej. Jak ustaliła „Rzeczpospolita", rząd wycofuje się z tego projektu. Przyczyną okazała się postawa węgierskich władz wobec wojny w Ukrainie.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

**PAWEŁ PIENIĄŻEK,** nasz korespondent w Ukrainie, będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj w środę 20 kwietnia od godziny 15.00. Zapraszamy!
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

SUNIL GHOSH / HINDUSTAN TIMES / GETTY IMAGES

**ŻURAWIE INDYJSKIE** słyną z wierności. Tworzą monogamiczne pary, które wspólnie budują gniazda, opiekują się potomstwem i wykonują tańce oraz pieśni terytorialne w duetach. Jak donosi Suhridam Roy w „Ecology", czasem ptaki te dopuszczają jednak do gniazda trzeciego osobnika – młodego samca lub samicę. On sam się nie rozmnaża, ale pomaga wychować potomstwo głównej pary, zwłaszcza gdy w okolicy robi się zbyt sucho. Pomocnik oznacza także, że koncertujący duet zamienia się w tercet. ©℗ ŁK

## *Radio Alternatywa*

MONIKA OCHĘDOWSKA

„Dziękuję słuchaczom, to był dobry czas" – tak krytyczka muzyczna Dorota Kozińska skomentowała w mediach społecznościowych zakończenie współpracy z Polskim Radiem. W tym samym czasie ze strony Radia Chopin zdjęto około setki audycji z jej udziałem. Dwójka – na której falach Kozińska pojawiała się od niemal 30 lat – nie wyemituje nagranych już odcinków współprowadzonego przez nią „Płytowego Trybunału". Z ramówki zniknęły także planowane audycje na żywo z jej udziałem.

Powodem nagłego i skrupulatnego wymazywania Kozińskiej z archiwów publicznych rozgłośni okazał się jej post na Facebooku dosadnie komentujący „kolejne huczne obchody, niemające nic wspólnego z autentyczną tragedią, jaka rozegrała się pod Smoleńskiem".

Upartyjnione radio notuje najniższe w historii wyniki słuchalności, o jego zapaści mówią nawet politycy PiS. Prezes Agnieszka Kamińska zwykła powtarzać, że prezentowane przez Kantar dane (tzw. „Radio Track") faworyzują nadawców komercyjnych – UOKiK rozpoczął już ich kontrolę. W ub. tygodniu opublikowano natomiast pierwsze badania zlecone przez Krajowy Instytut Mediów – publiczne stacje osiągnęły w nich dużo wyższe wyniki niż w ostatniej fali „Radio Track". Dostarczająca dane spółka Alternatywa Polska „wobec nasilającej się konieczności pilnego wykonania badania" wybrana została bez przetargu. ©℗

## Zmiany klimatu i ewolucja człowieka

**ODDZIAŁYWANIA GRAWITACYJNE** innych planet wpływają na kształt orbity i nachylenie względem niej osi obrotu Ziemi. Powoduje to oscylacje klimatu: co 41 tys. lat zmienia się ilość opadów w tropikach, a co 100 tys. lat – ilość energii słonecznej docierającej na planetę. Stąd biorą się regularne zlodowacenia. Naukowcy od dawna podejrzewają, że te zmiany odegrały kluczową rolę w ewolucji człowieka, ale brakowało jednoznacznych dowodów.

Zespół Aleksa Timmermanna ogłosił, że właśnie je znalazł. Badacze przeprowadzili symulację ziemskiego klimatu z ostatnich 2 mln lat i przypatrzyli się występowaniu ludzkich skamieniałości z tego okresu. Najciekawszy wniosek dotyczy naszego gatunku: ponad 300 tys. lat temu w południowej Afryce zrobiło się gorąco i skurczyły się tereny przyjazne do życia. Mieszkający tam ludzie zostali odcięci od innych populacji człowieka – i pod wpływem trudnych warunków wyewoluowali cechy, które w lepszych czasach pozwoliły im rozprzestrzenić się na cały świat. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

# CO SIĘ DZIEJE Z ROSJANAMI

Oto opowieść o tym, jak dyktator, który postanowił rządzić dożywotnio wielkim krajem, stworzył równoległą rzeczywistość. I o tym, jak ludzie uwierzyli, że takie rządy dadzą im szczęśliwe życie w chwale.

TEKST ANNA ŁABUSZEWSKA | ZDJĘCIA ANNA BEDYŃSKA

Ta historia zaczęła się dekadę temu.

Wtedy to – po niezbyt udanym eksperymencie z czteroletnią kadencją prezydenta Dmitrija Miedwiediewa – Władimir Putin powrócił na Kreml. Kolejne dziesięć lat poświęcił umacnianiu autorytarnej władzy i zapewnieniu sobie wiecznego trwania na najwyższym urzędzie. Tym celom podporządkował wszystko: od zduszenia ruchów obywatelskich i eliminacji opozycji, przez aneksję Krymu i zmianę rosyjskiej konstytucji, po ponowną inwazję na Ukrainę i konsolidację społeczeństwa wokół przywódcy.

Szybka, zwycięska wojna o Kijów miała dać Putinowi luksus rządzenia w warunkach niebotycznej akceptacji społecznej i miejsce w historii jako odnowicielowi imperium. Ale plan zawiódł – Rosja ugrzęzła w wojnie potępianej przez świat.

Putina nie zawiedli jednak Rosjanie. Przynajmniej na razie, gdy trwa podsycany propagandowo amok walki z „banderowcami". Przez lata militaryzowana i zatruwana fałszywym mitem niepokalanej Pobiedy rosyjska dusza na hasło „wojna" zareagowała z pełnym zrozumieniem i gotowością. Prezydent, jeśli wierzyć sondażom, ma poparcie 80 proc. obywateli i pracuje teraz nad grupą niezadowolonych, aby i oni dołączyli do chóru piewców jego wielkiej Rosji, pogromczyni „ukraińskiego nazizmu".

Jeśli nie po dobroci, to pod przymusem.

### Dzieje w służbie władzy

Przygotowywanie Rosjan do wojny trwało długo. Z orężem lub jego wysławianiem spotkał się każdy, kto przestąpił próg szkoły czy włączył telewizor. Przez długie lata dzień w dzień docierał do ludzi zwarty, na wskroś nieprawdziwy komunikat: walczymy zawsze w słusznej sprawie, nigdy nikogo nie napadliśmy, umiemy się bić, jesteśmy szlachetnymi bojownikami, nikt nas nie pokonał i tak było zawsze – czy to w czasie wojny z Napoleonem, czy z Hitlerem. Tak było w Czeczenii i w Syrii. Niemal codziennie podawano wiadomości z poligonów o udanych próbach z nowymi rakietami i myśliwcami.

Ale rosyjski patriota miał nie tylko być dumny z osiągnięć nowoczesnych sił zbrojnych. Miał też przyswoić odpowiednio spreparowaną wersję historii.

Fundamentem ideologii putinizmu stał się mit zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej (1941-45). Odróżnienie tego wydarzenia od II wojny światowej było celowe. Podkreślono w ten sposób wyjątkową, samodzielną rolę Związku Sowieckiego w pokonaniu niemieckiego faszyzmu. Z triumfu Putin uczynił źródło swojej legitymizacji: jestem dumny z naszego największego osiągnięcia i jako przywódca również zapewnię każdemu powód do dumy – a może i dam wam zwycięstwo na miarę tamtego.

Na wygranej z przeszłości budowano w Rosjanach poczucie potęgi państwa, niezwyciężonej armii, wyższości moralnej nad resztą świata. W tyradach telewizyjnych propagandystów jako argument za bezsporną racją Moskwy przytaczano liczbę ofiar II wojny światowej. „Ilu Ame-

rykanów zginęło w wojnie? – pytał prowadzący. – 400 tysięcy! A nas 20 milionów!". Koniec dyskusji, nasze na wierzchu.

Główne uroczystości przypadały 9 maja. Wtedy odbywały się na placu Czerwonym defilady wojskowe, które prezentowały rosnący potencjał militarny Rosji. W pierwszej dekadzie rządów Putina na trybunie honorowej siedzieli przywódcy państw sojuszniczych. Wraz z oddalaniem się kraju od standardów demokratycznych i narastaniem napięcia w stosunkach z wolnym światem trybuna pustoszała. Podczas ostatniej defilady Putinowi towarzyszył już tylko prezydent Tadżykistanu.

Do 2014 r. również Ukraina obchodziła tę rocznicę zgodnie z sowieckim wzorcem. Potem zerwała z tamtą tradycją. Teraz 8 i 9 maja są obchodzone jako Dzień Pamięci. Zamiast narzuconej przez Rosję wstęgi św. Jerzego, która stała się znakiem putinistów, jako znak graficzny zwycięstwa Ukraina wybrała czerwone maki. Kreml odczytał to jako akt wrogi i próbę podważenia świętości wspólnej Pobiedy.

Właśnie owa świętość była podstawą mitu. W przekazie propagandowym, królującym w mediach po 2014 r., Armia Czerwona walczyła dzielnie, nie popełniała zbrodni ani błędów, a narodom Europy niosła na bagnetach wyłącznie wolność. Rzetelne badania naukowe nad przeszłością zepchnięto w Rosji na margines. Triumfowała opowieść heroiczna, żywiąca się kłamstwem. Władze nazwały to „walką z fałszowaniem historii", bo przecież odwracanie pojęć jest jedną z najczęściej stosowanych przez Rosję metod w wojnie informacyjnej z Zachodem. Oznaczało to przedstawianie odgórnie wyznaczonej kanonicznej wersji i zwalczanie odmiennych narracji. Akcja miała się przeciwstawić postawie Zachodu i takim inicjatywom, jak Dzień Pamięci Ofiar Stalinizmu i Nazizmu, ustanowiony przez Parlament Europejski w rocznicę podpisania paktu Ribbentrop–Mołotow. ↦

Przede wszystkim jednak taka polityka była obliczona na rynek wewnętrzny – chodziło o ukształtowanie odpowiednich postaw w społeczeństwie, stworzenie atmosfery pełnego poparcia dla agresywnej polityki władz, mobilizacji w obliczu rzekomego zagrożenia. Jednym z filarów putinizmu jest szerzenie poglądu, że Rosja to oblężona twierdza, mająca wokół wyłącznie wrogów.

Te ugruntowane w społeczeństwie nawyki Putin wykorzystuje do sterowania nastrojami teraz, gdy trwa prawdziwa wojna w Ukrainie.

### Miliony panfiłowców

Oczekiwane przez Putina reakcje na wojnę kształtowała w Rosjanach nie tylko codzienna propaganda telewizyjna. Pracowali nad tym również twórcy filmów „kina patriotyczno-wojskowego". To gatunek wyhodowany przez inżynierów dusz, zaspokajający potrzeby masowej publiczności – z rozbudowanym wątkiem sensacyjnym, nieskomplikowanym bohaterem bez życia wewnętrznego i jedyną słuszną tezą o wyższości „naszych" nad „nienaszymi".

Znamiennym przykładem był film „Żołnierze Panfiłowa" z 2016 r. Opowiadał o epizodzie bitwy o Moskwę w listopadzie 1941 r.: dwudziestu ośmiu żołnierzy 316. Dywizji dowodzonej przez generała Iwana Panfiłowa w zaciętym boju z przeważającymi siłami wroga miało zniszczyć 18 czołgów i zabić 800 Niemców – a następnie zginąć. Rzecz w tym, że to legenda utrwalona w czasach Związku Sowieckiego, niemająca wiele wspólnego z faktami. W powyższym zdaniu prawdziwy jest tylko fragment: „w zaciętym boju z przeważającymi siłami wroga". Reszta to wytwór wyobraźni sowieckich propagandystów.

Patronat nad filmem sprawował ówczesny minister kultury Władimir Miedinski, przewodniczący Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego, autor książek popularyzujących historię kraju. Jak lew bronił „prawdy ekranu". Bohaterstwo panfiłowców nazywał jedną z matryc rosyjskiej tożsamości, badaczy próbujących pokazać fakty oskarżał zaś o to, że podkopują fundamenty narodu i wręcz stają się jego wrogami. Mówił, że pochłonie ich za to piekło. W artykułach i wywiadach, które minister poświęcił filmowi, najważniejsze było przesłanie o „milionach panfiłowców" gotowych do bohaterskich czynów na polu bitwy.

Nakręcenie filmu fabularnego o zmitologizowanych wydarzeniach wojennych zdarzyło się w historii kina nie raz, nie dwa. Samo kino kreuje przecież mity. Twórca ma prawo do własnej wizji. Ale pokazywanie mitu jako prawdy historycznej i głośne pokrzykiwanie, że to prawda, nakaz bezkrytycznego przyjęcia dzieła – są częściami polityki historycznej, która odrzuca prawdę jako budulec państwowości. Jak mówi reżyser i producent filmowy Aleksander Rodnianski, „nowe rosyjskie kino patriotyczne uczyło, że wojna to nic takiego, nic złego, to logiczny rozwój wypadków. Nie należy się jej bać, należy się przygotować do tego, by wziąć udział w walce, oddać życie. Kino pokazywało, że wojna to zabawa, a w tej zabawie jesteśmy tylko zwycięzcami". Ale to właśnie takie filmy cieszyły się popularnością wśród rosyjskich widzów. Na realizację „Żołnierzy Panfiłowa" ogłoszono zrzutkę crowdfundingową.

Życie pisze zaskakujące scenariusze. Miedinski (na marginesie: urodzony

w obwodzie czerkaskim w Ukraińskiej SRR) został przewodniczącym delegacji rosyjskiej na rozmowy pokojowe z Ukrainą. Po ujawnieniu zbrodni wojennych w Buczy trudno mówić o postępach w negocjacjach. Czy ministrowi, który groził piekielnym ogniem tym, którzy negują jego wersję historii, udało się wychować na filmowych kłamstwach „miliony panfiłowców"? Gdy czyta się o postępowaniu żołnierzy rosyjskich w Ukrainie, niepodobna uwolnić się od wrażenia, że z tej lekcji ministra przyswoili oni tylko kłamstwa, a z nich wyrosły nikczemność, złodziejstwo i zbrodnia.

### Ukraina, strach dyktatora

Prezydent Putin od początku rządów realizuje swoje dziecięce marzenia chłopca z zapyziałego leningradzkiego podwórka, któremu starsi i silniejsi zabierali wszystko, nawet landrynkę trzymaną w spoconej dłoni. Jako przywódca ma okazję zrekompensować sobie te porażki i pokazać światu, jaki z niego chwat. W czasach pokoju leczył obolałą duszę, latając na paralotni z żurawiami, nurkując w batyskafie czy grając na fortepianie popularną piosenkę, aby zrobić wrażenie na aktorce Sharon Stone.

Przygotowując się do wojny, zaczął mówić i pisać o historii. A właściwie o swojej wizji historii. Kampania miała storpedować oskarżenia Zachodu pod adresem Stalina i jego polityki. Putinowska Rosja przez lata pracowała nad stopniową rehabilitacją tego zbrodniarza, przygrzewając resentymenty. W ujęciu Putina wydarzenia, które doprowadziły do wybuchu wojny, to bratanie się Zachodu z Hitlerem. A pakt Ribbentrop–Mołotow był tylko prostą konsekwencją tej polityki. Armia Czerwona nie zagarnęła we wrześniu 1939 r. polskiego terytorium, a tylko zajęła część ustaloną z Niemcami.

Dysydent Aleksandr Podrabinek tak komentował historyczne opusy prezydenta: „Putinowi chodzi o legitymizację swojej władzy. Właśnie tego brakuje dyktatorom, którzy pragną potwierdzenia swojej władzy. Przeprowadzają parodię wyborów, aby ktoś uwierzył, że kierują swoimi państwami z woli ludu. Wywołują wojny, aby rodacy poczuli, że bez żelaznej ręki państwo nie da sobie rady. (...) A gdy i tego jest za mało, biorą się za wykładanie historii, aby ich interpretacja zwycięstw i klęsk pomogła im w osiągnięciu nieograniczonej władzy".

Celem Putina było ukazanie Ukrainy jako tworu sztucznego, bez podstaw państwowości, rządzonego przez nazistów i zagrażającego Rosji. Jednocześnie w takim ujęciu „historycznym" Ukraińcy byli jednym narodem wraz z Rosjanami i Białorusinami. Tezy te powielała w codziennych seansach nienawiści wierna rosyjska telewizja. Ukraina była nieodmiennie celem ataków kremlowskich propagandystów m.in. jako zagrożenie dla kruchego bytu Donbasu. To nie był przypadek. Niepodległa, rozwijająca się, prozachodnia Ukraina to śmiertelne zagrożenie dla skorumpowanego, neoimperialnego, nieefektywnego putinizmu.

Telewizyjny przekaz o wrogości władz w Kijowie wobec moskiewskiej oferty ścisłej współpracy miał zaszczepić w Rosjanach przekonanie, że trzeba z tym wreszcie coś zrobić.

### Niewolnicy zombojaszczika

Putin wcześnie zdał sobie sprawę, że tym, co łączy Rosję i Rosjan, jest telewizja. ↦

↦ I kontrola nad przekazem jest filarem, na którym stoi władza. Już w 2003 r. doprowadził do likwidacji ostatniej prawdziwie niezależnej stacji telewizyjnej. A potem zatrudnił świetnych speców od prania ludziom mózgu, którzy wspięli się na orwellowskie wyżyny przeinaczania sensu. „Jaszczik" – czyli „skrzynka" – to popularne określenie telewizora. Neologizm „zombojaszczik" to trafna recenzja metod działania tego medium: przekształcanie widzów w oczadziałych zombie.

Pisarz Dmitrij Głuchowski zauważa na swoim Facebooku: „Jak można uwierzyć w brednie, które całkowicie wypaczają rzeczywistość? Jak można nazywać ewidentnego agresora człowiekiem niosącym pokój? I to w sytuacji, gdy istnieją tysiące udokumentowanych świadectw agresji? Tymczasem te brednie są oficjalnym stanowiskiem Rosji. Na dodatek wielu Rosjan święcie w nie wierzy. Podziały przebiegają przez miliony rosyjskich rodzin. (...) Putinowska propaganda, odpowiedzialna za psychologiczne i emocjonalne przygotowanie i usprawiedliwienie bratobójczej wojny przeciwko Ukrainie, znowu okazuje się niesłychanie skuteczna, nawet wtedy, gdy jej kłamstwa powinny być oczywiste dla każdego. Jak to wyjaśnić? Przecież chodzi nie tylko o łatwowierność rosyjskich telewidzów". W Rosji działa cenzura, głosy z Ukrainy są blokowane. Niemniej „wideo bombardowań, zdjęcia rannych i zabitych przesączają się przez membranę cenzury. Tymczasem fakty, zdjęcia i wideo okazują się nie tak ważne. Można je zlekceważyć, podać w wątpliwość. Albo dać inny opis i wykorzystać w diametralnie innej narracji. Narracja ma znaczenie pierwszorzędne. Świat wyobrażony ma nad ludźmi o wiele większą władzę niż rzeczywistość".

Informacje o zbrodniach rosyjskiej armii w Buczy Putin nazywa „fejkami", Rosjanie to słyszą i spokojnie wracają z drugim piwem na kanapę. Po co się niepokoić, skoro to nie my? My jesteśmy dobrzy. Zdaniem Głuchowskiego, władza nie jest w stanie zapewnić ludziom godnych warunków życia, zamiast tego częstuje więc społeczeństwo erzacem wielkich czynów.

W 2014 r. Rosjan opanowała euforia po aneksji Krymu. Hasztag *#krymnasz* przykrył na długo wszystkie bolączki. Większość kupiła opowieści Putina o przywracaniu sprawiedliwości dziejowej i ratowaniu mieszkańców półwyspu przed „kijowską juntą". „Odzyskanie" Krymu stało się powodem do powszechnej dumy. Tak ma być i teraz – Putin ogłosił świętą krucjatę przeciwko „kijowskim nazistom", którzy chcieli wymordować ludność Donbasu; na poparcie swoich wyimaginowanych sakralnych racji cytował nawet Pismo Święte. Tak jak święta była tamta wojna, tak święta ma być również ta. Pod tym sztandarem naród ma się zjednoczyć i zewrzeć się w jedną wielką pięść. Patriarcha Cyryl pobłogosławił tę haniebną walkę, pobłogosławił zbrodniarzy.

Według mieszkającego od lat za granicą rosyjskiego opozycjonisty Alfreda Kocha lejąca się z telewizora trucizna pozbawiła Rosjan empatii. O tym mają świadczyć koszmarne czyny żołnierzy w Ukrainie, ostrzał domów, gwałty, grabieże, zabijanie cywilów. Ale też brak reakcji rodzin w Rosji na wiadomości o wielkich stratach w szeregach armii. Większość nie szuka zaginionych synów, mężów i braci, nie domaga się od władz informacji, polega na oficjalnych komunikatach.

Jak się okazało, ta trucizna zaimpregnowała też świadomość na odmienne od głoszonych przez telewizję treści. Wielu Rosjan ma krewnych w Ukrainie. Gdy ci dzwonią i opowiadają, co się u nich dzieje, jak okrutna jest wojna, Rosjanie nie wierzą i próbują przekonać tych po ukraińskiej stronie, że żadnej wojny nie ma, a Putin ma rację. Że to Ukraińcy sami strzelają, zabijają i niszczą, aby potem zwalić winę na szlachetnych Rosjan.

### Junarmia maszeruje przez kraj

Rosyjska skorupka od małego ma nasiąkać wiarą w Putina. Euforia spod hasła *#krymnasz* zaowocowała modą na nagrania pieśni wychwalających geniusz prezydenta w wykonaniu dziecięcych chórów i zespołów. Z biegiem lat entuzjazm nieco opadł, ale wychowanie młodych pokoleń w duchu szczerego putinizmu tylko nabierało pędu.

Junarmia to putinowska paramilitarna młodzieżówka, realizująca zadania ministerstwa obrony oraz Kremla – dziś trwały element reżimu. Liczy co najmniej milion członków. Putin docenia młodych adeptów rosyjskiego militaryzmu – kolumna junarmistów dostąpiła zaszczytu uczestnictwa w defiladzie zwycięstwa 9 maja w Moskwie. Członkowie organizacji cieszą się też innymi przywilejami, mają ułatwiony wstęp na wybrane wyższe uczelnie. Zadaniem Junarmii jest wychowywać zastępy oddanych żołnierzy putinizmu, którzy uczą się na historycznych przykładach, jak postępować w sytuacji zagrożenia. Na szkoleniach przygotowują się do tego, aby, jak głosi statut organizacji, w każdej chwili być w stanie „wypełnić obywatelski obowiązek w obronie ojczyzny" – uczą się strzelania, opatrywania ran i orientacji według mapy.

> Na poparcie swych wyimaginowanych racji Putin cytował nawet Pismo Święte. **Bo wojna z Ukrainą ma być święta** – pod tym sztandarem naród ma się zjednoczyć i zewrzeć się w jedną wielką pięść.

Na razie, w każdym razie oficjalnie, nie wysłano ich na front. Każdego dnia na stronie internetowej Junarmii można czytać o bohaterskich czynach rosyjskich żołnierzy walczących z „nacjonalistami". W tych relacjach Rosjanie nie zabijają niewinnych cywilów i sami też nie giną.

Tymczasem junarmiści prowadzą ważną robotę na tyłach – w przedszkolach i szkołach angażują dzieci do pisania lub rysowania listów do żołnierzy biorących udział w „operacji specjalnej". Przedszkolaki odbierają zresztą lekcje wychowania patriotycznego od najmłodszych lat. Nie tylko 9 maja maszerują z matkami przebranymi w mundury z czasów wielkiej wojny ojczyźnianej, same poubierane w miniaturki tychże mundurów, często na wózeczkach udekorowanych jak czołgi.

Po inwazji na Ukrainę w rosyjskich szkołach dzieci ustawiano w kształt litery Z – złowrogiej putinowskiej swastyki, symbolu najazdu. Miał to być znak poparcia najmłodszego pokolenia dla przywódcy. Niemal nazajutrz po ataku odbyły się odgórnie nakazane lekcje wychowawcze, w czasie których nauczyciele mieli przedstawić uczniom założenia polityki państwa i cele, które Rosja realizuje w Ukrainie. Wykłady były streszczeniem opętańczych wystąpień Putina bezpośrednio poprzedzających wojnę. Obecność na nich – obowiązkowa. Nauczyciele, którzy nie podporządkowali się zarządzeniu lub komentowali treść lekcji niezgodnie z wymogami władz oświatowych, sami się zwalniali, byli zwalniani albo karani. Nie wiadomo, jak wielu nauczycieli sprzeciwiło się poleceniu.

Na niektórych donieśli uczniowie. ↦

**TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl**

**Redaktor naczelny** Piotr Mucharski
**Redaktor senior** ks. Adam Boniecki
**Zastępcy redaktora naczelnego:** Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
**Dyrektor artystyczny** Marek K. Zalejski
**Wiara:** Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
**Kraj:** Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
**Świat:** Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
**Historia:** Wojciech Pięciak
**Nauka:** Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
**Kultura:** Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
**Reportaż:** Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
**Fotoedycja:** Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
**Wydanie internetowe:** Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
**TP Typografia:** Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
**Korekta:** Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
**Marketing i Projekty Specjalne:** Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
**Redaktor wydań specjalnych:** Michał Okoński
**Felietony:** Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
**Manager IT:** Bartłomiej Swojak
**Stale współpracują:** Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
**WYDAWCA** Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
**Zarząd:** Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
**Adres wydawcy i redakcji:** ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
**Reklama, promocja:** tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
**Prenumerata:** tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
**Projekt graficzny:** Marek Knap i Marek Trojanowski
**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

**„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny**

### Precz z piątą kolumną

Władimir Putin budował swoją władzę, stopniowo obejmując kontrolę i niszcząc wszelkie przejawy alternatywnej aktywności społecznej. Wzmacniał struktury siłowe, które miały czuwać nad tym, aby żaden polityk nie zagroził jego pozycji. Wyeliminowani zostali jego przeciwnicy – niektórzy fizycznie, jak Borys Niemcow czy Anna Politkowska. Sprawców tych zabójstw nie znaleziono. Organa ścigania i wymiar sprawiedliwości też są częścią systemu. Zamach na Aleksieja Nawalnego w 2020 r. miał zakończyć niepokojący Putina projekt polityczny tego opozycjonisty, w który zaangażowała się duża grupa aktywnej młodzieży. Gdy Nawalny przeżył otrucie i wrócił do Rosji, został osadzony w łagrze po sfingowanym procesie. Niedawno wytoczono mu nowy proces i skazano na kolejne 9 lat.

Zaostrzano prawo dotyczące działalności publicznej. W 2021 r. masowo zaczęto stosować przepis o przyznawaniu statusu „agenta zagranicznego" osobom prawnym i fizycznym, na których spoczywa cień podejrzenia o otrzymywanie subsydiów z zagranicy lub działanie na korzyść państw obcych. Korzystając z tego i innych podobnych przepisów, zlikwidowano struktury Nawalnego, a także innych organizacji. Pod ten strychulec podpadło zasłużone w propagowaniu wiedzy o historii stowarzyszenie Memoriał, zlikwidowane w grudniu.

> Po inwazji na Ukrainę w rosyjskich szkołach dzieci ustawiano w kształt litery Z, putinowskiej swastyki. Miał to być gest ich poparcia dla przywódcy.

Po 24 lutego Putin poszedł jeszcze dalej. Podzielił Rosjan wedle swoich kanonów na „patriotów" i „zdrajców" – piątą kolumnę, realizującą zlecenia wrogów. Zasugerował, aby ci pierwsi wzięli się za tych drugich i oczyścili naród. To już nie autorytaryzm, to totalitaryzm.

Czy wszyscy Rosjanie wpadli w pułapkę zastawioną przez Putina? Czy poparcie dla jego wojny jest powszechne? Na pewno jest duże. Ale też na pewno istnieje grupa, która nie tylko prezydenta nie popiera, ale jest przeciwna jego agresywnej polityce. Część z tych ludzi wyjechała z Rosji – do Gruzji, Uzbekistanu, Turcji. Część trwa w niewyobrażalnym szoku, że coś takiego jak krwawa wojna przeciwko Ukrainie mogło się wydarzyć. Część protestuje, narażając się na wysokie wyroki łagru za naruszenie prawa wojennego. Część zamknęła się w kapsule bezradności, czekając na rozwój wydarzeń. Bo choć Putin sam sobie wydaje się nieśmiertelny, jego rządy kiedyś dobiegną kresu.

Czy będzie to jednak koniec tej historii?

© ANNA ŁABUSZEWSKA

▪ Zdjęcia Anny Bedyńskiej pochodzą z projektu „Moskwa", realizowanego w latach 2014–2018.

REKLAMA

# Szczęście na wiosnę: PRZEKRÓJ w prenumeracie!

rysunek: Igor Kubik

Aby wesprzeć działania Fundacji PRZEKRÓJ, mogą Państwo przekazać 1% podatku, wpisując w zeznaniu podatkowym nr KRS 0000750752.

MAŁGORZATA

# Kordowicz:
## *Rajska dieta*

Zgrabnie to ujął współczesny komentator-językoznawca: na początku wszystkie żywe istoty były po tej samej stronie noża i widelca. Zaiste – stworzywszy ludzi, Najwyższy rzekł: „Oto oddaję wam wszelkie ziele rozsiewające nasienie, będące na powierzchni całej ziemi, i wszelkie drzewo, na którém jest owoc drzewny, rozsiewający nasienie: wam niechaj będą na pokarm", natomiast „wszelkiemu zwierzowi lądowemu, i wszelkiemu ptactwu nieba, i wszystkiemu, co się porusza na ziemi, w którém jest dusza żyjąca – wszelką zieloną roślinę – na pokarm!" (Rdz 1, 29-30; Cylkow). Zatem w rajskim ogrodzie obowiązywała dieta wegańska.

Jak to się stało, że w ludzkim jadłospisie znalazły się też inne żywe istoty? Kiedy Noe i jego rodzina wyszli z arki, zwrócił się do nich Bóg i usłyszeli między innymi: „Wszystko, co się rusza i co żyje, wam będzie na pokarm, jako zieloną roślinę oddałem wam wszystko" (9, 3). Można spróbować wejść na chwilę w buty Sema, Chama i Jafeta: po potopie powierzchnia ziemi była zniszczona i weganom zajrzała w oczy wizja śmierci głodowej. Można też – jak większość egzegetów – po prostu stwierdzić, że Wszechwieczny poszedł na ustępstwo w obliczu ludzkiej słabości czy też potrzeby agresji. Jakkolwiek agresja ta została ograniczona: „Wszakże istoty z życiem jej, z krwią jej – jeść nie będziecie" (wers 4). Nie wolno spożywać krwi. Zakazane jest też jedzenie fragmentu ciała żywego zwierzęcia – „istota z życiem jej" to dosłownie „mięso z jego życiem" (zob. też Pwt 12, 23). Póki zwierzę jest żywe, nie wolno odcinać z niego kawałka do zjedzenia. Według judaizmu to zakaz obowiązujący nie tylko Żydów, lecz wszystkich ludzi na ziemi.

Tora, wyłuszczając nam w 11. rozdziale Księgi Kapłańskiej, które zwierzęta są czyste, a które nieczyste – czyli w terminologii postbiblijnej: które są koszerne, a które nie – podaje nam kryteria ogólne dotyczące zwierząt lądowych i ryb. Jeśli chodzi o ptactwo, w wersach 13-19 dostajemy spis niedozwolonych gatunków. Tłumaczenie jest niepewne – pięć pierwszych ptaków spośród osiemnastu (i nietoperza – latającego, ale jednak ssaka) to u Cylkowa orzeł, kondor, sęp, sokół i krogulec, w Biblii Tysiąclecia zaś – orzeł, sęp czarny, orzeł morski, kania i sokół. Tak czy inaczej widzimy tu drapieżców i padlinożerców. Pamiętając również o kryteriach dotyczących dozwolonych ssaków lądowych – rozdzielone kopyto i przeżuwanie – możemy sformułować tezę, że jeśli już mamy jeść zwierzęta, to przynajmniej ograniczmy się do tych, które żywią się roślinami i nie napadają na inne gatunki z tego samego królestwa. Mówimy nierzadko: „jesteś tym, co jesz". Powrót do rajskiej diety niewątpliwie naprawiłby nasze relacje ze zwierzętami. Może z innymi ludźmi też? ©

O. WACŁAW

# Oszajca:
## *Rany Jezusa*

Po tragicznym zakończeniu pięknej życiowej przygody uczniowie Jezusa idą w rozsypkę. Kleofas z towarzyszem odchodzą z Jeruzalem, gdzie zamiast tryumfu musieli przełknąć klęskę, i z przypadkowo napotkanym podróżnym dzielą się już tylko wspomnieniami. Mówią: „Spodziewaliśmy się, że On [Jezus] właśnie miał wyzwolić Izraela". Ale Jezus odszedł do przeszłości, a czas wrócił w stare koleiny. Pozornie. Fakty potrzebowały właśnie czasu, żeby mogły przemówić. „Czy serce nie rozpalało się w nas, gdy rozmawiał z nami w drodze i wyjaśniał nam Pisma?". Mówiąc inaczej: czyż rozmawiając z tym podróżnym, nie przeczuwaliśmy, że coś tu jest nie tak, jak się nam wydaje, że jest.

Podobne rozczarowanie Jezusem przeżył Tomasz. Opowiadanie o powstaniu Jezusa z martwych skwitował: „Nie uwierzę, jeśli nie ujrzę na Jego rękach śladów po gwoździach, nie włożę swego palca w miejsce gwoździ i nie umieszczę swojej ręki w Jego boku". On też potrzebował czasu, żeby z kolei słowa znalazły potwierdzenie w faktach.

W Niedzielę Palmową, rozpoczynającą Wielki Tydzień Chwalebnej Męki i Śmierci naszego Pana, Jezusa Chrystusa, papież mówił: „Kiedy człowiek stosuje przemoc, nic już nie wie o Bogu, który jest Ojcem, ani o innych ludziach, którzy są braćmi. Zapomina, po co jest na świecie, i posuwa się do popełniania absurdalnych okrucieństw. Widzimy to w szaleństwie wojny, gdzie znów krzyżuje się Chrystusa. Tak, Chrystus po raz kolejny jest przybijany do krzyża w matkach, które opłakują niesprawiedliwą śmierć swoich mężów i dzieci. Jest krzyżowany w uciekających przed bombami uchodźcach z dziećmi na rękach. Jest krzyżowany w starcach pozostawionych samym sobie na śmierć, w ludziach młodych pozbawionych przyszłości, w żołnierzach posyłanych, by zabijali swoich braci. Chrystus jest w nich krzyżowany dzisiaj". Natomiast greckokatolicki kapelan wojskowy ks. Taras Pawlius dodaje: „W żołnierzach pojawia się pragnienie zemsty. My, kapłani, musimy uświadamiać im, że muszą umieć kochać wroga, bo zemsta prowadzi do jeszcze gorszych rzeczy". A pewien generał zapewnia, że idzie na wojnę nie żeby zabijać, gdyż – jak się wyraził – „za moimi plecami" chronią się nasze żony, dzieci, cywile. I jeszcze sekretarz generalny *ad interim* Światowej Rady Kościołów, ks. Iona Sauca: „nie przestanę wypowiadać się przeciwko jakiejkolwiek agresji, inwazji czy wojnie; nadal będę profetyczny i dołożę wszelkich starań, aby ŚRK była wierna swojej misji, czyli utrzymywania otwartego stołu dialogu. Bo jeśli wykluczymy tych, których nie lubimy lub z którymi się nie zgadzamy, z kim będziemy rozmawiać, jak możemy zmierzać do pojednania oraz trwałego i sprawiedliwego pokoju?". ©

ABP GRZEGORZ

# Ryś:
## *Ewangelia Wielkiej Środy*

*Ci, którzy myślą, że osiągnięcie doskonałości jest niemożliwe, wyrządzają wielką szkodę duszy. I ci, którzy sądzą, że osiągnęli już szczyt.*

**PRZYPISYWANE MAKAREMU EGIPSKIEMU**

*Dwie przywary trzeba z korzeniem wyrwać z ludzi: zadufanie i małoduszność.*

**EPIKTET**

Wybrał PIOTR SIKORA

Wszyscy wiemy, że w zapisie Ewangelii św. Jana Pan Jezus przekazał nam podczas Ostatniej Wieczerzy wielkie przykazanie miłości. W ten sposób to przykazanie objawia się nam jako szczególny „punkt dojścia" całego Jego nauczania: przez trzy kolejne lata przygotowywał nas na nie, nawołując: „Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha!". Nie po co innego, jak właśnie po to, aby nasze otwarte uszy usłyszały w końcu: „Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiłowałem: żebyście i wy tak się miłowali wzajemnie. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali" (J 13, 34-35).

Tak. To było na Ostatniej Wieczerzy – chwilę po tym, jak umył im nogi. Przykazanie miłości nie zostało jednak wypowiedziane od razu po umyciu nóg. Najbliższy kontekst był inny – zwróciłem na to uwagę dzięki zapisowi Lekcjonarza. Otóż w Wielki Wtorek Kościół czyta Ewangelię zaczerpniętą właśnie z 13. rozdziału św. Jana i oznaczoną przez następujące sigla: J 13, 21-33. 36-38.

Powiem Wam, że taki zapis zawsze wyostrza moją uwagę – natychmiast otwieram Biblię, żeby zobaczyć, co zostało pominięte (by nie powiedzieć: wycięte). Otóż tu najwyraźniej świadomie pominięto wersety 34. i 35., a więc właśnie pierwsze w Janowej Ewangelii sformułowanie Jezusowego przykazania miłości. To było w tym momencie (*kairós*). A co to był za moment? Co wydarzyło się tu wcześniej? I co wydarzyło się tuż po tym?

Najbliższy wcześniejszy kontekst stanowi zapowiedź zdrady Judasza – Jezus mówi najpierw do wszystkich apostołów: „Jeden z was Mnie wyda", a potem do Judasza: „Co masz uczynić, czyń prędzej!". Podaje mu kawałek chleba, a on – zawładnięty przez szatana – wychodzi w noc. O tym wszystkim opowiadają wersety J 13, 21-33.

A co następuje natychmiast po sformułowaniu przykazania miłości? Zapowiedź tego, że Piotr trzykrotnie wyprze się swojego Mistrza – przekonanemu o swojej wierności aż po śmierć Pan odpowiada: „Życie swoje oddasz za Mnie? Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci: kogut nie zapieje, aż ty trzy razy się Mnie wyprzesz". Ten dialog wypełnia wersety J 13, 36-38.

Przykazanie miłości zostaje więc proklamowane między dwoma dialogami Jezusa: z Judaszem i z Szymonem Piotrem – między dialogiem ze zdrajcą a dialogiem z zaprzańcem! Pośrodku tak strasznego zawodu – zderzenia z niewiernością najbliższych, w momencie odsłonięcia ich grzechu i słabości – Pan mówi: kocham was!

To właśnie jest Jego odpowiedź na naszą zdradę i zaprzaństwo. Kocham was! A potem: spróbujcie kochać podobnie. Po tym poznają, że jesteście Moimi uczniami. I to jest właśnie Dobra Nowina Wielkiej... Środy (Mt 26, 14-25). Ewangelia o Bogu, który na zdradę i zaprzaństwo nie potrafi znaleźć w sobie innej odpowiedzi niż miłość. ©

### CZYTANIA LITURGICZNE (24 IV – 1 V)

**2. Niedziela Wielkanocna – Miłosierdzia Bożego:** Dz 5, 12-16; Ps 118; Ap 1, 9-11a. 12-13. 17-19; J 20, 19-31;
**Poniedziałek:** 1 P 5, 5b-14; Ps 89; Mk 16, 15-20;
**Wtorek – Uroczystość św. Wojciecha:** Dz 1, 3-8; Ps 126; Flp 1, 20c-30; J 12, 24-26;
**Środa:** Dz 5, 17-26; Ps 34; J 3, 16-21;
**Czwartek:** Dz 5, 27-33; Ps 34; J 3, 31-36;
**Piątek:** 1 J 1, 5 – 2, 2; Ps 103; Mt 11, 25-30;
**Sobota:** Dz 6, 1-7; Ps 33; J 6, 16-21;
**3. Niedziela Wielkanocna:** Dz 5, 27b-32. 40b-41; Ps 30; Ap 5, 11-14; J 21, 1-19.

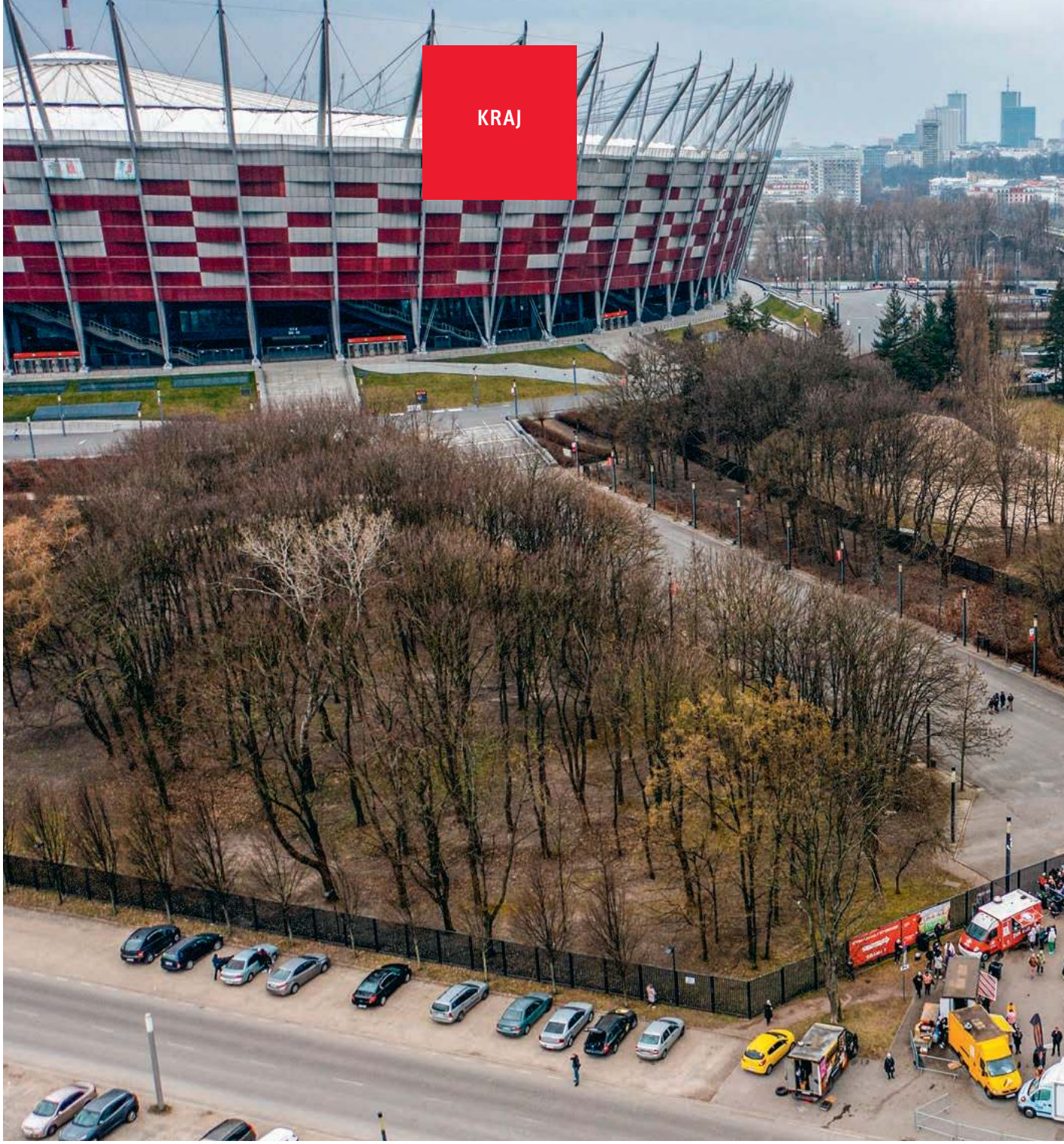

# DRUGA SOLIDARNOŚĆ

**MARCIN KĘDZIERSKI, EKONOMISTA I POLITOLOG:**

Miliony sfrustrowanych uchodźców mogłyby źle wpłynąć na przyszłość Polski. Ci ludzie muszą pracować i wspinać się po szczeblach drabiny społecznej, by stać się wartością dodaną, a nie tylko kosztem.

JERZY DUDEK / EAST NEWS

*Kolejka Ukraińców po PESEL przed Stadionem Narodowym w Warszawie. 29 marca 2022 r.*

**MAREK KĘSKRAWIEC: Minęły niemal dwa miesiące wojny, a wciąż nie poznaliśmy strategii rządu wobec wyzwań, jakie niesie obecność niemal dwóch milionów uchodźców. Na szczęście Uniwersytet Ekonomiczny w Krakowie skrzyknął środowisko specjalistów różnych dziedzin i opublikował raport „Inicjatywa Nowa Solidarność". Pokazuje on co zrobić, by nie doszło do katastrofy. Gdy go przeczytałem, zacząłem się bać jeszcze bardziej. Rząd utknął na dobre w wielkiej polityce międzynarodowej i wielu wewnętrznych problemów chyba nie zauważa.**

**MARCIN KĘDZIERSKI:** Mamy do czynienia z dwoma kryzysami: wojennym oraz uchodźczym, i niewątpliwie rząd jest dużo bardziej zaangażowany w ten pierwszy. Nie powstał nawet sztab antykryzysowy, jak podczas pandemii, kiedy działało Rządowe Centrum Zarządzania Kryzysowego. Z tego co wiem, dopiero po kilku tygodniach zdecydowano o codziennych odprawach wojewodów. Wcześniej każdy z nich działał trochę na własną rękę, choć podlegają im centralne instytucje, jak policja czy straż pożarna – a one potrzebują wspólnego scenariusza. Widać wyraźnie, że nasze państwo nie jest w stanie ogarnąć tych dwóch spraw naraz. Pamiętajmy jednak, że do Polski trafiło ponad 2,5 mln uchodźców, z czego zostały u nas niemal 2 mln. To dużo więcej niż cała Unia Europejska przyjęła w 2015 r. Kiedy w marcu na dworcu w Berlinie pojawiło się pewnego dnia 10 tys. Ukraińców, system się zatkał.

**Jak to możliwe, przy takich doświadczeniach z imigracją?**

Państwo niemieckie nie ma wsparcia obywateli i firm, co stało się polskim fenomenem. I co nas uratowało. Przy takiej skali migracji chyba żadna administracja nie byłaby w stanie sobie poradzić, nawet tak silna jak francuska czy niemiecka. I dlatego uważamy, że jedynym ratunkiem jest dziś koncepcja solidarnościowej kooperatywy, w której państwo działa trochę jak spółdzielnia. Tylko to może nas ponieść przez najbliższe miesiące, gdy ujawnią się potężne kryzysy. Zwróćmy uwagę, jak wspaniale zachowało się wielu właścicieli firm określanych wcześniej jako bezduszni janusze biznesu. Sami organizują zbiórki i wyjazdy na Ukrainę, rezygnując z normalnej działalności i zysków. Skala tego poruszenia jest niesamowita. Dotyczy obywateli, firm, organizacji społecznych, ale i urzędników. Państwo musi sensownie pokierować tą pozytywną energią.

**Dyskutowałbym, czy struktury urzędowe się sprawdziły.**

Dlatego mówię o urzędnikach, bo oni często najwięcej robili jako zwykli ludzie. Jeśli system przeszkadzał im działać, odnajdywali się w społecznej formule. To oddolne zorganizowanie polskiej wspólnoty i skala niesionej pomocy, z czego nie do końca zdajemy sobie sprawę, jest szokiem dla świata i przywraca do życia mit pierwszej Solidarności. Niedługo jednak ten emocjonalny zryw się skończy, gdyż nie da się długo funkcjonować w takim napięciu. ↦

**Ludzie zaangażowali swój czas, pieniądze, otworzyli swe serca i domy. Chcieliby, żeby państwo wreszcie przejęło od nich pałeczkę?**

No właśnie, często się mówi, że niesienie pomocy to nie jest sprint, tylko maraton. Moim zdaniem to powinna być sztafeta. I np. w maju na czele będzie państwo jak kolarz ciągnący peleton, a potem nastąpi zmiana, bo nasze struktury nie są takie jak w Niemczech, i na przód będzie musiał wyjść na jakiś czas np. trzeci sektor, żeby administracja nie została przytłoczona. Można tak działać, o ile państwo zdoła to sprawnie skoordynować. To bardzo trudne, bo nie mamy wzorców, a powielanie doświadczeń niemieckich nic nam nie da, gdyż to nieporównywalna skala wyzwań. Ta wojna może ciągnąć się miesiącami, a uchodźców w Polsce może być 5 mln, jeśli państwo ukraińskie znajdzie się w zapaści.

**Wtedy liczba uchodźców przekroczy 10 proc. populacji Polski. I dlatego dziwnie się czuję, gdy słyszę, jak wicepremier Kaczyński mówi, że nie będzie chodził na Zachód po prośbie i nie będzie wymuszał relokacji części Ukraińców.**

Wie pan, ta logika nie jest pozbawiona sensu. Zaletą naszych form opieki nad ofiarami tej wojny jest ich dobrowolność. Relokacje mają charakter przymusowy i pogłębiają traumy, tymczasem wielu Ukraińców koniecznie chce pozostać blisko swej ojczyzny. Oni nawet nie bardzo chcą jechać do mniejszych miejscowości. Trudniej stamtąd załatwiać sprawy, znaleźć pracę. To naprawdę dobre rozwiązanie, że mogą decydować o miejscu swego pobytu i przemieszczać się swobodnie po Europie. Relokacje wyobrażam sobie bardziej jako efekt porozumień, np. między miastami partnerskimi i samymi uchodźcami.

**A czy za wypowiedziami naszych rządzących nie stoi przekonanie, że Ukrainki z dziećmi powinny tu zostać? By z czasem je spolonizować i tym samym zaradzić katastrofie demograficznej, jaką wróży nam się od lat?**

Podobne głosy się pojawiają, ale skala wyzwań w krótkim i średnim terminie jest tak ogromna, że byłoby groteskowe, gdybyśmy w umęczonych osobach uciekających przed wojną widzieli daleką perspektywę ratunku dla polskiej demografii. Dziś w interesie naszego państwa jest silna Ukraina, a nie upadłe terytorium ze zniszczoną infrastrukturą i pełzającą wojną u naszych granic, które będziemy drenować z najlepszych ludzi. Na pewno takie osoby zostaną w Polsce, ale część z nich musi wrócić, by podnieść Ukrainę z kolan. Być może będzie nam potrzeba specjalnych strategii i programów, np. we współpracy z USA i europejskimi partnerami.

ARCHIWUM PRYWATNE

**MARCIN KĘDZIERSKI** – główny ekspert Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego, adiunkt w Centrum Polityk Publicznych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, radny sołecki.

**Mierzenie się z takimi wyzwaniami wymaga strategicznego myślenia, a tego u polskich elit, nie tylko rządowych, nie dostrzegam. Widzę natomiast, że w obliczu kryzysu uchodźczego nasze państwo obniża pierwszy próg podatkowy z 17 do 12 proc. I robi to, choć jednocześnie planuje zwiększać nakłady na ochronę zdrowia i armię. Może pan mnie jakoś uspokoić?**

Nie mogę, bo jako ekonomista też nie do końca rozumiem, na czym polega strategia rządu. Widzę dwa kierunki: władza, bojąc się stagnacji gospodarczej, obniża podatki większości z nas, byśmy więcej kupowali, napędzając konsumpcję i wpływy do budżetu z podatków. Z drugiej strony mamy zacieśnianie polityki monetarnej przez NBP i gwałtowne podnoszenie stóp procentowych, co oznacza ściąganie większych kwot od ludzi zamożniejszych, za jakich uchodzą kredytobiorcy. To nawet nie jest głupie, by ściągać większe daniny od wyższej klasy średniej, choć raczej wyszło przypadkiem i pozostaje pytanie, gdzie jest granica kosztów, jakie mogą ponieść ludzie zadłużeni w bankach. Generalnie wygląda to tak, jakbyśmy uciekając przed drapieżnikami, wpływali na nieznany nam akwen. Nie mamy mapy, ale wiemy, że są tam mielizny i skały. Ostatecznie podnosimy żagiel i płyniemy jak najszybciej: albo damy radę, albo się rozbijemy.

**Pierwsza skała: rynek pracy. Z jednej strony potrzebujemy tysięcy ludzi, z drugiej: brakuje ich w przemyśle, budowlance i transporcie. To raczej męskie zawody.**

Mamy dziś 150 tys. wakatów, ale to rzeczywiście tylko w części jest praca dla kobiet, a poza tym w przypadku silnej inflacji i zarazem możliwej recesji część z tych miejsc może wyparować. Możliwości dla Ukrainek będą w usługach, gastronomii, hotelarstwie, opiece. Tyle że już w tej chwili mówimy o niemal milionie kobiet przebywających w Polsce, a tylu miejsc pracy w tych branżach nie ma. Poza tym Ukrainki będą miały niższe wymagania płacowe od Polek, więc będą je wypychały z rynku, co zrodzi zrozumiałe napięcia społeczne, a może nawet nienawiść między kobietami. Nie mówi się o tym głośno, ale przyjazd setek tysięcy często młodych Ukrainek zmieni strukturę naszego społeczeństwa, jeszcze bardziej zwiększy dysproporcję między liczbą kobiet i mężczyzn. Nie odwracałbym głowy od problemów, jakie mogą z tego wynikać. Zwykła zazdrość, w obie strony, może tu być niszcząca.

**Niszcząca może być też nierównomierna presja na warstwy społeczne. Mniej ucierpi polska klasa średnia niż ludzie ubożsi. To tam rozgorzeją największe konflikty.**

Wielu ludzi w Polsce nie stać na prywatną szkołę, na prywatnego lekarza. To oni odczują najbardziej tłok w klasach i długie kolejki do lekarzy oraz na operacje. Jak również brak mieszkań na wynajem i wyższe czynsze spowodowane zwiększonym popytem. Dlatego konieczna jest jak najszybsza ogólnopolska inwentaryzacja pustostanów i powołanie specjalnych agencji najmu, które

pomogą znaleźć mieszkania dla uchodźców na dłuższy czas i ograniczyć wzrost cen najmu. Takie działania trzeba podejmować w wielu obszarach. Nie możemy żądać, by Polacy, którzy stracą pracę, a kolejka na zabieg wydłuży im się o dwa lata, zachowali spokój i za wszystko obwiniali Putina. Trzeba już dziś myśleć, jak wzmocnić państwo i jak część z tych kosztów przenieść na nie, a także na osoby lepiej sytuowane. Czas płynie i wraz z narastaniem problemów pojawią się animozje narodowe, podsycane również przez Rosjan, choć nie sądzę, by np. przypominanie o rzezi wołyńskiej mogło stać się dziś w Polsce skutecznym paliwem dla destabilizacji.

**Państwo postulują w raporcie mocne zaangażowanie samych uchodźców w rozwiązywanie problemów.**

To jest podstawowa sprawa. W najbliższych miesiącach będzie nam już brakowało wolontariuszy i dlatego w sposób mądry, podmiotowy trzeba jak najszybciej samych uchodźców włączać w system. Takim rozwiązaniem mogłyby się stać tworzone w gminach spółdzielnie socjalne dające możliwość analizowania potrzeb, wykorzystania zasobów ludzkich na rzecz społeczeństwa przy jednoczesnym zapewnieniu stabilnych miejsc pracy uchodźcom. Dopiero wtedy będziemy mogli relokować Ukraińców do mniejszych ośrodków, gdy będzie gwarancja, że nie ugrzęzną tam w beznadziei i nie staną się źródłem lokalnej niechęci.

**Ukrainki zgodzą się na niższe pensje od Polek, więc będą je wypychały z rynku.** Zrodzi to zrozumiałe napięcia społeczne, a może nawet nienawiść między kobietami.

**Brzmi to pięknie i bardzo idealistycznie. Rzeczywistość dla większości uchodźczyń na razie jest inna. Poznałem Ukrainkę, która jest na „okresie próbnym" i zarabia 20 zł dziennie, co jest przestępstwem pracodawcy. Słyszałem o kobietach, które chodzą od firmy do firmy i wszędzie po jednym dniu pracy za grosze są „zwalniane". Jak walczyć z tym wyzyskiem?**

Chciałbym, żeby to wybrzmiało. Musimy być szczególnie wrażliwi na kwestie wykorzystywania seksualnego kobiet i dzieci. Jeśli nie stworzymy tym ludziom godnych warunków do życia, to może być ogromny problem. Osoby słabe, bezradne są pierwszymi ofiarami, na które polują grupy przestępcze.

A co do wyzysku w firmach, od lat nasze środowisko apeluje o wzmocnienie inspekcji pracy, ale nie ma woli politycznej, by wspierać takie instytucje. To nie jest przypadek, że niezależnie od tego, jaka opcja rządzi w Polsce, w elitach władzy zawsze dominuje polityka prowadzona na rzecz przedsiębiorców, w mediach również ich głos jest traktowany dużo poważniej niż opinie z pozoru silnych związków zawodowych. I teraz nagle przyjechały do Polski tłumy ludzi przerażonych przyszłością, bez znajomości polskiego prawa pracy, gotowe przyjąć gorsze warunki niż my.

**Zatrzymajmy się na moment. Jak w ogóle Ukrainki pójdą do pracy? O ile dzieci w wieku szkolnym da się jakoś pomieścić w klasach, to przecież w naszych żłobkach i przedszkolach brakuje miejsc nawet dla polskich dzieci. Kto się zaopiekuje dziećmi Ukrainek, jeśli matki zechcą pracować? Przecież nie wciśniemy ich w kolejkę do żłobka, bo to grozi konfliktem, który ucieszy Putina.**

Nie może być cienia podejrzeń, że uchodźcy cieszą się specjalnymi przywilejami. Trzeba takim matkom pomóc stworzyć firmę, być może wspieraną z funduszy unijnych. Wtedy jedne uchodźczynie znajdą pracę w opiece nad dziećmi swych koleżanek, a pozostałe będą mogły poszukać pracy. To jest szansa na zachowanie ich podmiotowości i stworzenie całej branży opieki, również nad seniorami w naszym starzejącym się społeczeństwie. My po prostu ↦

musimy myśleć, jak tych ludzi przechować w godnych warunkach. Miliony sfrustrowanych uchodźców, z wyuczoną bezradnością i syndromem ofiary, mogłyby źle wpłynąć na przyszłość Polski. Ci ludzie muszą żyć, pracować i wspinać się po szczeblach drabiny społecznej, by stanowić wartość dodaną, a nie tylko koszt. Ale ktoś musi najpierw podstawić im tę drabinę.

**Od czego trzeba zacząć?**

Od wsparcia ze strony państwa i samorządów, np. w postaci szkoleń na temat polskiego prawa, pomocy w procesie zakładania firm prowadzących np. punkt przedszkolny, być może współfinansowania takich przedsięwzięć ze specjalnych funduszy, także europejskich, choćby w zakresie wynajmu pomieszczeń od gminy. Państwo musi na to znaleźć pieniądze. Nie może być tak, że MEiN przeznacza na jedno ukraińskie dziecko w warszawskim żłobku 400 zł miesięcznie. To trzy razy za mało.

**Matki będą mogły pracować także wtedy, kiedy starsze dzieci znajdą miejsce w polskich szkołach. Tymczasem w waszym raporcie czytam, że to przepis na katastrofę.**

Na razie powinniśmy zakładać, że te dzieci zostaną u nas kilka miesięcy i od września wrócą do szkół w Ukrainie. Wpychanie ich na siłę w naszą edukację nie ma sensu, tylko pogłębi ich traumę. O wiele sensowniej jest tworzyć ukraińskie świetlice czy oddziały przygotowawcze umożliwiające powolną adaptację i naukę w oparciu o tamten system, inny od naszego. Dlatego najlepiej małych Ukraińców wyposażyć w sprzęt i umożliwić udział w lekcjach online, które w tysiącach ukraińskich szkół cały czas się odbywają. I myśleć intensywnie, jak przygotowywać szkolnictwo, gdyby jednak okazało się, że wojna trwa i wiele dzieci zostanie u nas po wakacjach. To będzie wielka operacja logistyczna państwa i samorządów, tu już nie może być prowizorki i kłótni o fundusze.

**Ze słowem fundusze skojarzył mi się też inny problem. W proukraińskim uniesieniu zapomnieliśmy o okropnej chorobie trawiącej życie tego kraju.**

Powiedzmy wprost – Ukraina w wielu obszarach jest państwem skorumpowanym, do czego spora część społeczeństwa się przyzwyczaiła. Przedsiębiorcy zatrudniający Ukrainki w branży *beauty* relacjonują np., że w negocjacjach o podziale zysków wiele z uchodźczyń w ogóle nie zakłada płacenia podatków i składek. Wpojenie im, że z podatków państwo finansuje usługi dla obywateli, może potrwać. U nas taka mentalność panuje jeszcze w budowlance, ale tam raczej ukraińskie kobiety nie trafią. Opowiem panu coś jeszcze. Wiozłem ukraińską matkę z dziećmi do urzędu po PESEL i musiałem powiedzieć, że nie ruszę, dopóki dzieci nie będą zapięte w fotelikach. Trochę poczułem się jak zrzędzący Niemiec do Polaka w latach 80., ale dziś pewne rzeczy są już dla nas oczywistością.

**Musimy być szczególnie wrażliwi na kwestie wykorzystywania seksualnego kobiet i dzieci.**

Jeśli nie stworzymy im godnych warunków do życia, to może być ogromny problem.

**W waszym raporcie bardzo martwicie się o ceny, zwłaszcza żywności, która stanowi większość zakupów ludzi biedniejszych. Czy nie ochroni nas to, że akurat w tym segmencie gospodarki jesteśmy eksporterem i brak zboża nam nie grozi?**

Logika mówi co innego. Jeśli żywność na świecie będzie drożała, to nasz producent stanie przed dylematem: czy sprzedać ją panu taniej, czy komuś w Niemczech drożej. A jeśli dojdzie do osłabienia złotówki, to eksport stanie się jeszcze bardziej kuszący. W 2017 r. w jajkach w zachodniej Europie wykryto toksyczny fipronil, akurat przed Wielkanocą. Od razu doszło do masowego eksportu jaj z Polski i wzrostu cen. Nie mogliśmy wtedy, jako członek UE, zabronić eksportu, więc z żywnością może być podobnie. Pamiętajmy też, że jej cena i tak się zmieni z powodu wzrostu kosztów energii, pasz i nawozów, które importujemy. To dotknie cały świat i może oznaczać głód w wielu miejscach globu, co z kolei wzmocni presję migracyjną na Zachód, w tym Polskę.

**Żeby przez to wszystko przejść, będziemy musieli mieć końskie zdrowie. Albo szybki dostęp do lekarzy. To kolejna skała w naszym akwenie. Napływ uchodźców na pewno wydłuży kolejki do specjalistów, na zabiegi.**

Będę szczery – nie widzę rozwiązania poza tym, że musimy jak najszybciej włączyć do systemu ukraińskie lekarki, pielęgniarki, psycholożki. Długofalowo czeka nas radykalne doinwestowanie nie tylko ochrony zdrowia, ale wszystkich usług publicznych. Nie mamy innego wyjścia, bo dzisiejszy ich stan w nowych warunkach cofnie nas cywilizacyjnie. Z drugiej strony, już pandemia powinna dać duży impuls w tej kwestii, ale nic się nie zmieniło. Jeszcze raz podkreślę: nasze państwo sobie nie poradzi bez mądrego systemu współpracy z firmami, samorządami i organizacjami obywatelskimi. No i bez wsparcia funduszy z zagranicy, a tu kluczowe będzie zakończenie sporu z Unią. Tak w ogóle, intuicja mi mówi, że wojna zmieni bardzo Europę i nasze społeczeństwo. Ona unieważni wiele obecnych sporów, a świat po niej będzie inny, choć dziś trudno to sobie wyobrazić. Może skończy się historia imperium rosyjskiego? To upadanie może być brzydkie, ale nastąpi.

**Czy ta wojna jest dla Polski szansą w dłuższej perspektywie?**

Mam nadzieję, ale dziś nie myślę jeszcze o przyszłości rynku pracy, demografii, polityce. Bardziej chodzi mi o doświadczenie tej nowej kooperatywnej solidarności. Nawet jeśli pierwsza Solidarność została stłumiona przez stan wojenny, to doświadczenie zbiorowego dobra w Polsce przetrwało. Są takie rzeczy w życiu, których nie da się wyuczyć, ale trzeba je przeżyć. Doświadczenie pomocy ukraińskim siostrom i braciom jest powszechne, czyni nas dobrymi ludźmi. Nie powinniśmy być pyszni, ale dajmy sobie prawo, by się sobą zachwycić. Stać nas na wspaniałe rzeczy i to może ponieść Polskę. Nikt nie wierzył, że Ukraińcy będą się bronić dłużej niż kilka dni, my też możemy zaskoczyć siebie i świat.

©℗ Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

*Angelina, Swietłana, Katerina, Ela i Anna w domu w Udryczach. 31 marca 2022 r.*

# Stanąć na własnych nogach

TEKST I ZDJĘCIA ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

**Mówią jedna przez drugą. W ich opowieści bomby spadają na miasto, wyją syreny, a one same schodzą do piwnicy. Dziś próbują ułożyć sobie życie w Polsce.**

Rosyjscy żołnierze przyszli 24 lutego. Katerina Dobronos zobaczyła ich przez okno. Blok stał na obrzeżach Charkowa. – Był dom, nie ma domu – powtarza Katerina, przytulając trzyletnią prawnuczkę. Angelina wierci się na kolanach i woła: „Bam, bam, bam!".

### Ukraińcom nie wynajmę

Cztery kobiety i dziecko wsiadają do autobusu ósmego dnia wojny. Nic ze sobą nie biorą, nie ma kiedy. Ania, mama Angeliny, 24-letnia drobna blondynka, która w Charkowie była szwaczką, nie założyła nawet stanika. Swietłana mówi szybko i nerwowo skubie sweter. Trudno jej usiedzieć na miejscu. Wstaje, znowu siada. Katerina ociera łzy, bo chociaż zna opowieść córki, wszystko przeżywa od nowa. Tylko Angelina wesoło skacze po kuchni i prezentuje różowe adidasy. Dostała je trzy dni temu i nie chce zdjąć nawet do spania. Ania próbuje ją uciszyć. Nadaremnie: „Dobre sobaki!", krzyczy dziecko i chce iść na podwórko bawić się z psami. Najbardziej skryta jest Ela, która uczyła się w technikum tekstylnym i chciałaby projektować ubrania.

– U nas tylko sumka z dokumentami i to, co na sobie – pokazuje Swietłana Łysenko, córka Kateriny i mama Ani. – Wszystko, co teraz mamy, dali nam ludzie. Głównie pani Krystyna i jej koleżanki.

Rodzina Kateriny Dobronos zamieszkała w Udryczach niedaleko Zamościa, w domu Krystyny Stańczak. Do najbliższego przystanku są dwa kilometry, ale i tak nie można liczyć na publiczny transport, autobusy docierają tu rzadko. Do urzędu, do banku, do pracy potrzebna jest podwózka. Gospodyni, dzięki sieci znajomych, znalazła zajęcie dla Swiety (pracuje w hurtowni), dla Ani (sortuje parkiety) i dla najmłodszej Eli (zatrudniła się w kawiarni). Pracę zaczynają o różnych porach, na razie podwożą je polscy znajomi. Kobiety potrzebują mieszkania w Zamościu, ale nikt nie chce go wynająć Ukraińcom.

– Obdzwoniłam wszystkie agencje nieruchomości. Jak ludzie słyszą, że to dla Ukraińców, nie ma tematu. Właściciele boją się, że nie będą mogli pozbyć się lokatorów, bo przepisy nie pozwalają ich wyrzucić. Premier powiedział kilka pięknych słów i tyle – Krystyna Stańczak rozkłada ręce. – Nie ma nawet wytycznych, jak odbierać 40 złotych pomocy.

Stańczak, z wykształcenia psycholożka, przeniosła się do Udrycz z Warszawy. ↦

↦ Prowadzi na Roztoczu agroturystykę. Od miesiąca pomaga rodzinie Kateriny. Widzi, jakie zmiany zaszły w zachowaniu gości: śmieją się, wychodzą do lasu, próbują uczyć się polskiego.

– Niedługo zaczynam sezon turystyczny, mam już rezerwacje na pokoje i nie mogę ich dłużej tu trzymać. Mogłabym Ukrainki odwieźć do remizy, gdzie jest punkt pomocy, ale żal mi. One zarabiają na siebie, mają poczucie, że coś od nich zależy, że sobie radzą. Muszą mieć mieszkanie, ale same go nie znajdą – denerwuje się Krystyna.

Niechęć właścicieli do wynajmowania mieszkań Ukraińcom wynika z tego, że według polskiego prawa po zawarciu umowy na zasadach ogólnych nie można pozbyć się lokatorów: trzeba dla nich znaleźć mieszkanie zastępcze. Wiosną 2020 r. wprowadzono w związku z pandemią zakaz eksmisji osób niepłacących za wynajem. Przepis od dawna „obchodzi się", dodając klauzulę ustalającą, że lokator ma gdzie się wyprowadzić, trudno jednak wymagać podpisania takiej deklaracji od uchodźców. Ciężar ochrony wynajmujących przeniesiony został w całości na właścicieli, którzy nie chcą popaść w kłopoty, jeśli np. lokatorzy zadłużą mieszkanie.

### Złożyła ofertę i czeka

Anna Szmerecka też chciałaby wynająć coś w Zamościu. Mogłaby wtedy ściągnąć mamę, powierzyć jej opiekę nad dziećmi i pójść do pracy na cały etat. Uciekła z rodziną z Chmielnickiego, przez pierwsze dni nawet nie chciała myśleć o dłuższym pobycie w Polsce. Jednak wojna się przeciągała, trzeba było zająć się edukacją siedmioletniej Poliny, znaleźć przedszkole dla czteroletniego Zahara. Mieszkają u dalekiej rodziny męża. Mama, siostra i brat Ani pojechali do Warszawy, ale i tam wcale nie jest łatwo z pracą i mieszkaniem.

– Tęskniłam przez dwa tygodnie, potem wzięłam się w garść. Chodzę na kurs językowy, załatwiłam sprawy w urzędach. Dzięki pomocy właścicielki minizoo z Zamościa ruszyłam z zajęciami „Lekcje kreatywności dla dzieci". Zaproponowałam 30 złotych od spotkania i mam już kilka zgłoszeń – zaznacza.

Szmerecka maluje, rzeźbi, robi na drutach, chce tego uczyć polskie i ukraińskie dzieci. Przed wojną prowadziła sklep, sprzedawała dzieła artystów z całego kraju. Teraz wspiera żołnierzy na froncie: z grupą wolontariuszek szyje kamizelki kuloodporne i wysyła je do kraju. Cały czas rozgląda się też za pracą, która pozwoli jej zarobić na życie. Chciałaby zatrudnić się w bibliotece, ma pomysł na zajęcia dla dzieci ukraińskich, które nie mają kontaktu z rodzimą literaturą i sztuką. Złożyła ofertę i czeka.

*Alona Haleta, 30 marca 2022 r.*

*Anna Szmerecka z córką Poliną, 13 kwietnia 2022 r.*

### Termin ważności

Alina Matwiejczuk ma 10 lat i chce być piosenkarką. Stoi na środku kuchni i śpiewa „Witaj, majowa jutrzenko". Piosenki nauczyła się w szkole podstawowej w Cześnikach. Do Polski przyjechała z mamą i dwójką rodzeństwa, zamieszkali w gospodarstwie Mateusza Staronia w Niwirkowie (województwo lubelskie).

– Wojna zaczęła się w czwartek, a w sobotę miałem pierwszych gości, ledwie zdążyłem zrobić remont łazienki. Od czterech lat zatrudniam Ukraińców do prac sezonowych, mam wśród nich wielu znajomych, musiałem im pomóc – opowiada Staroń.

Gospodaruje na 25 hektarach, obsiewa pole zbożem, sadzi buraki, ale największy dochód dają mu truskawki i maliny. W sezonie, czyli od czerwca do połowy października, zatrudniał dwudziestu pracowników. Mieszkali w budynku gospodarczym, w którym teraz schronienie znalazło czternaścioro uchodźców. Swietłana Matwiejczuk, mama Aliny, w ubiegłym roku pracowała przy zbiorze truskawek. Choć w Ukrainie była księgową, jej zarobki nie wystarczały na utrzymanie domu. W czerwcu też chce zbierać owoce, chociaż boi się, że z trójką dzieci trudno będzie iść na tyle godzin w pole. Damian, najmłodszy syn, ma 4 lata. Swieta niczego jednak nie chce teraz planować, upina rudawe włosy i idzie na podwórze. Trzeba dużej samodyscypliny, żeby żyć w takim zagęszczeniu i nie popaść w konflikty, ale najważniejsze to „wybiegać" dzieci. Wtedy dobrze śpią i nie pytają, co robi tata. Tych pytań Swieta najbardziej nie lubi...

– Na początku dostawaliśmy dużo darów, przynosili znajomi, przywozili wolontariusze, ale teraz pomocy jest wyraźnie mniej – mówi Staroń. – Trudno o mięso, zostały produkty z długim terminem ważności. Miały być jakieś pieniądze od państwa, ale miesiąc minął i nic.

W gospodarstwie Staronia zatrzymały się cztery rodziny. Kobiety pieką chleb, placki, ciasta, a do sklepu chodzą tylko po nabiał i mięso dla dzieci. Gotują na zmianę. Nie chcą wracać do Ukrainy, liczą, że przy pracach sezonowych zarobią na bieżące potrzeby.

– Wojna uwalnia w ludziach zło – mówi Wiera, która od lat przyjeżdża do Polski za pracą. – W Równem przywiązali do słupa mężczyznę, spuścili mu spodnie i bił go, kto chciał. Tak się karze złodziei, zdrajców i tych, co sprzedają nielegalnie alkohol. Tylko po co dzieci mają na to patrzeć?

### Nie ma do czego wracać

Lesia Oliinyk ugotowała barszcz, upiekła mięso i zrobiła sałatkę warzywną, żeby było na kilka dni. Wcześniej kupiła ośmioletniemu Danile pizzę, ale nie zje-

dli całej – kawałek zostawiła na następny dzień, zamiast kanapki do szkoły. Tego dnia nie poszli jednak do szkoły: o 4.30 siedzieli w samochodzie znajomych i próbowali wydostać się z Kijowa. Korek zablokował miasto, auta omijały wielki pocisk, który sterczał wbity w asfalt. Rano Lesia miała kwadrans, żeby spakować plecak. Obudziła syna, założyła dres na piżamę, zabrała dokumenty, pieniądze i złoto. Po 24 godzinach dotarli w Karpaty. Przez całą drogę Lesia opowiadała dowcipy i śpiewała piosenki, żeby tylko koleżanka nie zasnęła za kierownicą. Karty płatnicze nie działały, przed sklepami rosły kolejki, nic nie można było kupić.

– W domu cała lodówka zapchana, a tu my siedzieliśmy głodni w samochodzie. Najbardziej jednak brakuje mi książek, szczególnie „Mistrza i Małgorzaty". Czytam ją co pewien czas i zawsze odnajduję coś nowego. No i kolekcji storczyków, które pewnie dawno uschły – opowiada Lesia.

Z granicy odebrał ją przyjaciel, u którego wcześniej umieściła starszą córkę. Waleria skończyła w Kijowie dziewiątą klasę i postanowiła uczyć się dalej za granicą. Przyjeżdżała do Polski na obozy cyrkowe, bo od szóstego roku życia ćwiczyła gimnastykę artystyczną – jeździła na monocyklu, wykonywała program na trapezie, żonglowała. Kiedy miała 13 lat, podczas występu zerwało się koło podwieszone pod sufitem. Dziewczyna uszkodziła kręgosłup, przez rok nosiła gorset, mogła chodzić, ale musiała zapomnieć o akrobatyce. Zapisała się na kurs polskiego.

**Niechęć do wynajmowania mieszkań Ukraińcom wynika z przepisów prawa.**

Nie można pozbyć się lokatorów, trzeba dla nich znaleźć mieszkanie zastępcze.

– Nasza Polska zaczęła się od cyrku, poznałyśmy dzięki niemu wiele miast, mamy tu znajomych. Kiedy Waleria zaczęła u was liceum, przyjeżdżałam co dwa miesiące, spędzaliśmy razem święta. Bywałam na wakacjach, ale nie myślałam, że będę tu żyć i pracować – mówi.

Oliinyk skończyła w Kijowie prawo, pracowała w kancelarii notarialnej, a potem zatrudniła się w gimnazjum jako sekretarka i zaczęła studia pedagogiczne, żeby uczyć historii. Za dwa miesiące miała bronić pracę magisterską. Teraz, kiedy pierwszy szok minął, zgłosiła się do dyrektorki szkoły podstawowej w Zwierzyńcu jako wolontariuszka, a po tygodniu została zatrudniona w charakterze asystentki nauczyciela. W szkole jest 46 uczniów z Ukrainy. Początkowo dzieci polskie i ukraińskie uczyły się razem, ale jest ich tak dużo, że nie mieszczą się w klasach, mają też trudności z językiem. Chodzą wiec do szkoły w systemie zmianowym, lekcje dla Ukraińców zaczynają się o 12.30, wcześniej dzieci dostają obiad. Obiad jest ważny, bo matki żyją w różnych warunkach i nie zawsze mogą coś ugotować. Dzieci mają więc jeden gorący posiłek w ciągu dnia.

Grażyna Kawka, dyrektorka szkoły w Zwierzyńcu, zatrudniła jeszcze dwie nauczycielki z Ukrainy. Uczniowie są w różnym wieku, trzeba było ich podzielić zgodnie z umiejętnościami. Lesia organizuje zajęcia dla nastolatków. Brakuje materiałów po ukraińsku i na razie głównym źródłem dla nauczycielek pozostaje internet.

– Dzieci przychodzą w różnym stanie, niektóre zamykają się w sobie, nie chcą rozmawiać, inne nawiązują przyjaźnie, chcą zapomnieć o przeszłości, ale są też takie, które potrzebują przytulić się do ↦

↦ kogoś, kto je zrozumie – opowiada Lesia. – Jest tu rudowłosa dziewczyna z Irpienia. Przyszła do mnie na początku: „Mojego domu już nie ma, my nie mamy do czego wracać". Po takich rozmowach wiem, że moja praca tutaj ma sens. Że jestem im potrzebna.

### Mamo, uratuj psa

Problem adaptacji uchodźców podejmują także naukowcy przyglądający się migracyjnej fali. Dr Karolina Podgórska z UMCS podkreśla, że osoby uciekające z Ukrainy zostaną w naszym kraju na dłużej, więc rząd powinien opracować strategię: jak interweniować na rynku pracy i w służbie zdrowia, a także jak wspomóc edukację dzieci. Na razie nie ma jednak żadnych wytycznych.

– Mieszkamy z mężem w dwóch pokojach, jeden oddaliśmy matce z dwójką dzieci. Zaznaczyliśmy na początku, że będziemy pomagać przez 2-3 tygodnie, na tyle nas stać. Chcieliśmy znaleźć dla Tetiany inne miejsce, ale jak ona poradzi sobie bez języka? Czym zapłaci za mieszkanie? – pyta Barbara z Tomaszowa Lubelskiego.

Tetiana próbowała piec ciasta i torty na zamówienie, w niedużej kuchni kręciła mak, robiła miodowe ciasto ze śliwkami, suszyła bezę. Nie zarobiła nawet na żłobek dla syna. Z wykształcenia jest lekarką: chciała w Polsce nostryfikować dyplom, ale teraz nie ma siły wstać z łóżka, żeby przygotować kolację dla Aloszy. Nie może skupić się na zdalnych lekcjach Oleny. To jej ostatni tydzień w Polsce.

Postanowiła, że wróci, gdyż od wielu dni nie ma wiadomości od męża, który zgłosił się do obrony terytorialnej. Mieszkali w Buczy, ale dom spłonął podczas bombardowania. Tam nie ma po co wracać. Pojedzie z dziećmi do rodziny, na południe. Pieniądze, które przywiozła ze sobą, szybko stopniały. „Kupuj złoto. Pierścionki i kolczyki zawsze wymienisz na chleb" – mówiła Tetianie od dziecka babcia, która przeżyła II wojnę światową. I Tetiana kupowała, choć nigdy nie pomyślała, że rady babci się przydadzą.

– Tylu ludzi zginęło, a mnie się ciągle śni pies trafiony odłamkiem. Wył z bólu, miał rozszarpany brzuch, ludzie ładowali się do autobusu i nie zwracali uwagi. A moja Olenka w płacz: „Mamo, nie możemy tak jechać, uratuj psa".

Aleksandra Zińczuk, poetka, redaktorka magazynu „Kultura Enter", od lat realizuje projekty transgraniczne. Po wybuchu wojny jako wolontariuszka włączyła się w działania Lubelskiego Społecznego Komitetu Pomocy Ukrainie. Organizuje mieszkania i transport, pomaga w dostarczaniu leków i jedzenia.

> Najtrudniejsza jest tęsknota za domem i lęk o najbliższych: mężów i rodziców, którzy musieli zostać w kraju.
> **Problemem jest też wstyd, kiedy trzeba prosić o pomoc.**

– Dla kobiet, które spotykam, najtrudniejsza jest trauma wojenna, tęsknota za domem i lęk o życie najbliższych: mężów, rodziców, którzy musieli zostać w kraju. Towarzyszy im poczucie bezsilności, zagubienia, niepewności. Spotykam kobiety zawstydzone tym, że muszą prosić o pomoc. Większość powinna właściwie skorzystać z profesjonalnego wsparcia psychologicznego, problem w tym, że wstydzą się je przyjąć.

### Oddać to, co dostaliśmy

Alona Haleta jest pielęgniarką, ma 36 lat, w Kijowie pracowała w laboratorium, jednak w Polsce zaczęła od sprzątania mieszkań. Przyjechała do Zamościa samochodem z dwójką dzieci i mamą. Po Ukrainie bała się prowadzić, w Polsce jeździ swobodnie.

– Nie znam języka, nie podjęłabym się pracy w zawodzie – opowiada. – Mąż jest informatykiem w zagranicznej firmie, przysyła nam pieniądze na wynajęcie mieszkania i na życie. Sprzątam, żeby nie rozmyślać.

Spotykamy się w kawiarni, co ją wyraźnie krępuje. Rozgląda się niepewnie, jakby nie miała prawa siedzieć w takim miejscu i pić kawy latte. Ma wyrzuty sumienia, że jest bezpieczna, a w kraju ludzie narażają życie. Trzy razy w tygodniu segreguje ubrania dla uchodźców. Nie chce jechać dalej. Wierzy, że wojna szybko się skończy. Że wróci do mieszkania, które niedawno kupili z mężem na kredyt w centrum Kijowa i z takim trudem wyremontowali.

– Mąż mówił: „Będzie wojna, uciekajmy". Gdybym go posłuchała, bylibyśmy teraz razem. Nie mogłam. Ojciec chorował, pochowaliśmy go 23 lutego, a następnego dnia Rosjanie zaczęli bombardowanie – opowiada Alona.

Czasem spaceruje z dziećmi po rynku Zamościa. Spotyka tam innych Ukraińców, wymieniają pozdrowienia i informacje.

Eugeniusz i Olena Filipczuk przychodzą tu trzy razy w tygodniu, towarzyszy im suczka Tessa. Idą też na dyżur do rozdzielającego pomoc klubu harcerskiego Viking. Przyjechali z Kołomyi. Mają dwóch synów: Bogdan jest licealistą i chce zostać lekarzem, Janek chodzi do przedszkola. Choć służby graniczne nie wypuszczają z kraju mężczyzn, Eugeniuszowi udało się wyjechać. Jest na rencie, nie widzi na jedno oko. W Ukrainie był doradcą podatkowym i dobrze mówi po polsku. Chciałby znaleźć pracę w zawodzie. Olena skończyła biochemię i pielęgniarstwo. Zależy jej na nostryfikacji dyplomu, ale nie zna polskiego. Zapisała się na kurs. Podkreśla, że nawet jeśli są trudności, nie można „opuszczać rąk". No i zawsze może być gorzej, po pomoc zgłaszają się przecież ludzie z Irpienia, Sum, Zaporoża, którzy czasami nie mają nawet szczoteczki do zębów i bielizny na zmianę. Olena pomaga im zebrać te drobiazgi, żeby w nowym miejscu mogli poczuć się choć trochę jak u siebie.

– Chcemy zostać w Polsce, wyrobiliśmy pesele i dokumenty potrzebne do świadczeń socjalnych. Ale bez pracy nie da się żyć, nie można przecież ciągle jeść makaronów i konserw z darów. Teraz nie płacimy za mieszkanie, pomagają Polacy, szczególnie harcerze. Chcemy jednak stanąć na nogi i oddać to, co dostaliśmy – mówi Eugeniusz Filipczuk.

■ ■ ■

Kiedy dzieci zasną i zgaśnie światło w użyczonych mieszkaniach, z kątów wychodzą tęsknoty. Eugeniusz i Olena oglądają zdjęcia domu przesłane przez sąsiadkę, Alona pyta przez telefon męża: „Ile to jeszcze potrwa?", Lesia tęskni za kijowskim niebem i zapachem karmelu, który docierał do jej okien z fabryki czekolady.

– Kupiłam dwa storczyki, mogę zacząć życie od nowa – mówi jednak na pożegnanie Lesia Oliinyk.

© ELIZA LESZCZYŃSKA-PIENIAK

GRZEGORZ CELEJEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Szkolenie posługiwania się bronią w prywatnej strzelnicy. Jaworzno, 24 marca 2022 r.*

# Kule się kłaniają

MAREK RABIJ

**Uproszczenie dostępu do broni palnej w Polsce nie jest tak groźnym pomysłem, jak twierdzą jego krytycy, ale nie poprawi też naszego bezpieczeństwa – jak z kolei przekonują zwolennicy zmian.**

Czterysta złotych – tyle przeciętnie trzeba dziś wydać na strzelnicy, by zapoznać się z bronią palną. Menu jest obszerne – każdy znajdzie coś dla siebie. Zaczynamy od pięciu strzałów ze sportowego pistoletu bocznego zapłonu, niezbyt głośnego i z delikatnym odrzutem. Potem karabinek sportowy na taką samą amunicję, a gdy opadną pierwsze emocje, można przejść do dania głównego, czyli broni na amunicję centralnego zapłonu, jakiej używa wojsko i policja.

Pięć strzałów z pompki, czyli strzelby typu shotgun. Potem, dla odpoczynku dla obitego przez kolbę ramienia, piątka z pistoletu 9 mm. Najczęściej z glocka. Czemu? Bo to najbardziej rozpoznawalny pistolet globu. Następnie AK-47, czyli kałasznikow, najlepiej w oryginalnym kalibrze 7,62x39 mm. Balistykę ma – jak mówią instruktorzy – fatalną, ale przy pierwszym strzelaniu chodzi o kontakt z bronią. Mało kto trafia w tarczę, nie mówiąc o jej środku. Wreszcie amerykański AR-15 w natowskim kalibrze 5,56, piekielnie hałaśliwym, ale celnym. Gdzieniegdzie w bonusie dadzą być może wystrzelić z rewolweru magnum lub kultowego amerykańskiego .45 ACP. I tyle. Jakieś 30-45 minut zabawy pod okiem instruktora i może setka amunicji do wykorzystania.

Chętnych jednak nie brakuje. Na niektórych strzelnicach w dużych miastach trzeba się wpisać na listę oczekujących. W Krakowie w kilku obiektach pierwsze wolne terminy są w połowie maja.

### Wojna wszystko zmienia

Rosyjska agresja na Ukrainę obudziła nie tylko stare polskie strachy przed najazdem ze wschodu, terrorem i utratą niepodległości. Na polityczną agendę niespodziewanie wrócił temat uproszczenia dostępu do broni palnej, bliski zwłaszcza politykom Kukiz'15 oraz prawemu skrzydłu PiS. O konieczności liberalizacji ustawy o broni i amunicji z 2011 r. posłowie obu ugrupowań – dyskretnie wspierani przez lobby strzeleckie – napomykali niemal od początku pierwszej kadencji rządów PiS. Ale za każdym razem natrafiali na niechęć partyjnej góry, ewidentnie obawiającej się reakcji opinii publicznej.

Po 24 lutego sytuacja uległa gwałtownej zmianie, a dokładnie miesiąc po ataku Rosji na Ukrainę grupa posłów Kukiz'15 oraz Prawa i Sprawiedliwości złożyła w Sejmie projekt ustawy o broni i amunicji. Jego autorzy przekonują, że w nowych przepisach chodzi przede wszystkim o uproszczenie procedury przyznawania pozwoleń, ale nie kryją, że zależy im również na zwiększeniu sprzedaży broni, amunicji oraz akcesoriów strzeleckich. I to nawet o miliard ↦

↦ złotych rocznie. Słowem – o dozbrojenie społeczeństwa.

Dostęp do broni palnej w Polsce nie jest prawem podmiotowym, takim jak np. słynna amerykańska druga poprawka. Warunkiem uzyskania pozwolenia jest po pierwsze niekaralność. Potem zaś zdrowie psychiczne oraz udokumentowana przyczyna wniosku, którą może być zarówno stałe i realne zagrożenie zdrowia lub życia, jak i członkostwo w kole łowieckim, klubie sportowym, stowarzyszeniu kolekcjonerskim albo w rekonstrukcyjnej grupie wojskowej. Ustawa o broni i amunicji wymienia łącznie osiem takich powodów.

### Koniec sportu

Pomijając szereg technicznych drobnostek, autorzy nowelizacji proponują przede wszystkim zastąpienie dotychczasowych pozwoleń celowych – zezwoleniami na daną kategorię broni. W ten sposób do zakupu strzelby lub sportowej broni małokalibrowej bocznego zapłonu wystarczyłaby tzw. obywatelska karta broni przysługująca każdemu pełnoletniemu, niekaranemu i zdrowemu psychicznie obywatelowi, naturalnie po krótkim przeszkoleniu z zasad bezpieczeństwa. Po 5 latach każdy posiadacz karty nabywałby automatycznie uprawnienia do ubiegania się o pozwolenie na pozostałą broń palną dopuszczoną w Unii do obrotu cywilnego. Tych, którzy bez karty chcieliby od razu rozszerzonego pozwolenia na broń, czekałby państwowy egzamin z jej obsługi.

Czym poskutkowałyby takie zmiany? Z pewnością przerzedzeniem grona ponad 45 tys. „sportowców" zrzeszonych dziś w Polskim Związku Strzelectwa Sportowego – oficjalnie w celu szlachetnej rywalizacji na strzelnicach, a w rzeczywistości często jedynie po to, by zaliczyć osiem startów rocznie niezbędnych do przedłużenia licencji sportowej, co z kolei daje gwarancję, że policja nie przyczepi się do pozwolenia.

Identyczny spadek zainteresowania spotkałby także stowarzyszenia kolekcjonerów broni palnej – bo właśnie pozwolenia do celów sportowych i kolekcjonerskich stały się w ostatnich latach najdogodniejszą drogą na skróty po własny pistolet czy karabin. Armia kolekcjonerów liczy dziś blisko 40 tys. osób – i w dużej części pokrywa się z listą członków PZSS (popularnym sposobem na powiększenie domowego arsenału jest posiadanie kilku pozwoleń jednocześnie). Olbrzymia większość polskich strzelców, zmuszanych przez ustawę do opłacania składek w stowarzyszeniach lub udawania sportowców na zawodach, przywita takie zmiany z radością. Ale czy dzięki nim wzrośnie także potencjał obronny Polski?

### Liga obrony poglądów

Zdaniem autorów nowelizacji łatwiejszy dostęp do broni palnej oznacza po prostu więcej broni w polskich domach, to zaś ma pociągnąć za sobą także skokową poprawę bezpieczeństwa narodowego. Jesteśmy – jak przypominają posłowie – jednym z najbardziej rozbrojonych społeczeństw Europy. Istotnie, na 100 mieszkańców przypada dziś w Polsce ledwie 1,7 sztuki broni palnej, podczas gdy w Szwajcarii ta sama proporcja sięga 27.

Rzecz jasna nikt nie proponuje pospolitego ruszenia milionów cywilów uzbrojonych w poradzieckie kałachy jako odpowiedzi na wrogie czołgi i myśliwce. Chodzi raczej o zmianę społecznej percepcji broni palnej, która w Polsce faktycznie ociera się czasem o farsę. Kilkanaście miesięcy temu klienci restauracji *fast food* pod Warszawą wszczęli alarm i wezwali policję, ponieważ do środka weszli... uzbrojeni żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej, którzy również chcieli się posilić.

Samo uproszczenie procedury zakupu broni nie musi dawać gwarancji jej upowszechnienia. W latach 2018-2021 Polacy zwiększyli legalnie posiadany arsenał broni palnej z 505 tys. do 658 tys. sztuk, czyli o ponad 30 proc. W tym samym czasie liczba wydanych pozwoleń wzrosła o zaledwie 17 proc., bo z 215 do 252 tys. Słowem – obroty w sklepach z bronią nakręcali nie tyle nowi klienci, ile ci, którzy postanowili się dozbroić. Nie licząc ubiegłego roku, na którym ewidentnie zaciążyło już widmo wojny za naszą wschodnią granicą, dynamika przyrostu liczby strzelców w Polsce ulegała od kilku lat wyraźnemu wypłaszczeniu. Powoli pryska czar dostępu do zakazanego owocu. Trudno więc pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę pod pretekstem zwiększenia potencjału obronnego Polski lobby strzeleckie – czyli właściciele strzelnic, sklepów tudzież szefowie rozmaitych klubów i stowarzyszeń – chroni się dziś przed więdnącym zainteresowaniem bronią palną.

### Ulice spłyną krwią

Inna sprawa, że argumenty ich oponentów też mają niewiele wspólnego z faktami. Przeciwnicy uproszczenia dostępu do broni od lat straszą tym samym: krwawą jatką, w jaką rzekomo mają się zamienić polskie ulice. Tymczasem związek między dostępnością broni a poziomem przestępczości z pewnością istnieje, ale nie jest tak linearny, jak chcieliby radykalni przeciwnicy obecności pistoletów w polskich domach.

W najlepiej uzbrojonym państwie świata, jakim są dziś USA (ponad 120 sztuk broni w przeliczeniu na 100 mieszkańców), od kul ginie rocznie około 4,7-5 z każdych 100 tys. osób. W Hondurasie identycznie obliczony wskaźnik zabójstw z użyciem broni przekracza natomiast aż 66 – mimo że na każde sto osób przypada tu zaledwie 10 sztuk zarejestrowanej broni. W Nowej Zelandii, gdzie obywatele trzymają legalnie statystycznie prawie 30 razy więcej broni niż Polacy, strzelaniny zbierają czterokrotnie mniej krwawe żniwo niż nad Wisłą.

Przeciwnicy upraszczania dostępu do broni palnej podkreślają również, że liberalizacja przepisów niebezpiecznie powiększa pulę pistoletów, karabinów i strzelb, które bandyci mogą ukraść, aby następnie używać ich do innych niecnych celów. Brzmi logicznie. Ale czy tak rzeczywiście się dzieje?

Policja prowadzi tzw. rejestr broni utraconej, większość wpisów pochodzi jednak z lat 90. zeszłego wieku i dotyczy broni gazowej. Bardziej przydatne informacje znaleźć można w raporcie pokontrolnym NIK, która w 2015 r. zbadała policyjne rejestry broni. Wynika z niego, że od stycznia 2014 do czerwca 2015 r. zgłoszono w Polsce utratę sporej liczby, bo 3762 egzemplarzy zarejestrowanej broni palnej. Odzyskano 537. W tym samym czasie policja zabezpieczyła 1,6 tys. sztuk broni z nielegalnych źródeł – zapewne maleńki wycinek arsenału rodzimych bandytów. Sejfy polskich posiadaczy zarejestrowanej broni palnej raczej nie są podstawowym źródłem zaopatrzenia dla przestępców. Łatwiej jest kupić broń z przemytu.

Patrząc na wieloletnią dyskusję o dostępie do broni palnej w Polsce, można dojść do wniosku, że wciąż tkwi ona w punkcie wyjścia – i nic nie wskazuje na to, by miała nas gdzieś dalej zaprowadzić.

©℗ MAREK RABIJ

REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

# Data Center dla Twojego biznesu w centrum Krakowa

## Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

## Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

# ROZMOWY W DRODZE

Odnowiony, dialogowy, bardziej wspólnotowy – taki Kościół ma się wyłonić z trwającego obecnie Synodu Biskupów. Jak proces synodalny przebiega w Polsce?

MARCIN CHODUŃ

Niedzielny wieczór. W kościele św. Antoniego Padewskiego w Cikowicach nieopodal Bochni właśnie skończyła się msza. Proboszcz, ks. dr Leszek Durlak, zaprasza na plebanię, na spotkanie grupy synodalnej. Uczestnicy: sześć parafianek, jeden parafianin, ksiądz proboszcz i dwóch księży wikariuszy. Temat: „Być świadkiem Chrystusa w świecie mediów". Jak powinien zachowywać się katolik wobec zalewu informacji?

Spotkanie w Cikowicach odbywa się w ramach trwającego od 2016 r. V Synodu Diecezji Tarnowskiej i wpisuje się w ogólnoświatowy proces synodalny związany z XVI Zgromadzeniem Ogólnym Synodu Biskupów, zainaugurowanym 10 października ubiegłego roku przez papieża Franciszka w Watykanie. Synod Biskupów potrwa dwa lata i będzie się składał z trzech etapów: lokalnego (krajowego), kontynentalnego i powszechnego. Zwieńczeniem ma być spotkanie biskupów w Rzymie w październiku 2023 r.

RAFAŁ GUZ / PAP

*Spotkanie sekretarza generalnego Synodu Biskupów kard. Mario Grecha oraz metropolity warszawskiego kard. Kazimierza Nycza z przedstawicielami polskich parafii, zaangażowanymi w proces synodalny. Świątynia Opatrzności Bożej w Warszawie, 20 marca 2022 r.*

### Zmysł wiary

To novum w Kościele. Poprzednie procesy synodalne – instytucjonalny owoc Soboru Watykańskiego II – były jedynie zgromadzeniem biskupów w Rzymie pod przewodnictwem papieża. Obecny, którego temat brzmi: „Ku Kościołowi synodalnemu: komunia, uczestnictwo i misja", ma być drogą wszystkich wiernych – a na najniższym poziomie swoje opinie mogą wyrażać nie tylko katolicy, także wszyscy ochrzczeni, apostaci oraz wyznawcy innych religii.

Zasadniczą rolę w owej drodze odgrywają Kościoły lokalne. Końcowe debaty biskupów w październiku 2023 r. mają być poprzedzone konsultacjami z udziałem jak największej liczby wiernych, na wszystkich poziomach kościelnej struktury: od parafii po episkopaty. Syntezy przygotowane przez konferencje biskupie poszczególnych krajów posłużą jako podstawa dla pierwszego dokumentu roboczego zgromadzenia synodalnego „Instrumentum laboris".

Cel? Franciszek chce, aby wierni wsłuchali się nie tylko w głos Ducha Świętego, ale i w siebie nawzajem – bo przecież zgodnie z Katechizmem Kościoła Katolickiego każdy z nich ma w sobie *sensus fidei*, czyli zmysł wiary. Chce rozeznawać znaki czasów – zwłaszcza poprzez słuchanie tych, którzy są na peryferiach Kościoła. W dokumencie przygotowawczym czytamy, że celem synodu nie jest tworzenie dokumentów. Chodzi o to, by „zrodziły się marzenia, powstały proroctwa i wizje, rozkwitły nadzieje, umocniła się ufność, zostały opatrzone rany, nawiązały się relacje, wstał świt nadziei, by uczono się od siebie nawzajem i budowano pozytywną wyobraźnię, która oświeci umysły, rozpali serca, przywróci rękom siły".

Poprzednie synody zajmowały się takimi kwestiami, jak nowa ewangelizacja, rodzina czy młodzież, nowością jest więc również temat – samo pojęcie synodalności. Vademecum synodu (obok dokumentu przygotowawczego główne opracowanie synodalnych wskazówek), opublikowane przez Sekretarza Generalnego Synodu Biskupów w Watykanie, tłumaczy, że to pojęcie „wskazuje na drogę, po której Lud Boży idzie razem". Kościół stanowi bowiem wspólną drogę i podróż wszystkich wiernych powołanych przez Jezusa do głoszenia Ewangelii. Synodalność zatem „najlepiej realizuje i ukazuje naturę Kościoła". Ponownemu odkryciu synodalnej natury Kościoła ma na poziomie lokalnym służyć dialog, w którym szczególnie ważny jest proces słuchania – ale taki, który czerpie z głębokiego doświadczenia duchowego.

Za podstawę owego oddolnego dialogu ma służyć dziesięć zagadnień (należą do nich m.in. „Towarzysze podróży", „Słuchanie", „Zabieranie głosu", „Współodpowiedzialni w misji", „Władza i uczestnictwo" i „Formowanie się do synodalności"). W ich opracowaniu dopuszczalna jest duża dowolność. Więcej nawet: należy je dostosować do lokalnego kontekstu i w razie potrzeby uzupełnić, wyjaśnić, uprościć lub pogłębić. Franciszek ma nadzieję, że z refleksji nad tymi kwestiami wyłoni się obraz ukazujący, jakiego Kościoła w trzecim tysiącleciu chce Bóg.

### W różnym tempie

W polskich diecezjach inauguracja synodu odbyła się 17 października ubiegłego roku, najczęściej w formie uroczystych eucharystii. Początek taki sam – a jak wygląda dalszy ciąg?

Według danych z oficjalnej strony synodu (synod.org.pl) informacje o trwającym procesie widnieją na stronach internetowych 82,5 proc. polskich diecezji. Są na nich gotowe do pobrania wskazówki – począwszy od watykańskiego vademecum, na materiałach do parafialnych spotkań skończywszy. Znaleźć też można osobne strony poświęcone synodowi – choćby w diecezji rzeszowskiej czy katowickiej. Czasem jednak – na przykład w diecezjach sosnowieckiej, sandomierskiej czy ełckiej – informacje nie wykraczają poza kilka podstawowych ↦

wiadomości oraz dane kontaktowe synodalnych koordynatorów. A są diecezje, gdzie i z tym jest kłopot – wedle serwisu synod.org.pl aż na 35 proc. diecezjalnych serwisów trudno znaleźć kontakt do zespołu odpowiadającego za prace synodalne. Jedynie połowa umożliwia kontakt telefoniczny.

Nie lepiej z mediami społecznościowymi – posty związane z synodem pojawiły się w 41 proc. diecezji, ograniczone zwykle do jednej lub dwóch wiadomości na Facebooku lub Twitterze. Na tym tle zaznacza się oddolna inicjatywa wiernych, czyli synod w wersji online organizowany przez mobilną wspólnotę Pogłębiarka – są to spotkania synodalne w gronie 8-10 osób, prowadzone metodą wymiany myśli i refleksji w grupie, czyli tak jak w ignacjańskich kręgach Magis.

– Proces synodalny w Polsce trudno na razie podsumować – mówi siostra Barbara Radzimińska ze wspólnoty Sług Ewangelii Miłosierdzia Bożego, rzeczniczka prasowa Kongresu Katoliczek i Katolików. – W skali ogólnopolskiej synod cieszy się generalnie małym zainteresowaniem. Jednak tam, gdzie coś się dzieje, pojawiają się pozytywne owoce. Od najprostszych – gdy ludzie spotykają się i mówią proboszczowi, że nie działa nagłośnienie, a w kościele mogłoby być cieplej i proboszcz podkręca ogrzewanie. Do poważniejszych – gdy ludzie zgłaszają się na konsultacje synodalne i po kilku rozmowach proboszcz proponuje, że chętnie z nich utworzy radę parafialną.

Przykłady? W archidiecezji gdańskiej biskup nalega na proboszczów, żeby w każdej parafii odbyły się konsultacje. Jeżeli proboszcz nie chce się angażować, ma powołać świeckiego koordynatora i umożliwić mu działanie. Na diecezjalne spotkania koordynatorów przychodzi około 200 osób.

Wedle ks. Mirosława Tykfera, koordynatora procesu synodalnego w archidiecezji poznańskiej, prace w Wielkopolsce przebiegają sprawnie. Zdaniem ks. Arkadiusza Lechowskiego, dyrektora łódzkiego Centrum Służby Rodzinie, widoczne jest zaangażowanie abp. Grzegorza Rysia w synod. Arcybiskup powołał też grupy tematyczne w nawiązaniu do zagadnień synodalnych.

Na stronie internetowej archidiecezji krakowskiej w trudno zauważalnej zakładce oprócz podstawowych informacji znaleźć też można kalendarium. Jeszcze w grudniu odbyło się spotkanie osób odpowiedzialnych za ruchy katolickie w diecezji. Uczestniczący w nim prof. Fryderyk Zoll, prawnik, jeden z inicjatorów powstania Kongresu Katolików i Katoliczek, zauważa: – Mimo że jego głównym tematem miało być jedno z synodalnych zagadnień, poszczególne grupy głównie przedstawiały siebie.

Zdaniem zarówno prof. Zolla, jak i s. Radzimińskiej, wyróżnia się archidiecezja warszawska – ideę synodu przyjęto w niej z wyjątkową otwartością. Także sama organizacja spotkań była w niej dużo lepsza.

### Wyjść na peryferie

Ks. Matteo Campagnaro, koordynator procesu synodalnego w archidiecezji warszawskiej: – Pracujemy na trzech poziomach: parafialnym, diecezjalnym i internetowym. Po spotkaniach księży biskupów w dekanatach z proboszczami i z osobami kontaktowymi z każdej parafii widać efekt: większość księży i świeckich zrozumiało, że etap diecezjalny synodu jest szansą duszpasterską, która może ożywić parafię, a przede wszystkim świeckich zmobilizować do współodpowiedzialności za Kościół. Nasza archidiecezja jest bogata w różnego rodzaju środowiska, ruchy i stowarzyszenia. Dlatego postanowiliśmy spotkać się z przedstawicielami tych środowisk „ponadparafialnych", a to ponad 80 osób.

W skali całego kraju swój akces do synodu zgłosiły między innymi wspólnoty neokatechumenalne, Wiara i Światło, Odnowa w Duchu Świętym, Akcja Katolicka, Wspólnota Chemin Neuf, Ruch Equipes Notre-Dame, Emmanuel. W archidiecezji poznańskiej, wedle ks. Tykfera, w synod formalnie zaangażowanych jest obecnie kilkanaście wspólnot.

A jak wygląda udział katolickich środowisk LGBT w synodzie w ramach Franciszkowego wyjścia na peryferie? Ks. Campagnaro: – Jednym z pierwszych środowisk, które zgłosiło się do władz diecezjalnych, było stowarzyszenie Wiara i Tęcza. Zorganizowaliśmy spotkanie, po czym zaprosiliśmy osobę kontaktową na spotkanie diecezjalne. W moim przekonaniu była to dobra rozmowa. Powiedziałem jasno, że doktryny Kościoła nie będziemy zmieniać, ale że z punktu widzenia duszpasterskiego mamy dużo do zrobienia.

Inne diecezje? Według współkoordynatora warszawskiej Wiary i Tęczy Marcina Dzierżanowskiego nie wszędzie jest tak, jak w Warszawie.

– Do oficjalnych konsultacji chciała się włączyć trójmiejska grupa Wiara i Tęcza, lecz tamtejsza kuria odmówiła uznania jej

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

**OGÓLNOKLUBOWE** poniedziałek 25 kwietnia, „Stosunek do ciała. Złoty środek": Wspólna dyskusja nad książką ks. Andrzeja Szostka „Uczestniczyć w losie Drugiego ", cykl „Wspólne czytanie" / online /

**OGÓLNOKLUBOWE** środa 27 kwietnia, Spotkanie z Łukaszem Lamżą, cykl „Piszą w Tygodniku" / online /

**GLIWICE** piątek 29 kwietnia, Spotkanie z dr. Maciejem Kozłowskim, „Bliski Wschód wobec agresji Rosji na Ukrainę" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

za grupę synodalną. Grupa krakowska, na podstawie dotychczasowych kontaktów z tamtejszą kurią oraz wypowiedzi abp. Jędraszewskiego uznała, że jakiekolwiek potencjalne starania o włączenie Wiary i Tęczy w konsultacje jest wystawianiem się na kolejną traumę i upokorzenie. Korzystając z synodalnej atmosfery, udało się doprowadzić do spotkania przedstawicieli WiT z biskupami w Lublinie i Opolu. Trudno jednak na razie mówić o owocach tych spotkań.

### Peregrynacja zeszytu

A jak jest w parafiach? – W wielu parafiach nie dzieje się zbyt dużo – tłumaczy s. Radzimińska. – Generalnie jest tak, że jeżeli w danej parafii działo się coś dobrego, bo jest w niej dobry, sensowny proboszcz, to synod się uda. Jeśli do tej pory nic się w parafii nie działo, to teraz też jest nikła szansa, że coś się wydarzy.

Dodaje: – W jednej z parafii w diecezji pelplińskiej w ramach synodu została na przykład zorganizowana peregrynacja obrazu. Wraz z obrazem krąży zeszyt, do którego parafianie mogą wpisywać swoje refleksje dotyczące synodu. W tej samej diecezji jest dużo parafii, w których robi się tylko jedno spotkanie synodalne. Co można zrobić na jednym spotkaniu? Zaproszenie do wzięcia udziału w synodzie czytane jest czasem pomiędzy dwudziestoma ogłoszeniami parafialnymi – czego nikt nie wyłapie albo nie będzie wiedział, o co chodzi. Z tego, co wiem, w pelplińskiej diecezji synod na poziomie parafialnym skończył się już w grudniu, gdy przewidziany na niego czas jest do maja.

Wracam do spotkania w Cikowicach pod Bochnią. Na postawione na wstępie pytania ksiądz proboszcz odpowiada częściowo sam. Wobec wszechobecnego zalewu informacji jego zdaniem należy przede wszystkim zachowywać krytyczny dystans i selektywne podejście. Wszędzie jest tyle fikcyjnych treści. Choćby wczoraj ksiądz proboszcz oglądał w internecie film o Noem. Ale cóż w nim zostało z owej biblijnej opowieści – poza Noem, Chamem i Setem nic zupełnie! Nowoczesne maszyny budujące arkę, broń palna w tamtych czasach – przecież to czysta fantazja!

Potem dyskusja. Jedna z parafianek uważa, że w dzisiejszym świecie konieczne jest zachowanie standardów dziennikarskich, czyli rzetelności, odpowiedzialności, wierności faktom i uczciwości. Zgadza się z nią jedyny obecny parafianin – to według niego szczególnie ważne w erze postprawdy i dominacji internetu. Choć i tu można znaleźć wiele wartościowych treści – on na przykład wziął ostatnio udział w rekolekcjach przez internet. Włącza się ksiądz proboszcz: to wszystko prawda, ale trzeba pamiętać o tym, że w internecie jest tyle treści antykościelnych, krytycznych wobec duchowieństwa. To wszystko niszczy Kościół! Niszczy też młodzież – ksiądz proboszcz niedawno rozmawiał z parafianką, której nastoletnia wnuczka targnęła się na życie. I on jest przekonany, że stało się to dlatego, że dziewczyna ciągle siedziała w internecie. Powodem jest też upadek autorytetów. Kiedyś to, co powiedział ksiądz, było święte.

> Chodzi o to, by zrodziły się marzenia, powstały proroctwa i wizje, rozkwitły nadzieje, umocniła się ufność, zostały opatrzone rany, nawiązały się relacje **– głosi tekst przedsynodalny.**

– Czy grupa synodalna w Cikowicach omawia na swoich spotkaniach pytania synodalne Synodu Biskupów? – wrzucam pytanie w środek dyskusji.

Owszem, członkowie grupy wiedzą, że jest synod, ale żadnych pytań do tej pory z kurii diecezjalnej nie otrzymali. (Potwierdza to ks. Piotr Cebula, sekretarz generalny V Synodu Diecezji Tarnowskiej i diecezjalny koordynator Synodu Biskupów: – Pytania synodalne wkrótce zostaną przesłane do parafii. Na razie tego nie zrobiono, aby nie stały się one celem samym w sobie i żeby nasz synod diecezjalny mógł nadal trwać. Ostateczna synteza zostanie sporządzona w naszej diecezji na podstawie dwóch elementów: odpowiedzi na zagadnienia Synodu Biskupów oraz odpowiedzi na pytania naszego synodu, które już od kilku lat do nas spływają.)

Skoro synodalne zagadnienia nie są znane, odczytuję kilka z nich. Czy głos świeckich, w tym mniejszości, jest słuchany w Kościele? Co umożliwia szczere wypowiadanie się o tym, co istotne dla Kościoła? Co zrobić, aby każdy ochrzczony człowiek czuł się w Kościele jak w domu? Jakie osoby pozostają na marginesie Kościoła?

Członkowie cikowickiej grupy omawiali już to wszystko w ramach dyskusji nad zagadnieniami synodu tarnowskiego – na przykład w ramach takich bloków tematycznych, jak rodzina, wychowanie, liturgia czy ewangelizacja. Swoboda wypowiedzi? Zgodny chór głosów: w Cikowicach każdy parafianin może powiedzieć, co mu się nie podoba – dyskusje z księżmi są czasami bardzo żywiołowe. Ludzie na marginesie Kościoła? Włącza się proboszcz – on przed nikim nie zamyka drzwi kościoła, również przed osobami LGBT, bo przecież i takie są w tutejszej parafii. Oczywiście, o ile nie są to osoby, które niszczą świątynie.

Wszystko jednak ma swoje granice – kontynuuje proboszcz. Dlaczego na przykład protestanci mieliby mówić, co im się nie podoba w Kościele katolickim? Czy my im mówimy takie rzeczy? To jest otwieranie drzwi dla innych wyznań! I co z tego powstanie – religia, gdzie każdy może znaleźć, co mu się podoba. Księdzu wtóruje jedna z uczestniczek spotkania – tolerancja religijna jest do pewnych granic. W Polsce jest wiele religii i my nikomu nie zabraniamy uczestnictwa w naszych ogólnych spotkaniach czy zbiorowych mszach, a proszę spojrzeć, co wyprawiają muzułmanie!

Ksiądz proboszcz chce jeszcze powiedzieć na koniec, że my w Polsce musimy się skupić na naszym konkretnym, polskim gruncie – nie patrząc na watykański dokument. Myśmy zaczęli wcześniej nasz synod, a papież Franciszek ma Kościołów pod dostatkiem w tylu państwach – niech tam pracuje.

### Ankieta do wypełnienia

Według ks. Tykfera opór wobec synodu widoczny jest w wielu polskich parafiach. Powód? – Niewiara w słuszność drogi synodalnej – zarówno wśród duchownych, jak i świeckich – tłumaczy. – U osób bardzo przychylnych czy wręcz entuzjastycznie nastawionych do obecnego papieża pojawia się z kolei niewiara w skuteczność. Ludzie ci nie wierzą, że biskupi potraktują temat poważnie i będą chcieli wyciągać wnioski z wypracowanych podczas synodu syntez. Myślę, że w naszej diecezji blisko połowa duchownych podziela te dwojakiego rodzaju obawy. ↦

S. Radzimińska także doświadczyła takiej postawy. W małej parafii spotkała się ostatnio z bardzo otwartym proboszczem, ale wszyscy zapytani o synod wikariusze okazali się wobec niego sceptyczni. Jeden z nich zapytał: „Siostro, mam mówić szczerze?”. Gdy odparła, że może oczywiście swobodnie wyrazić swoją opinię, na melodię „Budujemy Kościół Boży” zaczął śpiewać: „Rozwalamy Kościół Boży”.

– W rozmowach z wieloma księżmi widać ogromne niezrozumienie, czym jest synod i czemu ma służyć. Bardzo wielu księży traktuje to jako ankietę do wypełnienia – mówi siostra. W jednej z wielkopolskich parafii siostra usłyszała taką historię: ponieważ nic się w niej nie działo w związku z synodem, parafianie poszli zapytać proboszcza, czy planuje jakieś spotkanie. Usłyszeli, że nie ma takiej potrzeby, bo proboszcz napisał już syntezę z parafialnych prac synodalnych. – Wielu księży postrzega synod jako próbę reformy Kościoła na modłę liberalną, nie widząc, że Franciszek nie chce zmieniać dogmatów, ale przede wszystkim pragnie zreformować sposób działania Kościoła. Tak, aby były w nim otwartość na drugiego człowieka i miejsce dla każdego. Właśnie z tego niezrozumienia, moim zdaniem, wynika głęboki lęk przed synodalnością.

> Franciszek chce, aby katolicy wsłuchali się nie tylko w głos Ducha Świętego, **ale też w siebie nawzajem** – bo przecież każdy z nich ma zmysł wiary.

Od pewnego księdza, wykładowcy wyższej uczelni, s. Radzimińska usłyszała i taki komentarz: „Nie będą mnie bezdomni uczyli, jak tworzyć Kościół”.

### Ostrożny optymizm

Opór wobec synodu, czy też szerzej – osoby i nauczania papieża Franciszka, jest w pewnych katolickich środowiskach faktem. Choćby Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi publicznie krytykuje proces synodalny. Główny zarzut? Synodalność to droga usunięcia z Kościoła całej jego katolickości.

Falę niezrozumienia i kontestacji dostrzega także prof. Aleksander Bańka, filozof, świecki delegat Kościoła w Polsce na otwarcie procesu synodalnego. – Wokół synodu jest w Polsce sporo zamętu, jestem jednak ostrożnym optymistą. Przecież najważniejszym śladem po tym procesie, ważniejszym nawet od finalnego dokumentu, będzie sam fakt dialogu – czyli wymiar spotkania i budowania relacji.

S. Radzimińska: – Jeśli da się ludziom przestrzeń na mówienie i działanie, będą owoce. Niedawno mieliśmy spotkanie synodalne w naszej wspólnocie. I jedna z uczestniczek, młoda dziewczyna, przeczytawszy słowa o słuchaniu, wyznała: „Mam dwadzieścia kilka lat i po raz pierwszy mam poczucie, że ktoś w Kościele zaprasza mnie do mówienia, że chce mnie wysłuchać. Że to, co ja myślę i czuję, jest dla kogoś ważne”.

© MARCIN CHODUŃ

# Miłosierdzie równych ludzi

PIOTR SIKORA

**Przyjęcie pomocy może być trudniejsze niż jej udzielenie. Pomaganie nie może utrwalać pochyłych relacji.**

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

*Uchodźcy wojenni z Ukrainy na Dworcu Głównym w Przemyślu, luty 2022 r.*

Tysiące wolontariuszy na ukraińsko-polskiej granicy, na dworcach i w rozmaitych ośrodkach pomocy – dostarczających kanapki, koce, herbatę, wożących uchodźców własnymi samochodami, wynajdujących tymczasowe miejsca do mieszkania... Równie liczna grupa ludzi przyjmujących osoby uciekające przed wojną z Ukrainy w swoich domach i zapewniających im wyżywienie...

### Pomoc i relacje

Istnieje wiele znaków wskazujących, że w ostatnim miesiącu zdaliśmy – Polki i Polacy – egzamin z miłosierdzia. Potwierdzają to także reakcje osób z Ukrainy – na przykład słowa ukraińskiego ambasadora, który publicznie powiedział: „Straciliśmy starszego brata, którym była Moskwa, ale odzyskaliśmy siostrę i tą siostrą jest Polska. I chciałem tutaj z głębi swojego serca (...) w imieniu Ukrainy podziękować Polsce, Polakom za tę pomoc, którą udzielacie naszym obywatelom (...). Na pewno to zostanie w naszych sercach, w pamięci i będziemy wdzięczni za to do końca naszego życia".

Rozumiem słowa ukraińskiego dyplomaty, nie wątpię w ich szczerość i przypuszczam, że gdy wypowiadał je na początku marca, ogromna liczba obywateli jego kraju utożsamiała się z ich treścią. Jednak wcale nie jestem pewien, czy będzie tak, jak ambasador mówił: czy w przyszłości będzie między Polską a Ukrainą jak między kochającymi się siostrami. I czy Ukrainki i Ukraińcy będą nam wdzięczni do końca życia.

Ale moja wątpliwość – chcę to wyraźnie podkreślić – nie płynie z jakiegokolwiek podejrzenia, że osoby uchodzące przed rosyjską inwazją do Polski są ludźmi niewdzięcznymi. Mój sceptycyzm i obawy mają inne źródło – obserwację, że znalezienie się w sytuacji, w której jesteśmy zależni od czyjejś pomocy – i to na bardzo podstawowym poziomie – jest psychologicznie bardzo trudne i wcale nie sprzyja budowaniu relacji z „dobrodziejem".

Osoby, które przyjęliśmy w ten wojenny czas, miały w Ukrainie swoje domy, pracę, życie towarzyskie. Tam tworzyły własnymi siłami swoją przestrzeń życiową, kształtowały ją w dużej mierze wedle własnego upodobania, gustów, pragnień. Miały poczucie sprawstwa, bycia „u siebie". Nagle wszystko to runęło, znalazły się pod bombami, w schronie, na zimnie w wielokilometrowej kolejce do granicznego przejścia. Potem przybyły do miejsca, w którym nie znają języka, przepisów, zwyczajów, układu ulic. Muszą pytać, prosić, liczyć na dobrą wolę obcych ludzi. I żyją w niepewności – co z bliskimi, którzy zostali i walczą? Kiedy wojna się skończy? Czy – gdy się już skończy – będą miały do czego (i do kogo!) wrócić? Niosą w emocjach, myślach i w ciele pamięć traumatycznego wczoraj, napięcie dzisiaj, niepewność jutra – i to wszystko w pochyłej relacji, w której same znajdują się w niższej pozycji.

Pozostawanie w takiej sytuacji, w jakimś stopniu pozbawiającej podmiotowości, a z drugiej strony rodzącej poczucie zobowiązania, wcale nie sprzyja nawiązywaniu więzi z tymi, którzy nam okazują miłosierdzie. Jest tak tym bardziej, jeśli po stronie „miłosiernych" także mamy do czynienia z poczuciem, że robią oni coś specjalnego, co zasługuje na wdzięczność, której zatem oczekują od „dobrobiorców".

### Belka i drzazga

Kluczowe w okazywaniu miłosierdzia jest to, by nasza postawa i działanie nie cementowały społecznej nierówności, nie utrwalały pochyłości relacji, lecz – przeciwnie – wyrównywały pozycje ludzi wchodzących w interakcje, prowadziły do tego, by fundamentalna, metafizyczna równość osób ujawniała się także na poziomie empirycznie uchwytnych stosunków i zachowań.

Nie jest to możliwe bez rozpoznania zarówno sytuacji tych, którym dobro wyświadczamy, jak i procesów, które dzieją się w nas samych. Nie da się przy tym oddzielić jednego od drugiego – gdyż są to dwie strony tej samej relacji, wzajemnie powiązane i wpływające na siebie.

Gdy stajemy w sytuacji, w której pojawia się skierowane do nas wezwanie do pomocy drugiemu, warto najpierw uważnie przyjrzeć się sobie samemu. Może to wydać się paradoksalne – przecież nasza sytuacja zmieniła się właśnie dlatego, że wszedł w nią drugi człowiek, potrzebujący pomocy. Dlaczego nie skupić się od razu na nim, po co najpierw „wchodzić" w siebie?

W odpowiedzi można odwołać się do Jezusowej rady o wyjmowaniu z oczu ↦

belki i drzazgi. Rozumiana jest ona najczęściej jako ostrzeżenie przed negatywnym osądzaniem bliźniego w sytuacji, gdy my sami posiadamy większe wady. Ale sens rady Jezusa wcale się do tego nie ogranicza. Zawężając go w ten sposób, ulegamy złudzeniu z powodu bezpośredniego kontekstu, w którym je odnajdujemy, i pochodzącego od późniejszych redaktorów podziału tekstu na rozdziały i wersy.

Warto przeczytać go bez wstępnych założeń, biorąc pod uwagę także dalszy kontekst interesujących nas tu wersetów. Jezus przestrzega wcześniej przed zbytnimi troskami o przyszłość. Radzi skoncentrować się na dniu dzisiejszym i trosce o sprawiedliwość Królestwa. Owszem – wspomina następnie, aby nie sądzić – i nie być sądzonym, oraz mówi, że będziemy zmierzeni miarą, którą sami mierzymy. I bezpośrednio potem formułuje radę: „Czemu to widzisz drzazgę w oku swego brata, a belki we własnym oku nie dostrzegasz? Albo jak możesz mówić swemu bratu: Pozwól, że usunę drzazgę z twego oka, gdy belka [tkwi] w twoim oku? Obłudniku, wyrzuć najpierw belkę ze swego oka, a wtedy przejrzysz, ażeby usunąć drzazgę z oka twego brata" (Mt 7, 3-5). Później jednak przechodzi do ostrzeżeń o dawaniu świętości „psom" i „świniom" oraz do rad dotyczących wytrwałości w zanoszeniu próśb do Boga.

Tekst biblijny zbiera więc tu wiele Jezusowych maksym życiowych dotyczących różnych aspektów egzystencji. A ta o belce i źdźble, jeśli przeczytać ją uważnie, mówi nie o potępianiu bliźniego, lecz o próbie udzielenia mu pomocy, ulżenia jego cierpieniu. I wcale nie podnosi kwestii, że jesteśmy większymi grzesznikami od brata, lecz zwraca uwagę na to, że cierpienie, którego sami doświadczamy, przeszkadza nam widzieć wyraźnie sytuację siostry lub brata i pomóc jej albo jemu skutecznie. Owa przeszkoda okazuje się zaś tym większa, im bardziej jesteśmy jej nieświadomi.

### Współzależność

Gdy bowiem spotykamy się z ludźmi potrzebującymi pomocy, ich potrzeby i braki wchodzą w nasz świat i naruszają istniejący porządek rzeczy. Jeśli mamy wewnątrz siebie jakąś zadrę, ranę, wówczas – najczęściej – używamy owego zewnętrznego porządku rzeczy także do tego, by chronić owo bolące miejsce. Za pomocą rozmaitych zewnętrznych podpórek wspieramy naszą egzystencjalną równowagę – utrzymujemy poczucie własnej wartości, masujemy lęk przed przemijaniem, poszukujemy zadowolenia z życia. Jesteśmy w ten sposób uwikłani w taką, a nie inną postać otaczającego nas świata

Co się więc dzieje, gdy – na przykład – uchodźcy poszukują miejsca do zamieszkania, stawiając przed nami pytanie, czy możemy się z nimi podzielić swoją przestrzenią życiową? Sytuacja ludzi w potrzebie może, niezależnie od naszej ochoty udzielenia schronienia, wzbudzić w nas poczucie powinności, a gdy tej powinności się nawet tylko wewnętrznie opieramy – poczucie winy.

Jednak nawet jeśli zaczynamy pomagać z ochotą – nie jest to łatwe, będzie wymagało wyrzeczeń, zmiany nawyków. Każda zaś strata wzbudza w nas – to naturalne – negatywne emocje: frustrację, żal, złość. One zaś nie są miłe, burzą nasz wewnętrzny dobrostan, a z kulturowych przyczyn przez wielu mogą być oceniane jako nieodpowiednie, świadczące o egoizmie. Usiłujemy więc zamaskować tę frustrację lub złość, a cierpienie płynące z wewnętrznego konfliktu zrekompensować sobie w jakiś inny sposób, przez poszukiwanie psychicznej gratyfikacji z naszego działania – np. przez podkreślanie (najpierw przed sobą, potem przed innymi) wartości tego, co robimy pomagając. Rodzi się oczekiwanie wdzięczności ze strony obdarowanych, a także podziwu czy choćby społecznego uznania dla naszych działań.

U każdej i każdego z nas proces taki może wyglądać trochę inaczej. Wspólne w nich jest to, że – jeśli belka tkwi w naszym oku, pomaganie jest w gruncie rzeczy leczeniem własnej rany. Ci zaś, którym pomoc niesiemy, choć niby zajmują centrum uwagi, tak naprawdę są narzędziem, lekarstwem na ból naszego istnienia.

Jeśli belkę wyjmiemy, tj. rozpoznamy własne zranienia, zaakceptujemy ból swojej niedoskonałości, zwiększy się szansa, że nasze współczujące miłosierdzie będzie płynąć ze świadomości wzajemnego powiązania pomiędzy nami a osobami, które w danym momencie potrzebują konkretnej pomocy. Powiązanie, które istnieje nie tylko na najgłębszym, metafizycznym poziomie – najczęściej w ten lub inny sposób przejawia się także na poziomie codziennych relacji. Na przykład: Ukraińcy broniąc się przed inwazją rosyjską, w gruncie rzeczy bronią wolnej Europy, w której możemy w miarę spokojnie żyć. Kanapka dla matki z dzieckiem na dworcu albo przyjęcie jej do swojego domu to zatem tylko krok ku wyrównaniu naszego wobec nich długu. Albo lepiej: sposób uczestnictwa w naszym wspólnym, trudnym dzisiaj, losie.

©℗ PIOTR SIKORA

OGŁOSZENIA

**Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie** Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygn. I Ns 415/21 postępowanie z wniosku Kazimiery Burzyńskiej o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy nieruchomości położonej w Cerekwicy Nowej, stanowiącej działkę nr 97 o powierzchni 7,32,00 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta nr KZ1J/00005701/6.

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

**W Sądzie Rejonowym dla m.st. Warszawy w Warszawie I Wydziale Cywilnym** pod sygnaturą I Ns 507/21 toczy się postępowanie z wniosku Wojciecha Trzaskowskiego o stwierdzenie nabycia spadku o Marii Izabelli Babeckiej-Kowarskiej, córce Bolesława i Józefy, zm. 27 marca 2021 r. w Warszawie, mającej ostatnie miejsce stałego pobytu w Warszawie przy ul. Księcia Trojdena 13 m. 100. W skład spadku wchodzi nieruchomość lokalowa nr 100 przy ul. Księcia Trojdena 13 w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

AMAR / ADOBE STOCK

*Kościół św. Piotra w Antakyi (historycznej Antiochii), maj 2019 r.*

# Gdzie wszystko się zaczęło

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z ANTAKYI (TURCJA)

**Nauczali tu święci Piotr i Paweł i po raz pierwszy nazwano w tym miejscu wiernych chrześcijanami. Antiochia Syryjska, dziś turecka Antakya, była drugim po Jerozolimie centrum chrześcijaństwa.**

Kościół pojawia się znikąd. Biała, kamienna fasada, ozdobiona u góry świetlikami w kształcie gwiazd i okręgów przywodzących na myśl papierową wycinankę, wydaje się jakby wklejona w zbocze góry Starius zwanej przez Turków Haç Dağı (Górą Krzyża). Skojarzenie jest słuszne. Za ścianą znajduje się bowiem obszerna jaskinia. Naturalną grotę z czasem zabudowano i dziś nad głowami pielgrzymów znajduje się wsparte na łukach kolebkowe sklepienie. Wpadające do środka światło pada na ołtarz, po którego prawej stronie można dostrzec pozostałości fresków. Po lewej stronie, na posadzce znajdują się pozostałości mozaik, m.in. przypominająca haft krzyżykowy bordiura, w centrum której znajduje się grecki krzyż.

Wszystkie te elementy pojawiły się w grocie z czasem. Gdy św. Piotr sprawował w Antiochii eucharystię, nie było ani posadzek, ani tynku na ścianach. W pierwszym znanym chrześcijańskim kościele ciemność rozpraszały zapewne lampy oliwne. I głoszone przez Apostołów słowa Dobrej Nowiny.

### Druga po Jerozolimie

Antiochia leży nad rzeką Orontes (tur. Asi), zaledwie 22 km od wybrzeża Morza Śródziemnego. Podobna odległość dzieli ją od syryjskiej granicy. Usytuowanie w otoczeniu żyznych ziem i szlaków handlowych od początku decydowało o świetności założonej trzy wieki przed Chrystusem stolicy Seleucydów (władców jednego z państw powstałych po rozpadzie imperium Aleksandra Wielkiego). Miasto, które ostatecznie przeszło w ręce Rzymian, było jedną z najwspanialszych metropolii Imperium, zamieszkiwaną zresztą również przez Żydów. W końcu dotarli tutaj także uczniowie Jezusa uciekający przed prześladowaniami, którym początek dało ukamienowanie w Jerozolimie św. Szczepana. W 11. i 12. rozdziale Dziejów Apostolskich znajdujemy dokładne opisy działalności Apostołów na tych terenach: „Oni to po przybyciu do Antiochii przemawiali też do Greków i opowiadali Dobrą Nowinę o Panu Jezusie. A ręka Pańska była z nimi, bo wielka liczba uwierzyła i nawróciła się do Pana. Wieść o tym doszła do uszu Kościoła w Jerozolimie. Wysłano do Antiochii Barnabę. Gdy on przybył i zobaczył działanie łaski Bożej, ucieszył się i zachęcał wszystkich, aby całym sercem wytrwali przy Panu (...). Pozyskano wtedy wielką liczbę [wiernych] dla Pana. Udał się też do Tarsu, aby odszukać Szawła. A kiedy [go] znalazł, przyprowadził do Antiochii i przez cały rok pracowali razem w Kościele, nauczając wielką rzeszę ludzi”.

Pierwszym biskupem Antiochii był św. Piotr – legenda głosi, że osobiście wykuł w skale jaskinię, w której spotykali się miejscowi chrześcijanie. Tu miała odbyć się pierwsza celebrowana przez niego msza, tutaj również pierwszy raz nazwano uczniów chrześcijanami, z greckiego – natchnionymi, tymi, którzy podążają za Chrystusem. Uczynić miał to św. Ewodiusz, którego Piotr wyznaczył na swego następcę. Określenia zaczęto używać, by odróżnić wiernych od innych miejscowych Żydów. Św. Paweł doświadczył tu mistycznych wizji opisanych później w Liście do Koryntian: trafił do raju i „słyszał tajemne słowa, których nie godzi się człowiekowi powtarzać” (2 Kor 12, 4).

### Krzyżowcy, Turcy i pielgrzymki

Gdy za sprawą cesarza Teodozjusza chrześcijaństwo stało się religią obowiązującą w Imperium Rzymskim, w Antiochii rezydowali patriarchowie Anatolii. W kościele św. Piotra swój ślad zostawili Bizantyjczycy, z kolei w 1098 r., podczas pierwszej krucjaty, po zajęciu miasta przez krzyżowców, grotę „zasłonięto” fasadą. Spływająca z gór woda doprowadzana do świątyni akweduktami służyła ponoć do chrztów. Po tureckim podboju regionu kościół nie zmienił przeznaczenia, a tutejsi Żydzi i chrześcijanie mogli bez większych problemów praktykować, co z resztą robią do dziś. W 1963 r. papież ↦

↦ ogłosił kościół w Antiochii miejscem pielgrzymek, które licznie docierają tu zwłaszcza 29 czerwca, kiedy wspomina się świętych Piotra i Pawła. W grocie – pierwszej znanej chrześcijaństwu katedrze – odprawiana jest wówczas okolicznościowa msza.

### Spacer wśród świątyń

Ale grota św. Piotra to niejedyny kościół w tym wielowyznaniowym mieście. Centrum Antakyi nie bez przyczyny nazywane bywa trójkątem ekumenicznym. Na ulicy Hürriyet znajduje się imponująca świątynia wyznawców prawosławia. Zaczęto ją wznosić w 1860 r., ale dziesięć lat później zniszczyło ją trzęsienie ziemi. W końcu w 1900 r. cerkiew z charakterystyczną dekoracyjną dzwonnicą oddano do użytku i dziś wciąż sprawowana jest w niej liturgia. Swoją świątynię mają też w Antakyi koreańscy metodyści, którzy pełnią tu posługę od roku 2000.

Z kolei przy ulicy Antakya Kurtuluş, pięć minut drogi od najbliższego meczetu, wznosi się powstała w 1700 r. synagoga. Przechowuje się w niej 500-letni zwój Tory, a w święta żydowskie spotykają się na nabożeństwach wyznawcy religii mojżeszowej. Żydowską bożnicę (tur. *musevi hevrasi*) minuta spaceru dzieli od stojącego przy ulicy Kutlu kościoła katolickiego wybudowanego w XIX w. po uzyskaniu przez wiernych specjalnego pozwolenia od sułtana.

Po śmierci Jana Pawła II do polskiego zakonnika z kondolencjami dzwonili **muzułmanie, władze miasta, prawosławni, Żydzi.** Wszyscy też pojawili się na wieczorze modlitewnym.

### Antakya zamiast Australii

Drzwi katolickiej świątyni otwarte są do dziś. Posługę od przeszło 30 lat pełni tu ojciec Domenico Bertogli. Wcześniej 21 lat kapucyn spędził w Izmirze (dawna Smyrna). – Początkowo planowałem wyjechać do Australii, gdzie brakowało księży, zacząłem nawet uczyć się angielskiego. Ale wtedy pojawiła się propozycja prowincjała, abym się przeniósł do Turcji. Bardzo mnie ona ucieszyła i tak jestem tu już przeszło 50 lat – mówi zakonnik.

Wspomina, że początki nie były łatwe, bo – choć bardzo tego pragnął – znalazł się w świecie i rzeczywistości, którą znał tylko z książek. Szybko przyszło mu dostosowywać duszpasterskie wybory i decyzje do zastanych w Turcji warunków. Na przykład obchodzić Wielkanoc w tym samym czasie, co wyznawcy prawosławia. Miało to praktyczne uzasadnienie: prawosławnych było po prostu więcej niż katolików. Przez wszystkie lata spędzone w Turcji misjonarzowi przyświecała idea dialogu międzykulturowego i międzyreligijnego. Doskonałym przykładem, że mu się udało, okazały się wydarzenia mające miejsce po śmierci Jana Pawła II.

– Z kondolencjami dzwonili wszyscy muzułmanie, władze miasta, prawosławni, Żydzi. Wszyscy też pojawili się na wieczorze modlitewnym, który wtedy zorganizowaliśmy. Łączyli się z nami w żalu i wspominali papieża, który tyle zrobił dla pojednania między religiami – opowiada i dodaje, że również dla niego misja to zawsze dialog, słuchanie i szacunek.

Wielokulturowości Antakyi, znanej również w Turcji jako Hatay, można doświadczyć nie tylko w kościele. Lokalny chór nazywający się Medeniyetler (czyli Cywilizacje) podczas koncertów wykonuje grecko-prawosławne pieśni po arabsku, własne interpretacje pieśni żydowskich, sunnickie modlitwy i pieśni tureckich alawitów. Na stronie internetowej grupy czytamy: „Jesteśmy dziećmi tego samego Boga mówiącymi różnymi językami, wierzącymi w różne religie – nasze różnice są naszym bogactwem”.

Nieopodal groty św. Piotra znajduje się niewielki stragan z pamiątkami. Można tu kupić magnesy przedstawiające kościół, breloczki z Matką Boską i kamienne figurki – kopie rzeźby przedstawiającej hetyckiego króla Suppilulimę, odnalezionej w 2012 r. i znajdującej się w miejscowym muzeum.

Są też tradycyjne figurki z nazwą miasta. W napisie Hatay literę „H” wieńczą dwa minarety, w „A” wpisana jest gwiazda Dawida, „T” to krzyż, a nad „Y” znajduje się muzułmański półksiężyc.

© MARCELINA SZUMER-BRYSZ

OGŁOSZENIA

**Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie** Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 300/21 postępowanie z wniosku Radosława Michniewskiego o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy nieruchomości położonych w Lubini Małej:
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 269 arkusz mapy 1, o powierzchni 0,18,00 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Lubinia Mała k. 12
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 154 arkusz mapy 2, o powierzchni 0,48,00 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Lubinia Mała k. 97
– oznaczonej geodezyjnie jako działka 266 arkusz mapy 1, o powierzchni 0,35,00 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Lubinia Mała k. 44

Sąd wzywa zainteresowanych, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie będzie się toczyć bez ich udziału.

**W Sądzie Rejonowym w Sanoku** I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 611/21 toczy się postępowanie z wniosku Andrzeja Pietrzkiewicza o stwierdzenie nabycia w drodze zasiedzenia prawa własności działek położonych w Długiem, gm. Zarszyn, oznaczonych numerami ewidencyjnymi 1066, 1071, 460/1 – dla których w Sądzie Rejonowym w Sanoku prowadzona jest księga wieczysta KS1S/00034705/9.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, a w szczególności spadkobierców Stanisława Bielenia i Apolonii Bieleń, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie udowodnione.

ZUZANNA

# Radzik: *Odczynianie*

Wrócili. Kwiecień na Muranowie jak kiedyś, przed zarazą. Grupa młodzieży w zbyt ciepłych kurtkach i identycznych zimowych butach, modnych w kraju bez srogiej zimy. – Chodźcie, opowiem o Feni – mówi przewodnik izraelskich licealistów gdzieś między Stawkami a Niską. Ja prowadzę rower do serwisu, bo wiosna, a on ich w stronę bunkra Anielewicza. Przystaję na chwilę, ale szybko ruszam, by nie przestraszyć ich swoją uwagą. Ileż razy chciałam do tych wycieczek serdecznie zagadać, zawsze rezygnując, by nie wprowadzać zamieszania, nie przeszkadzać. To ich czas na rytuał pamięci.

Ten moment kwietnia w dzielnicy po getcie zawsze był właśnie taki. Dni między datą wybuchu powstania z łacińskiego kalendarza i izraelskim Dniem Pamięci o Zagładzie gęste od odwiedzających, wspominających, przycupniętej w bramach i na murkach zasłuchanej młodzieży z różnych stron świata. Troszkę nie u siebie są mieszkańcy w tym czasie, ale czy kiedykolwiek są zupełnie u siebie? Dzielnica, która jest zielona i pełna śpiewu ptaków, trochę jak cmentarz, co zauważyła Elżbieta Janicka, pisząc kiedyś grubą książkę o tej przestrzeni i oznaczaniu w niej pamięci. Zieleń i ptaki służą i zmarłym, i żywym – zanotowała. Zastanawiałam się potem tyle razy, czy nie za dobrze mi się żyje na tym cmentarzu.

Warszawa, kiedyś opieszała w pamiętaniu swojego pierwszego powstania, trochę się poprawiła: są rozdawane na pamiątkę papierowe żonkile, od niedawna nawet syrena i bicie dzwonów w okolicznych kościołach.

Tyle że siedemdziesiąta dziewiąta rocznica mija przysłonięta naszym skupieniem na wojnie obecnej. Opowieści o niewiarygodnym okrucieństwie – zdominowane oglądaniem go we własnym telefonie, w czasie rzeczywistym. Teraz. Ten wysiłek, by oddać ofiarom twarze, nazwiska, głos w opowieści, który praktykowaliśmy przez lata, mówiąc o dawnym ludobójstwie, teraz przychodzi natychmiast, gdy zdjęcia z Buczy splatają się z opowieścią bliskich ofiar. Też mają twarze, bliskich, przyjaciół.

Jak bardzo bym chciała wrócić do czasu, gdy zajmowały mnie tylko cienie dawnej wojny i splątane przez nią losy. Żeby to robić codziennie, zawodowo, unikam szczegółów. One i tak przyjdą, gdy staniesz znów z grupą gości w miejscu zagłady, gdy ktoś znów podzieli się wspomnieniem dalekiego wujka z obozu pracy w Skarżysku-Kamiennej, albo gdy obiad z zaprzyjaźnioną starszą panią przerwie nagle jej wspomnienie o marszu śmierci. Naleśniki i strach, prawie osiemdziesiąt lat później. Wojny i ludobójstwo mają bardzo długi, mroczny cień. Minie w tym roku osiemdziesiąt lat od tamtego dnia, gdy Aarona rozdzielono z młodszą siostrą. Zmarł niedawno, więc już nie muszę się przyglądać jego oczom, gdy się zastanawia, co stało się z jego siostrą, kiedy on uciekł przed transportem do Treblinki. Nie chciał sobie wyobrażać, a może się tylko nie dzielił. Czy mamy prawo nie chcieć wiedzieć dokładnie?

To napięcie między chronieniem siebie a koniecznością słuchania świadków i czytania świadectw. Koniecznością płynącą z dziwnego obowiązku wobec nich czy z przekonania, że to coś da nam wszystkim. Że będziemy umieli wyciągnąć wnioski i być od tego lepsi, uważniejsi. Może trzeba przekuwać przerażenie w zadania, by nie zastygnąć w stuporze? Może myśleliśmy, że odczynimy tym groźbę, iż to jest zwyczajnie ludzkie, a zatem znów możliwe?

W długim mrocznym cieniu stoi też drugie pokolenie. Na czym to według niej polega? – spytałam przyjaciółkę. – Może na wyrastaniu w przekonaniu – odpowiedziała zamyślona – że w każdej chwili wszystko i wszystkich można stracić. Że jest to najzupełniej możliwe. No i że wiesz, co i jak należy spakować, żeby szybko wyjść i nigdy nie wrócić.

Podwójny jest ten kwiecień, myślą w przeszłości i w teraz. W tych mieszających się planach jest niepokój o to, co to znaczy być świadkiem. „Jesteśmy sąsiadami i świadkujemy, co zmienia nas na zawsze. Nie przerywając naszego życia" – napisała Inga Iwasiów. Boję się świadkowania, o którym już tyle napisano. Nasze będzie z innej technologicznie epoki, nie z fizycznej bliskości. Nawet nie z prasowego zdjęcia. Ale nagle przypomina się daleka ciotka, która najpierw twierdziła, że nie widziała Żydów prowadzonych przez jej miasteczko na deportację do Bełżca. „Miałam małe dziecko, mąż w partyzantce" – mówiła, a ja słyszę siebie dziś: wiosna, remont, praca... Dopiero następnego dnia przyznała, że widzi ich zawsze, gdy nie może spać. W dniu naszej rozmowy też, gdy obudziła się o czwartej nad ranem.

Zasnęłam wczoraj i wstałam z kadrem twarzy jemeńskiego szesnastolatka umierającego po białoruskiej stronie drutu na tej gorszej, nieprzekraczalnej części granicy. Uciekającego przed mniej znanym, mniej bliskim złem. Smutnej prawdy, że to tu, teraz, my, nasi, nasza granica – nie odczynię niczym. ©

OGŁOSZENIE

**W Sądzie Rejonowym** dla m.st. Warszawy w Warszawie, Wydział II Cywilny, pod sygn. akt II Ns 782/21 toczy się postępowanie z wniosku Mirosławy Krawczak o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Jadwidze Cańka, córce Józefa i Bronisławy, zmarłej 23 marca 2020 roku, ostatnio stale zamieszkałej w Warszawie przy ulicy Sanockiej 4 m. 18.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie trzech miesięcy od opublikowania tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w Warszawie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

# BARBARZYŃCY W OGRODACH UKRAINY

Masowe zbrodnie na ludności cywilnej mają charakter planowy i systemowy. Rosyjscy żołnierze zabijają, mszczą się i chcą zastraszyć. Inaczej nie potrafią.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Motożyn, zamożna wieś pod Kijowem, 40 km od Buczy. Przed wojną liczyła nieco ponad tysiąc mieszkańców. Od 27 lutego do początku kwietnia Motożyn znajdował się pod okupacją rosyjską. W pierwszych dniach Rosjanie nie prześladowali cywilów. Potem jednak kolejne wydarzenia – niepowodzenie planu szybkiego opanowania Kijowa, nieoczekiwanie silny opór armii ukraińskiej i jeszcze bardziej nieoczekiwany brak entuzjazmu ze strony mieszkańców – sprawiły, że zaczęli tracić hamulce.

Zaczęły się masowe grabieże, aresztowania przedstawicieli lokalnych władz i aktywistów, pobicia, gwałty i wreszcie morderstwa. W lesie pod wsią Rosjanie wykopali ziemiankę, która służyła za miejsce przesłuchań i katownię. Nieopodal wykopali dół, do którego wrzucali ciała. Wielokrotnie zgwałcona 17-latka została utopiona w studni.

Opowieści tych mieszkańców, którzy nie zdążyli, nie mogli lub nie chcieli uciec, pokazują postępującą demoralizację okupantów. Brak sukcesów militarnych sprawił, że zaczęli wyżywać się na cywilach. Dotąd ustalono, że życie straciło ponad 30 motożynian.

### Zbrodnie jako standard

Ukraińskie i zachodnie media pełne są podobnych historii z dziesiątków miejscowości, których nazw niemal nikt wcześniej nie znał. Niezwykle trudno jest je

czytać. Przykład niewielkiego Motożyna dowodzi, że choć symbolem rosyjskich zbrodni stała się tutaj Bucza, to na okupowanych przez ponad miesiąc terenach Kijowszczyzny, Czernihowszczyny i Sumszczyzny zbrodnie były nie wyjątkiem, lecz standardowym zachowaniem Rosjan.

Pytanie, które musi się pojawić, brzmi: dlaczego rosyjscy żołnierze tak postępowali? Przynajmniej częściowe wytłumaczenie przynosi relacja pewnej starszej mieszkanki jednej z podkijowskich miejscowości zapisana przez ukraińskiego dziennikarza: „Z zawiści. Do nas przyjechały dzikusy! Rowery i motocykle wyciągali z podwórek i sobie jeździli... U nas nawet w najbiedniejszej chacie jest gaz. U nich zaś nie ma. Wściekali się. Zazdrościli".

Podobnych opowieści jest znacznie więcej. Można z nich wysnuć wniosek, że względna zamożność miejscowości pod Kijowem zaskoczyła żołnierzy pochodzących często z głębokiej prowincji Rosji. Zadziałały pierwotne instynkty łupieżców.

Narzuca się tu historyczna analogia. W wielu polskich wspomnieniach z okresu po 17 września 1939 r. pojawia się wątek, że żołnierze Armii Czerwonej byli zadziwieni, iż poziom życia na zajmowanych terenach był znacznie wyższy niż w Związku Sowieckim. A przecież mówiono im, że mają wyzwalać „masy uciskane przez polskich panów".

Żołnierzom rosyjskim w 2022 r. powiedziano, że idą walczyć z „banderowcami", a zwykli Ukraińcy przyjmą ich z otwartymi rękami. Tymczasem okazało się, że „denazyfikacji" – jak Putin określa w istocie niszczenie ukraińskiej tożsamości – wymaga praktycznie całe społeczeństwo ukraińskie.

OLEG PETRASYUK / EPA / PAP

*Ekshumacja zbiorowego grobu. Bucza, 12 kwietnia 2022 r.*

### Krajobraz po terrorze

Na wyzwolonych terenach Ukraińcy chowają swoich zamordowanych i wyjaśniają skalę zbrodni. Wszystko wskazuje, że nie były to „ekscesy", ale systemowe działania wobec podbitego terytorium, które należało spacyfikować i przykładnie ukarać. Za brak entuzjazmu wobec agresji. Za zamożność. Za własne niepowodzenia na froncie. Za to, że mieszkańcy podbitych miejscowości mówili po rosyjsku, ale nie byli tacy jak najeźdźcy.

Ukraińska prokuratura, dziennikarze, a także terapeuci mają i będą mieli wiele pracy. Między Motożynem a odległymi o 40-50 km na północ i północny-wschód Borodzianką, Buczą i Irpieniem są wsie, w których nie ocalał ani jeden dom. Usuwanie ruin, pod którymi często spoczywają ciała mieszkańców, zajmie jeszcze wiele czasu. Do pełnej listy ofiar wciąż daleko i pewnie nigdy nie uda się stworzyć kompletnej. Wiadomo, że w Buczy znaleziono już ciała ponad 400 osób, co – uwzględniając, że ponad połowa mieszkańców zdążyła uciec – oznacza, iż w ciągu trwającego miesiąc terroru zginęło ok. 2,5 proc. ludności tego miasta, w którym chętnie osiedlała się stołeczna klasa średnia.

Do długiego spisu zbrodni trzeba doliczyć gwałty. Ludmyła Denysowa, ukraińska rzeczniczka praw człowieka twierdzi, że na zajętych terenach miały one charakter masowy. Kolejne porównania historyczne same się narzucają.

Podobnie jak kolejne pytanie: dlaczego Rosjanie nie ukrywali zbrodni? Albo nie zdążyli, albo uznali, że należy je pozostawić na widoku publicznym, by działały odstraszająco i łamały wolę społeczeństwa ukraińskiego do obrony. Jeśli na to liczyli, to się przeliczyli: wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że ujawnianie kolejnych rosyjskich przestępstw tylko wzmacnia opór Ukraińców, którzy nie mają już złudzeń, że jest to wojna nie tylko o suwerenność Ukrainy, lecz również o ich egzystencję.

Także liczne wystąpienia kremlowskich polityków i ton rosyjskich mediów wzywających otwarcie do przymusowej „deukrainizacji" nie pozostawiają wątpliwości, co jest stawką w tej wojnie. ↦

### „Bucza to fejk!"

Niemal natychmiast po ujawnieniu zbrodni w Buczy zaczęło się ich kwestionowanie przez Rosję. Kreml i podporządkowane mu media oskarżają Ukraińców o „goebbelsowską prowokację" i stworzenie „wyreżyserowanej inscenizacji", podważają zdjęcia i nagrania, mnożą wersje tego, co się „tak naprawdę wydarzyło". Przy tym całkowicie ignorują skalę zbrodni, ich długotrwałość i zróżnicowany charakter. Rosyjska propaganda uznała za to, że Zachód wybrał Buczę na symbol rosyjskich zbrodni ze względu na... nazwę. Po angielsku *butcher* oznacza rzeźnika – i już wszystko ma być jasne.

Nietrudno zauważyć, że schemat rosyjskiej negacji jest tu podobny jak w przypadku zbrodni katyńskiej (niedawno minęła 79. rocznica jej ujawnienia przez Niemców). Również cel tej negacji jest podobny jak wtedy: chodzi przede wszystkim o przekonanie Rosjan, że za Buczę odpowiadają Ukraińcy i zachodnie wywiady.

Jeden z czołowych rosyjskich propagandzistów, Władimir Sołowiow ujął to w swoim programie bez owijania w bawełnę: „Nie przejmujmy się tym, że w warunkach operacji wojskowej nie jesteśmy w stanie wpłynąć na inne społeczeństwa. Grunt, że wpłynęliśmy na własne". Sądząc po różnego rodzaju sondach ulicznych w miastach rosyjskich, Sołowiow i jemu podobni mogą mieć powód do satysfakcji. Prawda nie dociera do większości Rosjan. Słyszą o Buczy jako „inscenizacji", ale już nie o dziesiątkach innych podobnych miejsc, o których kremlowskie media milczą.

Zbrodnie w Buczy stały się na tyle globalnym tematem, że w końcu musiał odnieść się do nich Putin. Jego komentarz ograniczył się do stwierdzenia, że Bucza jest „takim samym fejkiem, jak wcześniejsze informacje o użyciu broni chemicznej przez rząd Asada" (tymczasem kilkukrotne użycie tej broni przez reżim syryjski, który bez pomocy Moskwy dawno by upadł, zostało udowodnione). Dla uwiarygodnienia swoich słów w oczach Rosjan Putin dodał, że otrzymał od Alaksandra Łukaszenki materiały służb białoruskich, które pokazują, kto „zorganizował tę prowokację i fejk". Stojący obok dyktator z Mińska przytakiwał, „potwierdzając", że „Bucza to fejk".

Może gdyby Zachód zareagował na ludobójstwo w Syrii, na masowe zbrodnie rosyjskie w Czeczenii i wcześniej w Abchazji, gdzie przecież model działania sił rosyjskich był analogiczny jak teraz w Ukrainie, ludzie z Buczy, Motożyna i innych miejsc nie zginęliby?

### Krematoria w Mariupolu

Niestety podobnych „fejków" jest i będzie zapewne jeszcze więcej. Nic nie wskazuje na to, aby rosyjskie barbarzyństwo udało się powstrzymać inaczej, niż wygrywając tę wojnę. W powodzenie negocjacji pokojowych mało kto już wierzy. Dobrym tego miernikiem mogą być słowa Josepa Borella, wysokiego przedstawiciela UE ds. polityki zagranicznej, który – ogłaszając zwiększenie pomocy wojskowej dla Ukrainy o 500 mln euro – stwierdził, że wojna „rozstrzygnie się na polu walki".

W ostatnich dniach Rosjanie zintensyfikowali ostrzał Charkowa, gdzie od początku wojny zniszczeniu uległo ok. 1500 budynków. Jaka jest skala ofiar? Nie wiadomo. Jeszcze mniej wiemy o tym, co się dzieje w miastach i miasteczkach położonych w strefie działań wojennych w Donbasie. Kijów ponawia apele o niezwłoczną ewakuację nawet do mieszkańców terenów oddalonych od obecnej linii frontu. To oznacza, że nie wyklucza najgorszego scenariusza.

A przecież jest jeszcze Mariupol, oblężony od ponad półtora miesiąca. Choć siły rosyjskie zajęły znaczną część miasta, to Ukraińcy nadal bronią się w części centrum oraz w gigantycznym kombinacie Azowstal. Obrońcy – głównie żołnierze 36. Brygady Piechoty Morskiej i pułku Azow – piszą heroiczny rozdział ukraińskiej historii, ale bez dostaw amunicji kapitulacja będzie kwestią czasu.

W Mariupolu nadal pozostaje ponad 100 tys. mieszkańców, którzy od tygodni są odcięci od dostaw wody i jedzenia, Rosjanie blokują bowiem konwoje humanitarne, zmuszając zarazem ludność cywilną do wyjazdu do Rosji (z całego regionu deportowanych miało już zostać nawet kilkaset tysięcy Ukraińców). Wprawdzie nie znamy zbyt wielu szczegółów sytuacji w mieście, wiadomo jednak na pewno, że ma tam miejsce katastrofa humanitarna na skalę, jakiej Europa nie widziała od II wojny światowej. Niedoskonałe szacunki o stratach wśród ludności cywilnej mówią o 20-22 tys. zabitych. Te liczby są tak porażające, że trudno je objąć rozumiem.

Nie można przy tym wykluczyć, że prawdziwej liczby ofiar możemy nigdy nie poznać. Wygląda na to, że Rosjanie postanowili wyciągnąć wnioski ze swoich zbrodni na północy Ukrainy. Nie, nie znaczy to, że ucywilizowali podejście do ludności ukraińskiej. Postanowili jedynie swoje przestępstwa ukryć. Coraz więcej jest doniesień, że w Mariupolu działają mobilne krematoria. Obsługujące je specjalne jednostki mają za zadanie palić ciała cywilów, aby zatrzeć ślady zbrodni.

Jednak historia pokazuje, że przy tak wielkiej ich skali nie będzie to do końca możliwe. Nawet z najgorszych piekieł wieku XX posiadamy dziś relacje ocalałych.

### Koniec drużby

Mariupol jest jednym z miejsc, które znamionują ostateczny koniec stosunków ukraińsko-rosyjskich. To miasto na zawsze pozostanie zapisane w historii ukraińskiej martyrologii oraz w historii rosyjskiej hańby.

Koniec ten dotyczy nie tylko relacji między państwami, ale i między narodami. Przed 24 lutego wielu Ukraińców potrafiło różnicować między negatywnym stosunkiem do Kremla a zachowaniem resztek sympatii do Rosjan. Dziś postawa społeczeństwa rosyjskiego, które w swojej większości wspiera zbrodniczą politykę Kremla, zakończyła tę dwoistość. Kreml i Rosjanie to obecnie dla Ukraińców jedno i to samo [patrz też tekst w dziale Historia – red.].

Negując masakrę w Buczy, Putin stwierdził, że „nasza operacja przebiega zgodnie z planem", a „starcie z antyrosyjskimi siłami na Ukrainie było nieuchronne". Dalej mówił: „Rosyjskie wojska działają odważnie, umiejętnie i efektywnie. Nie ma żadnych wątpliwości, że postawione zadania zostaną osiągnięte. Nasze cele na Ukrainie są całkowicie zrozumiałe i szlachetne".

Horror na Ukrainie będzie więc trwać. Jak długo jeszcze – to zależy również od tego, na ile państwa Zachodu zdecydują się na dostawy ciężkiego uzbrojenia dla Sił Zbrojnych Ukrainy. Ukraińcy mogą tę wojnę wygrać – także dla nas – ale zachodnie (w szczególności Berlina i Paryża) wsparcie wciąż jest dalece niewystarczające.

Przegrana Ukrainy będzie zaś przegraną nas wszystkich.

© WOJCIECH KONOŃCZUK

Tekst ukończono 13 kwietnia.

*Ewakuacja ludności cywilnej z Siewierodoniecka. 7 kwietnia 2022 r.*

# Siewierodonieck pod ostrzałem

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIĄŻEK**
Z SIEWIERODONIECKA (WSCHODNIA UKRAINA)

**Rosjanie szykują się do wielkiej ofensywy na Donbas. Na miejscowości znajdujące się na linii frontu codziennie spadają pociski i rakiety.**

Ostrzelane i spalone budynki, wybite okna, walający się wszędzie gruz, grzmot dział i świst pocisków stały się już częścią krajobrazu tego miasta, będącego tymczasową stolicą obwodu ługańskiego.

Jeszcze niedawno w Siewierodoniecku mieszkało ponad 100 tys. ludzi. Teraz została niecała jedna piąta z nich. Na ulicach ludzi spotyka się sporadycznie, bo większość z tych, którzy zostali, ukrywa się w piwnicach. Na drzwiach niektórych budynków napisano: „Ludzie".

65-letni Serhij wraz z siedmioma swoimi sąsiadami, mężczyznami i kobietami, z którymi ukrywa się w podziemiach ich domu, nie chcieli tego robić. Uważają, że zwracanie na siebie uwagi może być wyłącznie zagrożeniem. – Bo przyleci jeszcze jakaś rakieta – dopowiada 72-letni Jurij.

Ich piwnica to kilka pomieszczeń i długi korytarz, który prowadzi do piwnic pod innymi klatkami schodowymi. Czasami dochodzi stamtąd słabe światło, więc sąsiedzi podejrzewają, że ktoś tam mieszka – ale nigdy tego nie sprawdzili.

W ich domu fala uderzeniowa powybijała szyby, a pocisk naruszył dach. W jeden z budynków nieopodal kolejny pocisk trafił tak, że wyrwał ściany i dach w narożnym mieszkaniu. Wybuchł pożar, ale nikt nie przyjechał, aby go ugasić, więc znaczna część spłonęła. Mieszkańcy już nie mają dokąd wracać.

Siewierodonieck, podobnie jak inne miasta obwodu ługańskiego, znalazł się pod ciężkim ostrzałem. Powoli zamienia się w gruzy. Rosjanie, stojący niedaleko od rogatek, przygotowują się do wielkiej ofensywy na Donbas, czyli na kontrolowane przez Ukrainę części obwodów donieckiego i ługańskiego. Mieszkańcy Siewierodoniecka są przekonani, że najgorsze dopiero przed nimi.

### Za co dawać im kwiaty?

W piwnicy, oprócz ośmiu ludzi, są także dwa psy, kot i papuga.

Ludzie i zwierzęta niechętnie wychodzą na zewnątrz. Siedzą pod ziemią, rzadko widząc słońce. Temperatura wynosi tutaj ↦

*Ołenę ranił pocisk, gdy szła po pomoc humanitarną. Przebywa w szpitalu w Siewierodoniecku, który wciąż przyjmuje potrzebujących, choć większość personelu wyjechała. 9 kwietnia 2022 r.*

↦ około 11 stopni Celsjusza. Nawet pod ziemię docierają dźwięki wybuchów.

Gdy rozlega się jeden z nich, kobieta przebywająca w piwnicy mówi tylko: – O, to już przyleciało gdzieś do nas.

Mają tu prąd, więc nie siedzą w zupełniej ciemności. Na kuchence elektrycznej mogą też przygotowywać ciepłe posiłki. Sklepy są zamknięte, ale mają własne zapasy. Poza tym dwa razy wolontariusze przywozili pomoc humanitarną. Sporadycznie ktoś z sąsiadów ruszy w stronę centrum, aby nabrać wody pitnej.

Serhij już zupełnie stracił rachubę czasu. Zdarza się, że pyta sąsiada czy sąsiadkę o godzinę. Dopytuje, czy chodzi o dzień, czy o noc. Złości go cała ta sytuacja. Niedługo po 24 lutego, dniu rozpoczęcia rosyjskiej ofensywy, Siewierodoniecк stał się miejscem walk. Cierpi nieporównywalnie bardziej niż osiem lat temu, gdy wybuchła wojna w Donbasie.

– Idzie tutaj Putin. Po to, żeby rzekomo mnie wyzwalać. Więc po co to wszystko niszczy? Może mnie zabić, zniszczyć moje mieszkanie i zrujnować moje życie – mówi Serhij. – Do czego on mi tutaj jest potrzebny z takim wyzwoleniem? Myślał, że będą go witać z kwiatami, ale tego nikt nie robi.

– Za co mu dawać kwiaty? Za to wszystko? – pyta retorycznie sąsiadka.

Serhij miał biznes, zajmował się m.in. przewozem osób. Posiadał pięć autobusów, ale wszystkie zniszczył jeden z ostrzałów.

Mimo to chce zostać w mieście. Jak twierdzi, wiek już nie ten, by rzucać wszystko i zaczynać od nowa.

– Gdybym miał choćby z 50 lat, plunąłbym na to wszystko i pojechał do Polski czy do innego kraju Unii Europejskiej. Próbowałbym się tam jakoś zaczepić – przyznaje.

Inną obawą, która motywuje jego i sąsiadów do pozostania, jest tamten spalony blok niedaleko ich domu. Jest jak ostrzeżenie. Bo jeśli coś trafi w ich dom, to przynajmniej, pozostając na miejscu, będą mogli próbować go gasić, żeby cały nie zajął się ogniem.

– Najważniejsze to przeżyć wojnę, i żeby dom się ostał, a potem się zobaczy – mówi Serhij. – Wszystko będzie dobrze. Tfu, tfu.

I puka w niemalowany blat drewnianego stołu.

### Ludzie z żelaza

Niedaleko od piwnicy Serhija ulicą idzie małżeństwo: 57-letnia Larysa i 60-letni Wiktor. Mijają spalony blok, przyglądają mu się uważnie. Idą powoli, nie zwracając uwagi na huk artylerii.

– Już nawet się nie wzdrygamy – mówi Wiktor.

– Przywykliśmy do tego. Na początku jak coś gruchnęło, od razu biegliśmy się ukryć, a teraz słyszymy, że to był odległy wystrzał i poleciało gdzieś daleko – mówi Larysa.

Tak odpowiada większość mieszkańców Siewierodoniecka. Niektórzy z nich siedzą na ławkach przed swoim blokiem, zadumani. Inni rozmawiają lub po prostu siedzą. Nawet nie drgną, nie odwrócą oczu – jakby zamienili się w kawał żelaza.

Wiktor i Larysa mówią, że pierwszy raz od dawna wyszli na ulicę. Nie chcą tego robić często, bo ostrzał prowadzony jest przynajmniej z trzech kierunków i trudno wyczuć, skąd dokładnie przyleci pocisk.

Największe zniszczenia są we wschodnich i południowych częściach miasta, ale nawet na jego zachodnim skraju też spadały pociski i rakiety. Nie wybierały – trafiały w domy mieszkalne, w sklepy, bazary, szpitale, szkoły czy stacje benzynowe.

Zgodnie ze słowami ukraińskich władz obwodowych, zniszczono tu praktycznie całą infrastrukturę miasta. W Siewierodoniecku nie ma bezpiecznych miejsc.

*Siewierodonieck jest regularnie ostrzeliwany. Na drzwiach klatki schodowej mieszkańcy, którzy ukrywali się w piwnicy, napisali „ludzie". Po prawej: Serhij w swojej piwnicy. 10 kwietnia 2022 r*

### Leżysz i czekasz, aż coś spadnie na głowę

Teraz Larysa i Wiktor wyszli, bo przeczytali w internecie, że pocisk spadł koło domu, w którym mieszkała matka Larysy. Małżeństwo poszło sprawdzić, co się stało i czy dom ma się dobrze. Na szczęście nie znaleźli żadnych zniszczeń. Ruszyli więc z powrotem do siebie.

Jeśli jest w miarę spokojnie, Wiktor i Larysa spędzają czas w swoim narożnym mieszkaniu na trzecim piętrze. Nad nimi jest tylko jedna kondygnacja. Jak zobaczyli spalony blok, to zrozumieli, co może się stać z ich domem po jednym jedynym trafieniu.

Dopiero gdy ostrzał się nasila, para schodzi do piwnicy.

– Nie da się w nocy spać spokojnie. Zresztą niczego nie da się zrobić – mówi Larysa.

– W ciągu dnia do obiadu jest cicho... – dodaje Wiktor.

– ...ale też nie zawsze... – wtrąca Larysa.

– ...wtedy kładziemy się, odsypiamy noc. Tylko zaśniesz, a zaraz coś bachnie i wyskakujemy z łóżka.

– Słyszymy wystrzał i czekamy, aż spadnie nam na głowę.

Na co dzień Larysa i Wiktor nie wychodzą z domu nawet po pomoc humanitarną. Boją się, bo już kilkukrotnie ostrzeliwano punkty jej wydawania, nie zważając na stojących tam ludzi. Tylko w kwietniu Rosjanie dokonali tego dwukrotnie, raniąc przynajmniej pięć osób.

### Urządzić się na nowo

To było jakoś w drugiej połowie marca, gdy 47-letnia Ołena szła po pomoc. Nagle uderzyło niedaleko od niej. Fala uderzeniowa rzuciła nią o ziemię, a odłamek pocisku przeszył jej nogę na wylot.

Była oszołomiona. Nie mogła chodzić, więc czołgała się, wzywając pomocy. Miała szczęście, że akurat przechodził jakiś mężczyzna, który wezwał karetkę. Przyjechała szybko. Odłamek nie uszkodził kości.

W szpitalu Ołena leży już od trzech tygodni, ma świeże opatrunki na nodze. Tu w mieście jest sama, nie ma rodziny. Jest jedynaczką, a ojciec i matka zmarli lata temu. Ołeną, jak i wszystkimi innymi pacjentkami na tym piętrze, zajmują się jedna pielęgniarka i dwie sanitariuszki. W najcięższych dniach z trudem radzą sobie z dziesiątkami rannych. Reszta personelu wyjechała, obawiając się, że Siewierodonieck może zostać zajęty przez Rosjan.

Jak dotąd przynajmniej jeden budynek szpitalny został trafiony. Pocisk utknął w dachu. Całe piętro wyłączono z użytku. Ten budynek, w którym znajduje się Ołena, ma sześć pięter i wznosi się ponad horyzont. Odgłosy walk ciągle docierają do uszu przebywających tu ludzi, którzy jakby pogodzili się z tym, że w każdej chwili mogą zostać ostrzelani.

Dla Ołeny to i tak lepsze warunki niż w domu.

– Na oddziale jest trochę ciszej, a do tego nasze dziewczyny, sanitariuszki i pielęgniarka, uspokajają nas – przyznaje Ołena.

Personel medyczny prosi jednak nieustannie, aby pacjentki wyjechały do bezpieczniejszych części Ukrainy. Ołena nie chciała słyszeć o ewakuacji, dopóki pocisk omal jej nie zabił. Teraz czeka, aż stanie na nogi. Wtedy pójdzie sprawdzić, czy jej dom ostał się cały, a potem wyjedzie.

Dokąd? Nie ma pojęcia. Poza tym choć jeszcze nie wyjechała z Siewierodoniecka, to już myśli o tym, jak zamieszka w nim znowu.

– Piękne jest nasze miasto. Chciałabym tutaj wrócić i urządzić się w nim na nowo – przyznaje.

Na razie o dobrych czasach trudno pomyśleć. Bitwa o Donbas wkrótce ma wejść w nową, jeszcze straszniejszą fazę.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst ukończono 13 kwietnia.

# Główny hamulcowy Europy

ŁUKASZ GRAJEWSKI

**Stare dogmaty blokują niemieckie wsparcie dla Ukrainy. Berlin traci zaufanie Kijowa i pozycję lidera w Unii.**

*Demonstracja solidarności z Ukrainą. Berlin, 6 kwietnia 2022 r.*

Iryna Szulikina dwa lata temu opuściła rodzinną Winnicę, miasto w centralnej Ukrainie. Zamieszkała w Berlinie i zaczęła studia na Uniwersytecie Europejskim Viadrina we Frankfurcie nad Odrą, oddalonym o niespełna godzinę od niemieckiej stolicy.

Dziś przyznaje, że nie ma pojęcia, jak dokończy studia na kierunku Kultura i Historia Europy Środkowej i Wschodniej. Jej życie, tak jak wszystkich Ukraińców, zmieniło się 24 lutego wraz z rozpoczęciem rosyjskiej inwazji. Rodzina Iryny zdecydowała się zostać w kraju i służyć ojczyźnie: ojciec poszedł do wojska, matka jest lekarką, siostra dziennikarką.

Również 28-letnia Iryna, choć jest poza krajem, postanowiła się zaangażować. Skrzyknęła się ze znajomymi, by w pierwszym odruchu wyjść na ulice Berlina. Akurat niemieckie organizacje planowały wielki marsz solidarności z Ukrainą w centrum miasta. Jednak Ukraińcom nie było łatwo doprosić się wysłuchania przez niemieckich organizatorów. – To miała być demonstracja pokojowa i zwłaszcza starszym niemieckim pacyfistom nie spodobały się nasze postulaty – wspomina Iryna w rozmowie z „Tygodnikiem".

Oczekiwania Ukraińców są od początku jasne: zamknięcie nieba nad ich krajem dla rosyjskiego lotnictwa, dostarczenie broni niezbędnej do odparcia napaści i embargo na rosyjskie surowce. Tymczasem nad Odrą ma się wrażenie, że Niemcy sami lepiej wiedzą, co zrobić, by zakończyć tę wojnę: wystarczy domagać się pokoju, a cała reszta to polityka i opowiadanie się po jednej ze stron.

Na największej jak dotąd demonstracji solidarności w Berlinie jedna z ukraińskich aktywistek w końcu otrzymała mikrofon. Ale jej apel o wysyłanie broni Ukrainie spotkał się z niezadowoleniem organizatorów – relacjonuje Szulikina.

### Przepaść w rozumieniu

W kolejnych dniach Iryna Szulikina zawiązała nieformalną grupę Vitsche Berlin (w wolnym przekładzie: Berlińska Gromada), której celem jest docieranie z ukraińskim punktem widzenia do niemieckiej opinii publicznej i organizacja pomocy humanitarnej dla ofiar wojny.

Swój dom Vitsche znalazła początkowo w berlińskiej filii Instytutu Pileckiego – polskiej organizacji rządowej, która po 24 lutego przeznaczyła własną przestrzeń wystawienniczą przy placu Paryskim koło Bramy Brandenburskiej na miejsce zbiórek darów dla przybywających do Berlina ukraińskich uchodźców.

I choć pod Bramą Brandenburską Iryna organizowała małe protesty diaspory niemal codziennie, to miasto Berlin planując koncert solidarności „Sound of Peace", znów nie pomyślało o włączeniu w jego organizację Ukraińców tutaj mieszkających. W efekcie na scenie występowali

niemal sami niemieccy artyści, a z głośników padały tylko ogólniki o potrzebie pokoju.

– Ale najgorszy był moment, gdy na scenie pojawiło się dwóch chłopaków, jeden z ukraińską flagą, a drugi z flagą rosyjską – wspomina Szulikina. – Zdaliśmy sobie sprawę, że istnieje potężna przepaść między Ukraińcami i Niemcami w rozumieniu tego, co się dzieje.

### Ostatni do decyzji

Blisko dwa miesiące od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji Niemcy wciąż do końca nie wiedzą, jak powinni się zachować.

Wprawdzie pierwsze reakcje dawały nadzieję, że polityka Berlina się zmieni. W Bundestagu była mowa o wsparciu dla Ukrainy i potężnym zwiększeniu finansowania niemieckiej armii. W „Tygodniku" cytowaliśmy polityków niemieckich partii koalicyjnych, którzy zapewniali, że dojdzie do przełomu.

– Jeśli porównamy Niemcy sprzed i po inwazji, to zmieniło się bardzo dużo – przekonuje Bastian Sendhardt z Niemieckiego Instytutu Spraw Polskich (DPI) w rozmowie z „Tygodnikiem". – Z drugiej strony warto przypomnieć sobie, jakie Niemcy mieli aspiracje. W umowie koalicyjnej nowego rządu była mowa o wzięciu większej odpowiedzialności za Europę oraz o przewodniej roli w Unii. A rzeczywistość jest taka, że w reakcji na tę wojnę przy niemal każdej możliwej okazji Niemcy są ostatni do podejmowania decyzji i do brania większej odpowiedzialności.

To zwłaszcza SPD – największa partia w koalicji rządzącej, z której wywodzi się kanclerz Olaf Scholz – odgrywa rolę głównego hamulcowego w Europie, jeśli chodzi o wsparcie dla Ukrainy. Z przecieków wychwytywanych przez dziennikarzy na brukselskich korytarzach wynika, że to głównie Niemcy blokują szybsze nałożenie embarga na wszystkie rosyjskie surowce. Zakaz importu rosyjskiego węgla został w końcu przyjęty przez głowy państw Unii, ale pod naciskiem Berlina, Wiednia i Budapesztu termin jego wejścia w życie opóźniono o kilka miesięcy.

Tymczasem wojna wchodzi w nową fazę i liczy się tam każdy dzień. Mimo to Niemcy dalej pozostają największym klientem rosyjskiego sektora energetycznego w Europie i wpłacają do budżetu Kremla gigantyczne kwoty. Głównym ich argumentem jest odpowiedzialność – za własnych obywateli i własną gospodarkę.

### W tyle za Estonią

Również w kwestii dostaw broni Berlin nie spełnia oczekiwań Ukraińców oraz swoich sojuszników z NATO. Urząd Kanclerski i Ministerstwo Obrony co rusz zmieniają wersję i prezentują nową narrację. Raz Niemcy są już niemal gotowi, aby dostarczyć sprzęt, również ten ciężki – żeby dzień później temu zaprzeczyć. Eksperci śledzący dostawy broni wskazują, że Niemcy, które posiadają bardzo sprawny sektor firm zbrojeniowych, dostarczyły Ukrainie sprzęt o mniejszej wartości niż broń, którą wysłała jej niewielka Estonia.

Pytanie, jak efektywnie pomagać Ukrainie w sytuacji, gdy – jak zgodnie piszą już komentatorzy bodaj wszystkich niemieckich mediów głównego nurtu – los tej wojny, a więc i los Ukrainy będzie musiał rozstrzygnąć się na polu walki, skoro rozmowy pokojowe z Putinem to fikcja, staje się coraz większym problemem dla wciąż młodej koalicji, w której socjaldemokraci współrządzą z partią Zielonych i liberałami z FDP.

Zieloni, których można nazwać już śmiało partią proukraińską i antyrosyjską, i którzy kontrolują w rządzie resorty gospodarki i spraw zagranicznych, chcą, żeby Niemcy w końcu odegrały rolę adekwatną do wielkości państwa i gospodarki. Jednak SPD i FDP boją się, że embargo może zrujnować niemiecki przemysł całkowicie uzależniony od rosyjskich węglowodorów. Politycy SPD obawiają się też, że masowa wysyłka broni na teren trwającego konfliktu może zniechęcić jej elektorat.

### W pułapce dogmatów

– Niemiecka lewica wyrosła po części z ruchów pokojowych. Ta w pewnym sensie „prowincjonalna" niechęć do angażowania się w konflikty wynika też z ograniczonej suwerenności, jaką miały Niemcy Zachodnie oraz NRD przed zjednoczeniem Niemiec. W trakcie zimnej wojny oba te państwa nie mogły podejmować samodzielnych decyzji w kwestiach bezpieczeństwa – tłumaczy nam Bastian Sendhardt z DPI. – Obawiano się natomiast konsekwencji globalnego konfliktu, który przerodziłby się też w konflikt niemiecko-niemiecki – przypomina.

Do globalnego pokoju jako nadrzędnego celu również i dziś odwołuje się niemiecka lewica, której myślenie podziela spora część społeczeństwa obywatelskiego. W tych dniach na terenie całych Niemiec odbywały się tzw. marsze wielkanocne. To tradycja sięgająca lat 60. XX w., a ich przekaz jest pacyfistyczny i antymilitarystyczny. Nie oznacza to jednak, że ich uczestnicy chcą w jakikolwiek sposób pomóc Ukrainie bronić się przed rosyjską napaścią. Z oświadczenia wydanego np. przez organizatorów marszu w Hamburgu wynika, że za rosyjską inwazję współwinią oni kraje naszego regionu za przyłączenie się do NATO, a także ukraińskich „faszystów" i Zachód, bo dostarcza on Ukrainie broń.

Cały ten tekst zredagowano w takim tonie, że trzeba dużo dobrej woli, by przyczyn takiej narracji szukać tylko w naiwności organizatorów, a nie w jawnym sprzyjaniu Kremlowi. Bo też wśród postulatów niemieckich pacyfistów głośno przebija się postulat zakazu dostaw broni dla Ukrainy, wycofania żołnierzy Bundeswehry z państw naszego regionu i ogólne zrównywanie win Putina z winami Sojuszu Północnoatlantyckiego.

### My wam wytłumaczymy

„Mariupol być może nie byłby dziś tak zniszczony, gdyby ukraińskie wojsko wycofało się na czas" – zastanawiał się w rozmowie z mediami Peter Kohlgraf, biskup i szef kościelnej organizacji na rzecz pokoju Pax Christi. Kohlgraf i inni wyznawcy niemieckiego pacyfizmu dalej wierzą w możliwość zakończenia tej wojny na drodze rozmów. Jeszcze żaden konflikt nie został rozwiązany przez militarną eskalację – tak brzmi częsta argumentacja w debatach toczących się w niemieckich mediach społecznościowych. Aż dziw bierze, że podobno tak dobrze wykształceni Niemcy zapominają o II wojnie światowej – wszak nie została ona zakończona drogą negocjacji, lecz poprzez pokonanie III Rzeszy.

Abstrakcyjne „apele o pokój", dla którego warto nawet poświęcić Ukrainę, powodują, że coraz częściej z ust Ukraińców – i szerzej przedstawicieli regionu Europy Środkowo-Wschodniej – padają oskarżenia wobec Niemców i Europy Zachodniej o uprawianie tzw. westplainingu. To zbitka angielskich słów *west* (zachód) i *explaining* (tłumaczyć). Pojęcie to określa tendencję wśród przedstawicieli zachodnich elit do tłumaczenia nam, jak powinniśmy rozumieć sytuację, w której się znajdujemy, i co powinniśmy robić.

Tak można rozumieć pojawiające się w Niemczech wciąż liczne głosy, które ↦

OLEXIY BARDADYM / VITSCHE BERLIN

↦ nawołują do uwzględnienia interesów Rosji i które z nieskrywaną niechęcią odnoszą się do faktu, że ukraińskie wojsko zaskakująco dobrze radzi sobie w powstrzymywaniu rosyjskiego agresora. Ten ton, pełen kolonialnej wręcz arogancji i moralizatorstwa, był niemal normą przed rosyjską agresją i niestety wciąż jest słyszalny w dyskusjach nad Renem.

### Bezpieczeństwo czy wolność

Żeby wytłumaczyć niemieckie podejście do wydarzeń w Ukrainie, Bastian Sendhardt sięga do historii: – Polska w trakcie II wojny światowej walczyła o państwowe, ale też o fizyczne przetrwanie. To doświadczenie można nazwać walką o wolność – mówi. Stąd Polakom z łatwością przychodzi identyfikowanie się z bohaterską postawą Ukraińców. – Niemcy takiego zagrożenia wówczas raczej nie doświadczyły. A już po wojnie Niemcy Zachodnie nabrały dystansu do takich pojęć jak patriotyzm i duma narodowa – tłumaczy Sendhardt.

Główną różnicę między Polakami i Ukraińcami z jednej strony a Niemcami z drugiej Sendhardt widzi w opozycji pomiędzy bezpieczeństwem a wolnością. – Dla Niemców, a na pewno dla niemieckiej lewicy, pokój, rozumiany także jako bezpieczeństwo, jest ważniejszy niż wolność – przekonuje. – A bezpieczeństwo można mieć też bez wolności. Idąc dalej, pokój trzeba chronić, a o wolność trzeba walczyć. Dbanie o pokój może więc zachęcać do pewnej pasywności, w przeciwieństwie do aktywnego wezwania do walki o wolność.

Sendhardt dodaje, że w ruchu pokojowym nie widać żadnych konstruktywnych odpowiedzi na pytanie, jak reagować na wojnę, która toczy się w Ukrainie. – Dziś nawet osoby o poglądach pacyfistycznych coraz częściej wypowiadają się za dostawami broni dla Ukrainy – zauważa.

### Dwie dekady błędów

Obecną krytykę wobec niemieckich postaw dodatkowo wzmacnia poczucie, które najłatwiej zawrzeć w słowach „a nie mówiłem”.

10 grudnia 2005 r. na pierwszej stronie dziennika „Rzeczpospolita” pojawił się artykuł o rozpoczęciu budowy pierwszej nitki gazociągu Nord Stream. Polska i kraje naszego regionu od początku przestrzegały przed geopolitycznymi skutkami tego projektu. Jednak niemiecki

ARCHIWUM PRYWATNE

**IRYNA SZULIKINA** *wraz z przyjaciółmi zawiązali grupę Vitsche Berlin (Berlińska Gromada)*

establishment polityczny, z wyjątkiem Zielonych, przez ponad dwie dekady był zawsze skory do obrony rosyjskich interesów i do wzmacniania niemiecko-rosyjskich więzów gospodarczych.

Do prowadzenia biznesów i rozmów z Kremlem nie zniechęcały Niemców ani kolejne wojny Putina, ani zabójstwa jego przeciwników. Nawet aneksja Krymu i wojna w Donbasie zasadniczo nie zmieniły podejścia Niemiec, które sprowadzało się do kłamliwego banału, że bez Rosji nie da się rozwiązać żadnego z wielkich globalnych problemów. Dopiero gdy po 24 lutego Rosja jawnie już okazała się globalnym problemem numer jeden, w Niemczech zaczęło się posypywanie głów popiołem.

Prezydent Frank-Walter Steinmeier, który w ubiegłą środę gościł w Warszawie, przyznał niedawno, że pomylił się względem Putina. Tylko czy takie słowa wystarczą? Steinmeier przez wiele lat wyznaczał kierunki niemieckiej polityki – najpierw jako szef Urzędu Kanclerskiego (za rządów Gerharda Schrödera), a potem jako szef dyplomacji. Rękoma armii urzędników dbał też, by na korytarzach unijnych instytucji forsować niemiecko-rosyjskie inwestycje energetyczne. W efekcie niemiecki prezydent nie jest przez Ukraińców postrzegany jako sojusznik. W ubiegłym tygodniu zablokowano jego przyjazd do Kijowa.

Granie na Putina było w ostatnich dwóch dekadach znakiem firmowym szczególnie socjaldemokratów. Niedawne ustalenia niemieckich mediów wskazują, że osoba pełniąca funkcję *Communications Manager Germany* w Nord Stream 2 AG w istocie kontrolowała działania socjaldemokratów rządzących w landzie Meklemburgia – Pomorze Przednie, czyli tam, gdzie kończą się obie nitki Nord Streamu. Z uzyskanych dokumentów wynika, że przedstawiciel spółki-córki Gazpromu po prostu dyktował niemieckim politykom rozwiązania niezbędne do ominięcia amerykańskich sankcji w sprawie Nord Stream 2.

### Ukraiński głos coraz silniejszy

Iryna Szulikina opowiada „Tygodnikowi”, że w międzyczasie jej grupa Vitsche Berlin dołączyła do sieci ukraińskich organizacji działających w stolicy Niemiec. Po tym, co widzieli na pierwszych demonstracjach i koncertach, ukraińscy aktywiści zabrali się za lobbing, aby tłumaczyć ukraiński punkt widzenia i przebijać się przez niemieckie dogmaty.

Są już po spotkaniach z wszystkimi ugrupowaniami politycznymi. – Dużo zmieniło się po Buczy – twierdzi Szulikina. Po odkryciu ofiar masakry w Buczy i innych podkijowskich miejscowościach Ukraińcy zorganizowali dużą demonstrację przed siedzibą Bundestagu. W jej organizację zaangażowali się niemieccy partnerzy, z którymi Ukraińcy zdążyli sobie już sporo wyjaśnić. W centrum Berlina głośno wybrzmiało tym razem to, co Ukraińcy uważają za słuszne, a nie to, co zdaniem Niemców Ukraińcy powinni myśleć.

– Zewnętrzna presja na Niemcy jest bardzo potrzebna – uważa Bastian Sendhardt z DPI. – W niemieckiej polityce można zauważyć tendencję do szybkiego osiadania na laurach: „Ogłosiliśmy coś i jest świetnie”.

– Ważne jest również, kto tę presję na Berlin wywiera – dodaje Sendhardt i przypomina, że obecna, jego zdaniem jak najbardziej słuszna, krytyka z Warszawy pod adresem Niemiec pada z ust przedstawicieli rządu, który przez ostatnie siedem lat skupiał się na oczernianiu sąsiada i prezentowaniu Niemiec jako kontynuatora III Rzeszy. – Popsuto dużo w dwustronnych relacjach i skonfliktowano się także z innymi państwami w Unii – Sendhardt ocenia trudność obecnej pozycji Polski.

Presja na zmianę w niemieckiej polityce i opinii społecznej zwiększa się także w kontekście rosnącej liczby ukraińskich uchodźców. Do Wielkanocy przybyło ich już ok. 350 tys.

– Aneksja Krymu i wojna w Donbasie były w Niemczech relacjonowane z o wiele mniejszym zainteresowaniem niż w Polsce. Teraz to się zmieniło. Niemieckie media są na miejscu w Ukrainie. A agresor został od samego początku jasno nazwany – podkreśla Sendhardt.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

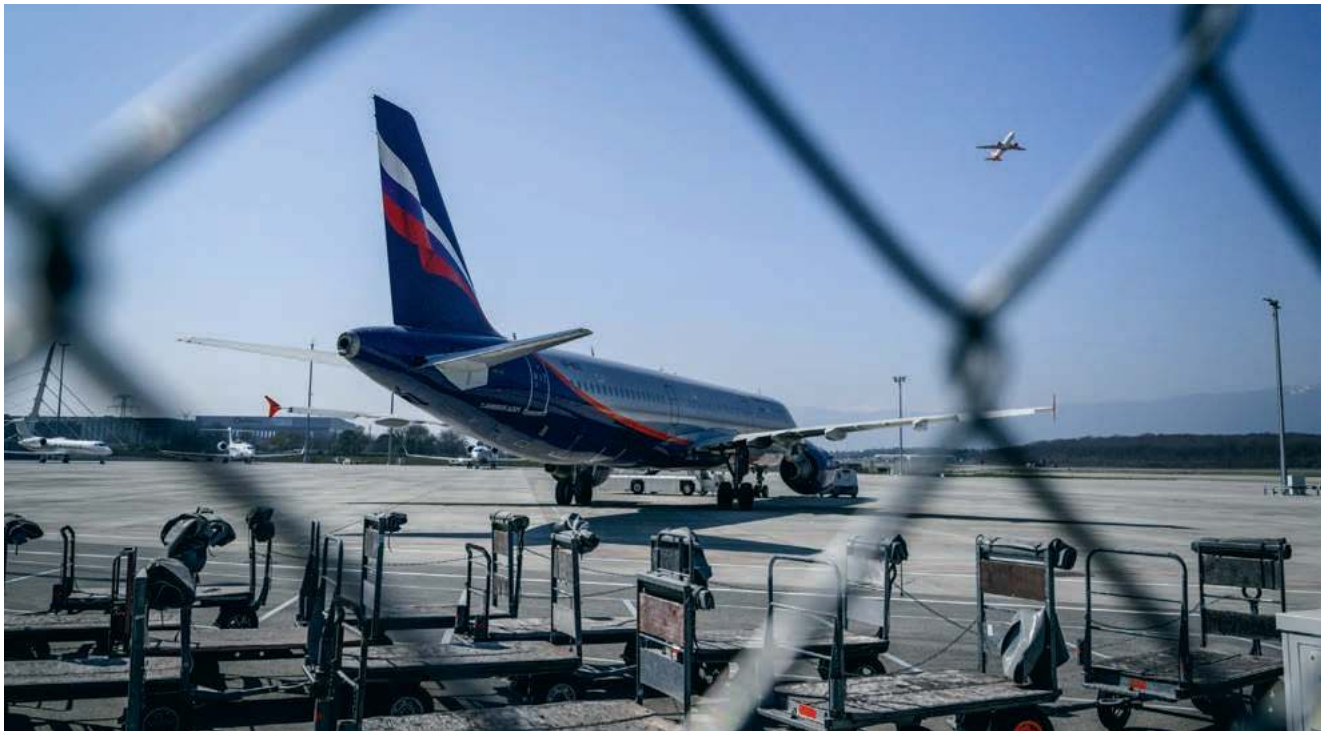

FABRICE COFFRINI / AFP / EAST NEWS

*Po tym, jak rosyjski przewoźnik Aeroflot został zakazany w przestrzeni powietrznej Szwajcarii, ten samolot trafił na długoterminowy postój. Lotnisko w Genewie, 25 marca 2022 roku.*

# Szwajcaria szuka kremlowskich miliardów

AGNIESZKA KAMIŃSKA Z ZURYCHU

**Inwazja Rosji na Ukrainę zmusza Helwetów do przeanalizowania na nowo swojej roli – państwa neutralnego i bezpiecznej przystani dla pieniędzy oligarchów.**

Cztery dni. Tyle czasu zajęło – od czwartku 24 lutego do poniedziałku 28 lutego – szwajcarskiemu rządowi wypracowanie być może najważniejszego politycznego konsensusu w najnowszej historii kraju.

Neutralny od ponad dwóch stuleci, trzymający się na uboczu światowych wydarzeń, z dnia na dzień musiał przypomnieć sobie, że leży w środku Europy. Tej, w której toczy się wojna. Szwajcarska neutralność – oczywistość w czasach pokoju – nagle stała się tematem publicznej debaty w kraju i za granicą.

### Wszystkie oczy na Berno

Kiedy w Brukseli ogłoszono szybko pierwszy pakiet sankcji wobec Rosji, Berno okopało się na pozycji neutralnego obserwatora. Rząd zapowiedział co prawda, że zadba o to, aby Rosja nie wykorzystywała alpejskiej furtki do omijania unijnych ograniczeń, ale unikał jak ognia deklaracji, m.in. w sprawie kont oligarchów. Prezydent Ignazio Cassis powoływał się na tradycyjną rolę Szwajcarii jako mediatora.

Reakcją na brak reakcji była ogromna presja społeczna. Krajowi komentatorzy zarzucali politykom odwracanie oczu od wojny, zasłanianie się „listkiem figowym" neutralności, a nawet lojalność wobec agresora. Poza konserwatywną Szwajcarską Partią Ludową, ugrupowania w parlamencie były jednomyślne: Szwajcaria powinna przyłączyć się do sankcji Unii Europejskiej, mimo że nie należy do Wspólnoty.

Dziesiątki tysięcy osób wyszły na ulice Berna i Zurychu, by wyrazić solidarność z Ukrainą. W końcu, we wspomniany już poniedziałek 28 lutego, rząd po kolejnym posiedzeniu ogłosił, że dołącza do sankcji.

Osiem lat temu, w 2014 r., Szwajcaria nie przyłączyła się do podobnych unijnych działań podjętych wobec Rosji po aneksji Krymu i rozpętaniu wojny w Donbasie. Wtedy osoby związane z Kremlem i objęte sankcjami dostały wprawdzie zakaz zakładania nowych kont, ale mogły nadal prowadzić działalność, korzystając z alpejskiej gościnności. W efekcie takiej polityki *business as usual* wartość bezpośrednich inwestycji rosyjskich w Szwajcarii gwałtownie wzrosła – i na koniec 2020 r. wynosiła ponad 15 mld franków. W tym czasie Szwajcaria zainwestowała w Rosji prawie dwa razy tyle.

### Co wolno neutralnym

– Przyparta do muru przez własnych obywateli, Unię i Stany Zjednoczone Szwajcaria nie mogła dłużej zasłaniać się neutralnością. Unikanie sankcji byłoby jak opowiedzenie się po stronie agresora. To przeciwne idei neutralności – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Cédric Wermuth, parlamentarzysta i szef Socjaldemokratycznej Partii Szwajcarii, który od początku był za nałożeniem sankcji na Rosję.

↦

↦ Jego zdaniem Szwajcaria zbyt długo przypatrywała się światu z wygodnej pozycji. – Teraz świat nas dopadł i ustawienie się po stronie prawa międzynarodowego i demokracji jest koniecznością, także dla naszego własnego bezpieczeństwa – twierdzi socjaldemokrata.

Neutralność jest dewizą szwajcarskiej polityki bezpieczeństwa i relacji z innymi państwami. Konwencje z początku XX w. gwarantują nienaruszalność terytorium na wypadek konfliktu zbrojnego i stanowią o tym, co Szwajcarii wolno, a czego nie. Zakazany jest udział w wojnie, ale też zaopatrywanie stron konfliktu w broń oraz udostępnianie lądu i przestrzeni powietrznej do transportu uzbrojenia czy wojska. Aby neutralny kraj mógł zachować niezależność gospodarczą, może kontynuować normalną wymianę handlową ze wszystkimi krajami, bez względu na ich zaangażowanie w działania wojenne.

Tyle mówi prawo międzynarodowe. O całej reszcie Szwajcaria decyduje wedle uznania.

– Neutralność nigdy nie była celem samym w sobie, a jedynie narzędziem polityki państwa. Ta zaś zmieniała się wraz ze zmieniającym się światem – podkreśla w rozmowie z „Tygodnikiem" Stefanie Walter, profesorka nauk politycznych Uniwersytetu w Zurychu.

U źródeł neutralności leżała idea państwa-buforu między europejskimi mocarstwami, co później oszczędziło Szwajcarię podczas dwóch wojen światowych. Następnie, po upadku muru berlińskiego, zmienił się krajobraz geopolityczny świata, a wraz z nim także koncepcja neutralności. W 2002 r. Szwajcaria wstąpiła do ONZ.

– Od tej pory, zachowując neutralność, kierowała się coraz bardziej w stronę aktywnej polityki zagranicznej. Dzisiaj jest jasne, że wobec łamania reguł gry, prawa i demokracji, nie ma mowy o byciu bezstronnym – mówi Stefanie Walter. I dodaje, że sankcje nie są niczym nowym.

### Kultura gościnności

Neutralna Szwajcaria wielokrotnie już – jako kraj członkowski Rady Bezpieczeństwa ONZ – obejmowała inne kraje sankcjami (wiele z nich obowiązuje do dziś). Dołączała też do ograniczeń nakładanych przez Unię Europejską np. na Syrię czy Białoruś.

– Obecne sankcje są wyjątkowe ze względu na skalę i mocarstwo, którego dotyczą. Szwajcarię i Rosję łączą wszak ścisłe zależności gospodarcze. Jeśli mówić o przełomie w polityce neutralności, to upatrywałabym go raczej w relacjach z Rosją – mówi Stefanie Walter.

Nie jest tajemnicą, że w ostatnim stuleciu neutralność służyła gospodarczym interesom Szwajcarii często kosztem wizerunku. Reputacja „skarbca nazistów" odbija się tu czkawką do dziś. Przykład z nowszej historii: niechlubny, ale zyskowny handel złotem i bronią z reżimem segregacji rasowej w Republice Południowej Afryki.

– Neutralność była wielokrotnie nadużywana. To dobry argument, aby nie zaglądać tam, gdzie płyną pieniądze: dzisiaj nie tylko z Rosji, ale też z Chin czy afrykańskich dyktatur – mówi Cédric Wermuth. – W Szwajcarii nazywamy to „kulturą gościnności": bierzemy każdy pieniądz, bez zadawania pytań. W ten sposób, z pełną świadomością, przez długi czas finansowaliśmy też reżim Putina.

Zwrot w polityce wobec Rosji na pewno będzie Szwajcarię kosztował. Czy słono, zależy od tego, jak pilnie egzekwowane będą unijne sankcje.

### Na tropie oligarchów

„To jest walka przeciwko złu" – przypomniał Szwajcarom Wołodymyr Zełenski, gdy połączył się online z Bernem podczas manifestacji solidarności z Ukrainą. Prezydent apelował też o zamrożenie pieniędzy oligarchów.

Szwajcarskie Zrzeszenie Banków szacuje wartość zgromadzonych w nich rosyjskich aktywów nawet na 200 mld franków. Ile z tych pieniędzy należy do powiązanych z Kremlem osób z listy sankcyjnej, nie wiadomo. Według ostatnich informacji, udało się namierzyć i zablokować 7,5 mld franków.

Dopiero 1 kwietnia, czyli miesiąc po decyzji o wprowadzeniu sankcji, Państwowy Sekretariat ds. Gospodarczych (SECO) wysłał do 26 kantonów instrukcję na temat egzekwowania sankcji. Wynika z niej, że lokalne urzędy same mają się zająć tropieniem majątków oligarchów.

– Osoby i instytucje, które są w posiadaniu, zarządzają lub mają wiedzę na temat podlegających sankcjom źródeł finansowych, mają obowiązek niezwłocznie zgłosić nam ten fakt – mówi „Tygodnikowi" Livia Willi, rzeczniczka SECO (Sekretariat odpowiada za egzekwowanie sankcji).

„Nie jest naszą rolą grać policjantów i przeczesywać każdą firmę" – tak na instrukcję odpowiada w lokalnej telewizji Heinz Tännler, dyrektor finansowy Zugu, małego kantonu z niskimi podatkami, w którym siedzibę mają dziesiątki firm powiązanych z Rosją.

W reakcji na rosyjską inwazję największe szwajcarskie banki w popłochu niszczyły dowody, że oligarchom objętym sankcjami udzielały pożyczek na luksusowe jachty i prywatne samoloty. Teraz mają obowiązek zgłaszania ich majątków.

– To zabawa w kotka i myszkę, bo część aktywów jest poukrywana. Konta bankowe zakłada się na spółki, które z kolei w strukturze właścicielskiej posiadają kolejne spółki. Do tego dochodzi gęsta siatka pośredników finansowych, z których skuteczności słynie Szwajcaria. Duże instytucje mają narzędzia, aby te powiązania wychwycić i zamrozić aktywa, ale mniejsze banki mogą ich nie zauważyć, świadomie bądź nie – mówi były pracownik jednego z dużych banków.

Pomysł powołania specjalnego sztabu, który zająłby się ściganiem pieniędzy oligarchów, nie spotkał się ze zrozumieniem rządu. Ten jest zadowolony z postępów w egzekwowaniu sankcji. – Szybkie tempo meldunków i wysoka wartość zablokowanych aktywów są dowodem, że procesy funkcjonują dobrze – mówi rzeczniczka SECO.

### Gaz i ropa płyną dalej

W debacie publicznej nie brakuje głosów, że gdy idzie o sankcje wobec Rosji, Szwajcaria powinna iść o krok dalej niż Unia Europejska: przykręcić kurek z surowcami, które importuje i na których wzbogaca się od lat także jako pośrednik w handlu tranzytowym.

Mały alpejski kraj jest bowiem jedną z największych centrali globalnego handlu surowcami naturalnymi. Według ostrożnych szacunków, za pośrednictwem setek firm mających swoje adresy w Genewie, Lugano czy Zugu koordynowana jest jedna piąta światowego obrotu ropą, gazem ziemnym, metalami i produktami rolnymi. Wpływy z tego sektora w ciągu ostatniej dekady powiększyły się dziesięciokrotnie. Szacowane przez Berno w 2017 r. na 25 mld franków, generują niemal 4 proc. szwajcarskiego PKB. To większy udział niż ma turystyka.

Organizacja pozarządowa Public Eye z Zurychu szacuje, że nawet do 60 proc.

obrotów rosyjskimi surowcami energetycznymi odbywa się za pośrednictwem Szwajcarii. Trudno o dokładne liczby, ponieważ handel tranzytowy to potężna machina obsługiwana przez tzw. klastry, składające się z firm o nieprzejrzystej strukturze własnościowej (często nienotowanych na giełdzie) i wspierających je wyspecjalizowanych instytucji finansowych, ubezpieczeniowych i doradczych. Transakcje odbywają się z wykorzystaniem skomplikowanych instrumentów finansowych, bywa, że z pominięciem procedur podatkowych i celnych.

Public Eye od lat wzywa do uregulowania i kontroli tego rynku, choćby przez wprowadzenie publicznego rejestru podmiotów gospodarczych czy objęcia doradców i prawników ustawodawstwem zapobiegającym praniu brudnych pieniędzy. Apele nie przynoszą skutku.

### Bezpieczna przystań

Rola Szwajcarii w relacjach z Rosją pozostaje ambiwalentna, ale jeśli chodzi o solidarność z Ukrainą, tu jest jasność: neutralny kraj od początku inwazji udziela pomocy humanitarnej i schronienia uchodźcom.

Alina Marczuk z rodzinnej Winnicy do Lucerny dotarła po długiej drodze – przez Kiszyniów, Bukareszt i Heidelberg. W Szwajcarii, dzięki płynnej znajomości niemieckiego, dostała pracę na uczelni. W Ukrainie został jej mąż. Ona chce wrócić jak najszybciej. – Szwajcaria jest dla mnie jak kraina z bajki. Doceniam ogromne wsparcie, które tu otrzymałam, i to, że mogę pracować w zawodzie. Ale jak mówią: *east or west, home is the best* – mówi.

Alinie i wielu innym osobom pomaga Pawlo Dlaboha z Towarzystwa Ukraińskiego, które działa w Szwajcarii od prawie 80 lat. Dawniej dyrygent, teraz na emeryturze, dziś organizuje konwoje humanitarne i pomaga Ukraińcom odnaleźć się w nieznanej rzeczywistości.

Nie sądził, że Szwajcarzy są jeszcze w stanie czymś go zaskoczyć. – Mieszkam tu przez całe dorosłe życie i po raz pierwszy widzę w ludziach taką otwartość – mówi dyrygent. Przed wojną ukraińska diaspora w Szwajcarii liczyła ok. 14 tys. osób, teraz przybyło prawie 30 tys. nowych, a urzędy migracyjne spodziewają się, że przyjechać może jeszcze drugie tyle. – Fakt, sprawy urzędowe trochę trwają, ale przecież nikt nie był tu przygotowany na takie tłumy – mówi Dlaboha.

Epokowym krokiem w polityce migracyjnej jest aktywowanie specjalnych procedur ochronnych dla osób uciekających przed wojną. Ten tzw. status S, wprowadzony przez Szwajcarię po raz pierwszy w historii, daje Ukraińcom takie samo prawo pobytu jak obywatelom Unii: mogą starać się o pracę, sprowadzać rodziny, a także – co ważne zwłaszcza na początku w nowym kraju – liczyć na wsparcie finansowe. Wysokość świadczeń różni się w zależności od kantonu: w Lucernie to miesięcznie 414 franków na osobę, a w Bernie prawie 700 franków.

W sondażu przeprowadzonym kilka dni po rosyjskiej inwazji prawie trzy czwarte pytanych zgodziło się, że Szwajcaria powinna przyjąć uchodźców z Ukrainy.

Pawlo Dlaboha zauważa, jak zmienia się świadomość: – Ukraina była dotychczas jak słoń w ogrodzie, który stał tam od lat, ale nikt go nie widział. Wojna otworzyła ludziom oczy.

Alina Marczuk opowiada o 63-letnim profesorze, którego poznała na uczelni. Uciekł z Buczy: – Chciał pokazać szwajcarskim kolegom na mapie, skąd pochodzi. Nie musiał. Wszyscy już wiedzieli.

### Miejsce w nowym świecie

Szwajcarzy są świadomi, że ich kraj czekają nowe wyzwania. Trzy czwarte z nich popiera decyzję rządu o objęciu Rosji sankcjami, a ponad połowa ankietowanych jest za ściślejszą współpracą obronną z Europą. Z prawej strony sceny politycznej słychać żądania większych wydatków na armię. Wrócił temat ściślejszej współpracy z NATO. „Wizja Szwajcarii jako samobroniącego się jeża nie odpowiada możliwym scenariuszom konfliktów wieku XXI. Wyczerpaliśmy dywidendę pokoju, jaką zapewniają gratis kraje otaczające nas pasem ochronnym" – pisze Thierry Burkart, szef Szwajcarskiej Partii Liberalnej, w zuryskim dzienniku „Tagesanzeiger".

Neutralność poddawana jest próbie. W świecie, który będzie urządzał się na nowo, na politykę wstrzymywania się od głosu może nie być miejsca. – Neutralność pozostanie ważnym elementem szwajcarskiej tożsamości, ale akceptacja dla wyizolowanego kraju, który czerpie korzyści finansowe pod płaszczykiem bezstronności, będzie na arenie międzynarodowej coraz mniejsza – przewiduje Stefanie Walter.

Po raz pierwszy w historii Szwajcaria kandyduje do funkcji niestałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ na lata 2023-24.

– Polityka prowadzona pod hasłem „nie mamy zdania" musi odejść do historii – uważa Cédric Wermuth.

Stefanie Walter: – Na ryzyko bycia pasażerem na gapę Szwajcaria pozwolić sobie nie może. Ani politycznie, ani gospodarczo.

© AGNIESZKA KAMIŃSKA

TP W KOLEJNYM NUMERZE „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" DODATEK

PRAWA CZŁOWIEKA

- wywiad z prof. **LECHEM M. NIJAKOWSKIM**, znawcą problematyki ludobójczej
- **MACIEJ NOWICKI**, prezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, przedstawia historię ruchu obrony praw człowieka na świecie – o co walczono kiedyś, o co walczymy dziś
- **MAREK RADZIWON** kreśli portrety radzieckich i rosyjskich dysydentów
- **MAŁGORZATA NOCUŃ** pisze o prawach kobiet w Polsce

Parlament Europejski

Parlament Europejski Biuro w Polsce

GDAŃSK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

# KONIEC TOKSYCZNEGO BRATERSTWA

Początki ukraińskiej kultury doby niepodległości związane są z atomową katastrofą sprzed 36 lat. Obecny dramat wojenny przynosi finał rozpoczętych wtedy przeobrażeń.

MACIEJ PIOTROWSKI

NIKKI KAHN / THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

*Turyści w opuszczonym mieście Prypeć. Założone dla pracowników Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej, w 1986 r. zostało wysiedlone i dziś jest jednym z symboli tamtej katastrofy. 24 marca 2011 r.*

Czarnobyl, 26 kwietnia 1986 roku. Tę datę ukraińscy kulturoznawcy (jak Tamara Hundorowa) czy pisarze (jak Jurij Andruchowycz, Oksana Zabużko) uznają za moment narodzin kultury ukraińskiej doby niepodległości. Rok Zero. Moment przejrzenia na oczy, wyzbycia się strachu przed słabnącym sowieckim systemem. „Pierwszy, gorzki, radioaktywny haust wolności!" – pisze Zabużko.

Na ten moment można datować rozpoczęcie dekolonizacyjnego pożegnania z imperium, czyli zrywania toksycznych więzów łączących Ukrainę z rosyjską kulturą, powstałych jako rezultat wieków egzystowania w jednym imperialnym organizmie.

## Cichy renesans

Po roku 1991 „czarnobylskie" pokolenie zaczęło budować fundamenty kultury niepodległej Ukrainy. Działo się to czasem przy wsparciu, a czasem przy sabotażu państwa. Na tej drodze zdarzały się zarówno momenty stagnacji, a nawet rewizjonistycznej ofensywy tzw. russkiego miru, jak też rewolucyjnego przyspieszenia „niebiesko-żółtych".

Największym z tych ostatnich był bezsprzecznie rok 2014. Ciosy, które Ukraina otrzymała wówczas od Rosji – zarówno w dziedzinie militarnej, jak i propagandowej – zostawiły wyraźny ślad w zbiorowej ukraińskiej psychice.

To wtedy na pełną skalę uruchomiony został pewien kulturowy proces – ważny także dla dzisiejszych wydarzeń, być może decydujący o przebiegu aktualnej wojny. Toczył się on po cichu, w tle głośnych wydarzeń politycznych. Nie do końca zauważalny i być może niezbyt widowiskowy. Jednak znaczył wiele, bo w latach 2014-22 kultura i społeczeństwo Ukrainy zbudowały silną strukturę, która nie załamała się w obliczu rosyjskiej agresji militarnej, psychologicznej i informacyjnej.

Z jednej strony działało państwo. Rozumiejące rosyjskie zagrożenie, próbujące wzmacniać swoje struktury, wprowadzać reformy, tworzyć skuteczną administrację. Jednak – w sferze kultury – państwo nie potrafiło wszystkiego. Tutaj pojawiło się miejsce dla społeczeństwa: organizacji pozarządowych, działaczy i twórców kultury. Kijowska rewolucja na Majdanie 2013/14 i ruch wolontariackiego wsparcia dla armii, rozwijający się od roku 2014, znacząco wzmocniły ich podmiotowość.

Pewien brak kompetencji i zdolności ze strony struktur państwowych były tu nawet błogosławieństwem. Państwo, choć nie wspierało trzeciego sektora, to dawało mu wolną rękę do działań. Co więcej, pozarządowe organizacje i środowiska oraz niezależne media potrafiły prowadzić obywatelską kontrolę działań państwa. Ich niezależność gwarantowało także zagraniczne finansowanie – granty zachodnich fundacji. Z kolei reforma samorządowa wzmacniała pozycję ośrodków regionalnych.

W ten sposób sformowała się swego rodzaju koalicja instytucji państwowych, pluralistycznych mediów ogólnokrajowych i lokalnych, organizacji pozarządowych, aktywistów i artystów. Połączył ich wspólny cel, choć realizowany różnymi metodami.

## Burza kropel w oceanie

A teraz – krótka dygresja. Oto jak taktykę ukraińskich sił zbrojnych A.D. 2022 opisują kanadyjscy specjaliści z The Cavell Group: „Wojska lądowe Ukrainy, podobnie jak Wielkiej Brytanii i USA, są zdecentralizowane, operują mniejszymi jednostkami – inaczej niż rosyjska armia ze swoimi dużymi zgrupowaniami. (...) Siły ukraińskie wydają się bardziej elastyczne, lepiej [niż rosyjskie – red.] reagują i dostosowują się do sytuacji. (...) Dzięki odpowiedniemu wyszkoleniu, wywiadowi i uzbrojeniu ich mniejsze jednostki potrafią atakować i operować zupełnie inaczej niż rosyjskie, które cechuje silnie scentralizowany model dowodzenia. (...). Kierujący oddziałami mają większe możliwości dowodzenia w terenie, gdy wynikają problemy z komunikacją i ograniczenia czasowe, i nie muszą czekać na rozkazy od dowództwa wyższego szczebla".

Dlaczego przywołuję tutaj ten temat, daleki przecież od rozważań o kulturze? Bo wydaje się, że ukraińska kultura czasów wojny zadziałała podobnie do armii przeszkolonej przez zachodnich instruktorów. I tak jak ona – potrafiła dać odpór rosyjskiej agresji.

Kreml, upojony dezinformacyjnymi sukcesami z 2014 r., nie wzmacniał swoich zdolności propagandowych, zakładając chyba, że sama siła oręża wpłynie na umysły, przynajmniej rosyjskojęzycznych mieszkańców Ukrainy. I tutaj Rosjanie ponieśli klęskę – chyba najdotkliwszą ze wszystkich.

W przeciwieństwie do scentralizowanego i działającego na rozkaz mechanizmu rosyjskiej propagandy, ukraińska koalicja ruszyła do boju. Każdy z jej członków – artyści, pisarze, blogerzy, samorządowcy, urzędnicy – czuł się jak „kropla w oceanie" (przywołując zapomniany symbol Majdanu 2013/14). Ukraińcy potrafili tworzyć własne symbole i dezaktywować przekaz wroga. W obliczu pełnowymiarowej już inwazji ↦

ALEXANDER ERMOCHENKO / REUTERS / FORUM

*Zniszczony budynek teatru w Mariupolu, 3 kwietnia 2022 r.*

umieli zareagować zarówno patetycznie, jak i humorystycznie. Inteligentnie, jak i masowo. Dzięki różnorodności, demokratyczności i rozproszeniu stworzyli sprawną maszynę informacyjną, która potrafi podnosić morale ludności cywilnej i wojska oraz przekazywać ważne przesłanie do świata zewnętrznego.

### Bycie niezależnym to najlepsza propaganda

Najbardziej rozpowszechniony symbol to buńczuczne, słynne już na całym świecie wiralowe hasło o rosyjskim okręcie (*idi nachuj*). Pisarz Andrij Bondar w wywiadzie dla BBC uznał, że siła jego popularności wynika z pełnionej przezeń funkcji „zaklęcia, słownej formuły, w której ukryto główne pragnienie ukraińskiego narodu".

Ten „mem", jak i nagrania z frontu czy anegdotki o ukraińskim wojsku tworzą obraz bohaterskich, ale przy tym wesołych i wolnych Kozaków. Kluczowe zadanie pełni tutaj prezydent Zełenski, znakomicie odgrywający rolę dzielnego i przebojowego, choć zwykłego chłopaka. Ukraiński lider ma też świetnie napisane przemówienia – od tużprzedwojennej monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa (odbyła się na początku lutego) aż do dziś.

Wspomniany przekaz płynący z frontu oraz z gabinetów politycznych jest kontrolowany i umiejętnie kreowany przez ośrodki państwowe. Jednak to mrówcza praca innych sektorów ukraińskiej kultury i społeczeństwa dodaje mu wiarygodności, mocy i ludzkiej twarzy. „Bycie niezależnym to najlepsza propaganda" – powiedziała mi, w dalekim 2018 r., Wiktoria Sydorenko z ukraińskiej telewizji publicznej. Wprawdzie niedofinansowanej, ale wolnej od wpływu polityków, a dziś na zmianę z prywatnymi kanałami realizującej telemaraton informujący o wojnie.

Ukraińscy literaci – w przerwach od humanitarnego wolontariatu – piszą wiersze i felietony, tłumacze przekładają je na wszystkie języki świata, artyści tworzą plakaty i graficzne symbole oporu, muzycy dają koncerty w schronach i szpitalach. Po odkryciu rosyjskiej zbrodni w Buczy odezwy, przemówienia i artykuły formułowali znani pisarze i działacze społeczni, a na ceremonii wręczenia nagród Grammy 2022 obok prezydenta Zełenskiego wystąpiła poetka Lubow Jakymczuk oraz muzyczki Siuzanna Iglidan i Mika Niuton.

Z inicjatywami poruszających performensów potrafili wyjść zarówno samorządowcy (wystawienie na lwowskim rynku 109 pustych dziecięcych wózków symbolizujących aktualną w tamtym momencie liczbę ofiar wśród najmłodszych), jak i niezależni artyści czy organizacje pozarządowe (chociażby *flash mob* z kilkoma tysiącami osób leżącymi na warszawskim placu Defilad w czasie wizyty Bidena).

To wszystko dzieje się, gdy po drugiej, rosyjskiej stronie frontu zaległa cisza. No, co najwyżej faszystowskie w swej istocie pohukiwania z moskiewskiego stadionu.

### Ostatni z przełomów

Skutki działania zdecentralizowanej i rozproszonej struktury ukraińskiej kultury dostrzega i wspiera świat. O ile zachodni politycy zdecydowali o wojskowym wsparciu Ukrainy, o tyle narody świata stanęły po stronie Ukraińców, gdy usłyszano ich autentyczny i niezależny głos.

Ostatecznie zmienia się także naddnieprzańskie społeczeństwo. Historyczne przełomy najnowszej historii wywoływały psychologiczny wstrząs u kolejnych grup Ukraińców, którzy przestawali wierzyć w „słowiańskie braterstwo" z Rosją. Ci, którzy nie zrobili tego w obliczu Czarnobyla, referendum niepodległościowego z 1991 r., Pomarańczowej Rewolucji (2004-05), Majdanu (2013-14), aneksji Krymu czy wojny w Donbasie, czynią to teraz w obliczu wojny '22 roku – i ukraińskiej kulturowej odpowiedzi na nią. Od imperium odcinają się ostatni, którzy mieli dotąd jeszcze nadzieję na jakąś rosyjsko-ukraińską wspólnotę kulturalną.

Jak prezydent Zełenski. „W ciągu tego miesiąca dokonał się globalny, historyczny, kulturowy rozłam" – stwierdził on ostatnio. Inni podobne deklaracje składali w roku 1986, 1991, 2004 czy 2014. Ostatni wypowiadają je dziś.

Słowa te padły z ust osoby, która w swoim „poprzednim życiu" funkcjonowała na połączonym (przed rokiem 2014) rosyjsko-ukraińskim rynku show-biznesu. Ukraiński prezydent w wywiadzie dla rosyjskich mediów, z którego pochodzi powyższy cytat, powiedział wyraźnie, że jeszcze niedawno miał nadzieję na pokojowy powrót do relacji, w tym społecznych, sprzed 2014 r. Dziś, odcinając się ostatecznie od Rosji, wyraża opinię rosyjskojęzycznej inteligencji Ukrainy, która obecnie, tak jak on, walczy o swoją ojczyznę.

### Nowe otwarcie

Okrutnej wojny roku 2022 nie można oceniać inaczej niż jako katastrofę, która spotkała Ukrainę. Z mapy kraju faktycznie znikają kolejne miejsca – jak Wołnowacha czy dzielnice Mariupola, które nie nadają się do zamieszkania. Niemal tak jak czarnobylska „zona".

Wygląda na to, że obecna wojna zamyka pewną epokę w rozwoju ukraińskiej kultury, której symboliczny początek datowano na wspomniany rok 1986. Ukraińska kultura uwalnia się od kompleksu niższości i kończy kluczowe dla niej historyczne dyskusje dotyczące relacji z rosyjskim sąsiadem (choć jakże wiele innych debat jeszcze przed nią!). A wyzwolenie od związków z narodem rosyjskim, trzymającym niegdyś Ukrainę w „silnych bratnich objęciach", dokonuje się przez stworzenie konstruktu diametralnie odmiennego od wzorca współczesnej Rosji – imperialnego, scentralizowanego i autokratycznego.

Demokratyczność, decentralizacja i niezależność – to mieszanka wybuchowa, która tworzy nowoczesną, prawdziwie wolną ukraińską kulturę.

© MACIEJ PIOTROWSKI

TOMASZ

# Stawiszyński: *Odmowa uznania*

Z RWĄCEGO NURTU INFORMACYJNEJ RZEKI, która dzień w dzień wylewa się ze smartfonów, laptopów, odbiorników radiowych i telewizorów, można oczywiście wystąpić, ale nie jest to wcale proste. Nie od dzisiaj wiadomo, że lśniące elektroniczne ekrany, a dokładniej: mknące przez nie treści, oddziałują na ludzki organizm z siłą porównywalną do najbardziej uzależniających substancji. Poczucie specyficznego pobudzenia, jakie wyzwala się podczas obcowania z kolejnymi doniesieniami, działa w sensie dosłownym jak narkotyk. Nieprzypadkowo język współczesnej psychologii popularnej zdążył się w ostatniej dekadzie wzbogacić o takie pojęcia jak np. FOMO, czyli *fear of missing out* – lęk przed tym, że nas ominie coś ważnego, ba, fundamentalnego, jeśli tylko odłączymy się choć na chwilę od tętniących źródeł wiadomości. Ten permanentny, tak charakterystyczny dla współczesności „stres informacyjny" ma oczywiście rozmaite konsekwencje. Najczęściej opisywane i przeanalizowane już na wiele sposobów to zobojętnienie i znudzenie. Czyli habituacja – zjawisko znane doskonale z biologii: po osiągnięciu określonej liczby powtórzeń danego bodźca reakcja nań zaczyna zanikać, aż do zera.

Czy przez ten właśnie pryzmat da się spojrzeć na zyskujący obecnie coraz większe zasięgi negacjonizm? Fenomen niegdyś marginalny, dziś natomiast funkcjonujący w przestrzeni medialnej nieomal na prawach jednego z licznie reprezentowanych światopoglądów. Najkrócej rzecz ujmując, negacjonizm to – jak sama nazwa wskazuje – negowanie zjawisk, co do których istnienia panuje konsensus, nie tylko naukowy. Do szerokiej i wielopokoleniowej rodziny negacjonistów należą m.in. zwolennicy poglądu, że Ziemia jest płaska; ludzie przekonani, że nie było Holokaustu; aktywiści i sympatycy ruchów antyszczepionkowych; entuzjaści hipotez o nieistnieniu pandemii oraz koronawirusa; ostatnio zaś ci – a wśród nich są przecież także politycy zasiadający w parlamencie RP – którzy z ogromną pewnością siebie twierdzą, że rosyjskie zbrodnie w Ukrainie, łącznie ze zniszczeniem Mariupola i morderstwami w Buczy, są jedną wielką (ukraińską) inscenizacją.

Czy zatem faktycznie odmowa uznania tego, co rzeczywiste, ma źródła w ogólnym przebodźcowaniu? Zmęczeniu natłokiem coraz straszniejszych doniesień, których od pewnego momentu – na mocy ewolucyjnie wytworzonych praw rządzących naszymi organizmami – po prostu nie jesteśmy już w stanie zasymilować?

Cóż, być może to jedna z przyczyn, ale dalece niejedyna. Jest bowiem jeszcze coś więcej w tym geście negacji realnego, w tym „nie" rzucanym wiedzy pochodzącej z autoryzowanych źródeł, z instytucji wypracowanych i podtrzymywanych właśnie po to, żeby dbały o adekwatność naszego obrazu świata. Więcej aniżeli tylko znudzenie, zmęczenie i niezdolność do przyswojenia kolejnej porcji niezbyt optymistycznie nastrajającej prawdy.

Cóż to takiego? Powiedziałbym, że... osobliwe poczucie władzy. A dokładniej, jej szczególnej odmiany, trudnej na pierwszy rzut oka do dostrzeżenia z zewnątrz, na swój sposób jednocześnie subtelnej i brutalnej, wyrafinowanej, a zarazem głuchej na wszelkie niuanse i zróżnicowania. W świecie szczelnie oplecionym informacyjnymi sieciami, sfilmowanym, sfotografowanym, opisanym i przeanalizowanym na setki tysięcy sposobów, jednostkowe poczucie sprawstwa siłą rzeczy musi być raczej skromne. Wpływ wielkich podmiotów gospodarczych i politycznych, zwłaszcza w czasie globalnych kryzysów, staje się jaskrawo widoczny. Na tym tle zaś jeszcze intensywniej widoczna staje się nasza – pojedynczych ludzi – zależność od machinacji tych wielkich graczy.

Okazuje się jednak, że – niczym kopista Bartleby – nawet wobec tej przytłaczającej nierównowagi sił mamy do dyspozycji narzędzie, które w każdym razie daje złudne poczucie autonomii, sprawstwa, a może i osobliwej przyjemności. Tym narzędziem jest... „nie". Nie wierzę, nie uznaję, odmawiam akceptacji dla wszystkiego, co przychodzi z zewnątrz. I co składa się na obraz świata, w którym jestem tylko cząsteczką nieprzewidywalnej całości, poruszanej przez siły pozostające całkowicie poza moim zasięgiem.

Cóż, psychologicznie jest to mechanizm zrozumiały, jego przewrotność tkwi jednak w fakcie, że – paradoksalnie – właśnie odmawiając uznania rzeczywistości, stajemy się nieskończenie podatni na manipulację. Kto bowiem odmawia uznania rzeczywistości, ten łatwo uzna za rzeczywistość wszystko, co nią nie jest. I wtedy naprawdę może się stać narzędziem w rękach jakichś potężnych i mrocznych sił.

Z czego najwyraźniej nie zdają sobie sprawy nie tylko liczni konsumenci rosyjskiej propagandy, ale i niektórzy polscy politycy, bezrefleksyjnie (miejmy nadzieję) powielający jej negacjonistyczne fantazmaty. ©

OGŁOSZENIE

**Przed Sądem Rejonowym w Chełmie** I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 770/21 toczy się postępowanie z wniosku Joanny Gregier z udziałem Haliny Mazurek o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości gruntowej stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 793, o powierzchni 0,62 ha, położonej w miejscowości Chojeniec, województwo lubelskie, powiat chełmski, gmina Siedliszcze, dla której nie została założona księga wieczysta.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

NAUKA

# KRĄGŁOŚCI BONOBO

Kanzi nie dzieli słów na kolczaste i smukłe. Ten fakt coś mówi o małpach, ale przede wszystkim może pozwolić lepiej zrozumieć sposób, w jaki ludzie używają języka.

KATARZYNA DZIADOWICZ

Maluma to coś o opływowym kształcie, może wręcz coś kulistego. „Takete" ma wyszczerbione lub ostre krawędzie; gdyby przyjęło fizyczną formę, łatwo byłoby się tym skaleczyć. To samo można powiedzieć o parze „buba" i „kiki".

Tak wskazali Wolfgangowi Köhlerowi ludzie, kiedy w 1929 r. zapytał, co kryje się za tymi obco brzmiącymi wyrazami. Język, którym się posługiwali, nie był aż tak istotny – eksperymenty psychologów regularnie pokazują, że pewne zbitki literowe sugerują nam konkretne znaczenia. Do tych definicji nieistniejących słów przychylają się reprezentanci użytkowników co najmniej 25 języków, w 10 różnych systemach pisma.

Znaczenie słów jest wynikiem przyjętej konwencji, nawet jeśli uzasadnionej z etymologicznego punktu widzenia, to zwykle niewiążącej formy słowa z jego znaczeniem. Jednak gdy informujemy, że coś trzaska, zgrzyta lub chrzęści, to słowa odsyłają do onomatopei, które zawierają w sobie instrukcję sformułowania konkretnych dźwięków. Tymczasem zjawisko symbolizmu fonetycznego wskazane przez Köhlera sugeruje coś mniej zrozumiałego – brzmienie słów przekładamy na bodźce z innych zmysłów. Co takiego jest w słowie „bobo", że jego odniesienie do szpikulca zbiłoby nas z pantałyku?

Vilayanur Ramachandran i Edward Hubbard zasugerowali, że wypowiadanie wyrazów postrzeganych jako „ostre" może się wiązać z układaniem języka w szpic i gwałtowną artykulacją głosek. Bardziej krągłe miałyby być ruchy w przypadku słów z drugiego końca spektrum „miękkości". Po latach od postawienia tej hipotezy przeprowadzono obserwacje aparatu mowy za pomocą czujników umieszczonych w jamie ustnej i stało się jasne, że te założenia były zbyt pochopne.

Wypowiadanie gładkiego „maluma" i szpiczastego „takete" nie wiąże się z jakościową różnicą w ułożeniu języka lub ust, które można by uznać za mniej lub bardziej zaokrąglone. Nawet gdyby jednak zachodziło jakieś podobieństwo, wciąż byłoby symboliczne – bo nie sposób przyrównać „ostrości" ułożenia języka do kanciastości kształtów narysowanych na kartce. Pomimo tego badacze już wtedy zasugerowali, że dochodzi w tym przypadku do jakiegoś skojarzenia pomiędzy motoryką, wzrokiem i słuchem.

### Brzmienie kształtu

Kiedy kot robi „miau", to jesteśmy pewni, że miauczy. Problem polega na tym, że obrazki nie wydają żadnych dźwięków, więc nie mogą bezpośrednio korespondować z falą akustyczną, która wydobywa się z naszych ust albo dociera do naszych uszu. Trudno więc w rozmyślny sposób przypasować do nich jakieś słowo. Ale wyobraźmy sobie, ze szczegółami, że wypisującym się długopisem rysujemy kółko na szorstkim papierze albo że energicznie kreślimy kredą na tablicy szlaczek. Przez te kilka chwil wymienione kształty można usłyszeć – na takiej obserwacji oparli się Konstantina Margiotoudi i Friedemann Pulvermüller.

Za każdym razem, kiedy wykonujemy jakąś czynność, docierają do nas informacje o tym, jakie skutki wywołują nasze ruchy. Rysując długopisem na kartce, będziemy łączyć ruch naszych dłoni z widokiem powstającego wzoru i z wywoływanym tym szmerem. W na-

LAURENTIU GAROFEANU / BARCOFT MEDIA / GETTY IMAGES

*Kanzi potrafi komunikować się przy pomocy obrazkowych symboli, rozumie także setki angielskich słów.*

szym mózgu ruch, dźwięk i obraz opisują tę samą czynność i tworzą reprezentację sensomotoryczną. Zdaniem badaczy to ona może być odpowiedzialna za skojarzenie miękko brzmiącego „buba" z zaokrąglonymi kształtami i ostrego „kiki" z dźwiękiem bardziej dynamicznym. Zgadza się to z charakterystyką tych dźwięków. Wykresy fal akustycznych wywoływane kreśleniem kanciastych kształtów, jak i wypowiadaniem „ostrych" zbitek sylabowych zawierają nagłe spadki i krótkie przerwy. Zarówno gładkie figury, jak i „okrągłe" niby-słowa brzmią za to łagodniej, siła dźwięku zmienia się płynnie.

Co więcej, im spójniej badani przypisywali niby-słowa o stosownej charakterystyce do odpowiednich ilustracji, tym lepiej radzili sobie z rozróżnianiem, który dźwięk towarzyszył powstaniu danego kształtu. Na tej podstawie badacze wnioskują, że zdolność do kojarzenia nieznaczących słów z abstrakcyjnymi wzorami jest silnie związana ze znajomością dźwięków, jakie wywołuje dany ruch ręką lub inny proces oddawania tego kształtu w formie graficznej. Wodzenie palcami po okrągłym kształcie za każdym razem łączy się z jednostajnym ruchem, gwałtowny ruch wywołuje gwałtowny dźwięk – po pewnym czasie rozłączność tych bodźców zaczyna nas dziwić.

W przyrodzie, w wyniku stałego obowiązywania tych samych zasad fizyki, stałość wielu takich zależności jest regułą. Np. małe przedmioty i zwierzęta zwykle wydają wysokie tony, a te większe – niższe, bo rezonują w niższych częstotliwościach. Może to dlatego nasze oceny wielkości źródła dźwięku pozostają stronnicze, nawet jeśli oba tony wydaje ten sam głośnik. Gdybyśmy mieli je opisać słowami „mil" i „mal", to który byłby mniejszy? Podpowiedzią niech będzie to, że jedno z tych niby-słów zawiera samogłoskę wysoką, której wymawianie wiąże się z wyższym położeniem języka – a takie mają wyższą podstawową częstotliwość. Od niemal stu lat za normę traktuje się odpowiedzi badanych przez Edwarda Sapira, którzy „mil" uznali za coś drobnego, a „mal" – większego.

Na co dzień możemy nie dostrzegać intuicyjnych rozwiązań w użyciu języka, ale systematyczna obserwacja decyzji językowych pozwala uznać je za stale obecne. Niektóre z nich są bezpośrednie, zrozumiałe same przez się. Za to przypadki symbolizmu pośredniego (które oddają znaczenie nawet bezdźwięcznych zjawisk) trudno dostrzec i jeszcze trudniej jednoznacznie wskazać na ich ↦

↦ pochodzenie – być może właśnie dlatego, że wiele zjawisk, które mogły dać im początek, zwykle współwystępuje.

I tak nie jest wykluczone, że wycofanie języka przy wymawianiu niektórych głosek, jak sugerował już Sapir, faktycznie imituje dużą przestrzeń i przez to wskazuje na znaczny rozmiar, podczas gdy głoski wymagające zbliżenia języka do podniebienia – i zamknięcia przestrzeni jamy ustnej – przywołują skojarzenia z czymś mniejszym. Jednak również hipoteza o współwystępowaniu wielkości z określoną charakterystyką fal dźwiękowych znajduje poparcie w naszym doświadczeniu. Być może oba te wyjaśnienia wcale się nie wykluczają – tak jak w przypadku kształtu opisywanego jako „kiki", którego tworzeniu towarzyszą dźwięki o dynamicznej charakterystyce, ale jednocześnie sam jego kształt jest niezłą ilustracją przebiegu tych fal dźwiękowych.

DOMENA PUBLICZNA

*Większość ludzi kojarzy nieistniejące słowo „buba" z obrazkiem o zaokrąglonych kształtach, a „kiki" – z tym o ostrych.*

### Protoplaści zaimków

Chociaż symboliczne odniesienia językowe przez długi czas były traktowane jako marginalne przypadki, to istnieją też teorie, które symbolizm fonetyczny umieszczają w centralnym miejscu. Już Köhler sugerował, że komunikacja, z której wykształciły się rozmaite języki foniczne, jakie znamy dzisiaj, mogła opierać się na naśladownictwie. Przykład onomatopei wydaje się pokazywać, że byłby to bardzo wydajny system, w którym przyswajanie nowych znaków byłoby intuicyjne. Takie zasymulowanie jakiegoś aspektu zjawiska mogło stworzyć naszym przodkom pierwsze okazje, by zdać sobie sprawę, że przez wydawanie jakichś dźwięków w ogóle da się do czegoś odnieść, coś zakomunikować. Dopiero na późniejszym etapie rozwoju języka jego konkretność staje się ograniczeniem – wtedy wybawieniem stała się arbitralność, która pozwala na oderwanie formy od znaczenia i tworzenie nieskończonej ilości konceptów, z których każdy może zostać w miarę dokładnie określony.

Pewne uwarunkowania biologiczne mogły sprawić, że u naszych przodków z łatwością dochodziło do integracji danych z odmiennych zmysłów. To z kolei mogło doprowadzić do poszukiwania odniesienia w ekspresji nie tylko dla dźwięków, lecz choćby czynności. Na podstawie badań zespołu Markusa Koppensteinera można wnioskować, że takie konotacje mogły umożliwić określenie sposobu poruszania, bo i do tego jedne słowa pasują bardziej niż inne. Kiedy mamy wybrać pomiędzy „malumą" czy „takete", to oczywiście to pierwsze zmienia pozycję powoli, płynnie i dostojnie, panując nad kończynami, podczas gdy drugie wykonuje raczej gwałtowne, zamaszyste ruchy.

Wedle teorii Mutsumi Imai i Sotary Kity dostrzeganie związku pomiędzy wyrazem a przedmiotem lub czynnością, do której się odnosi, może stanowić podstawę mechanizmu ułatwiającego dzieciom właściwe przypisanie słowa do obiektu i poprawne odniesienia do innych egzemplarzy tej samej kategorii. Tym samym ułatwia nabywanie nowych słów.

Częściowo potwierdzają to badania zespołu Kateriny Kantartzis, w których angielskojęzyczne trzylatki miały nauczyć się nowego czasownika opisującego sposób chodzenia. Słowo zostało utworzone przez drobną modyfikację japońskich słów uznawanych za symboliczne, np. oddających jakiś dźwięk. Wszystkie dzieci oglądały filmiki, w których aktor przechadzał się w określony sposób. Różnica polegała na tym, że niektóre dzieci słyszały niby-słowa uznawane za pasujące do prezentowanego ruchu, inne słyszały niby-słowa niepasujące, a pozostałe słyszały fikcyjne słowo nieoddające cech żadnej z modalności, czyli niesymboliczne. Wyniki pozwoliły stwierdzić, że dzieci, które miały nauczyć się słowa symbolicznego spójnego z obserwowanym ruchem, nauczyły się poprawnie je stosować w innych sytuacjach, kiedy inna osoba, w innych okolicznościach poruszała się w ten sam sposób. Kolejne wyniki sugerują natomiast, że już 14-miesięcznym dzieciom nabywającym zdolności mówienia po japońsku łatwiej nauczyć się słów korespondujących formą z obrazkiem niż takich, które uznalibyśmy za niespójne. Takie wyniki mogą, choć nie muszą, oznaczać, że te same mechanizmy pomogły naszym przodkom odkrywającym uroki komunikacji.

### Milczący głos wewnętrzny

Niedawno okazało się, że Kanzi nie podziela naszych intuicji. Ten 40-letni przedstawiciel bonobo od małego miał styczność z językiem. Przyswoił niemal 400 leksygramów, czyli obrazków symbolizujących słowa w języku angielskim, za pomocą których komunikuje się ze swoimi opiekunami. Potrafi poprosić o jedzenie, wyrazić chęć zabawy, a nawet odpowiadać za ich pomocą na proste pytania. Podczas procedury eksperymentalnej opisanej w „Proceedings of the Royal Society B" udowodnił, że nieźle radzi sobie ze wskazywaniem na ekranie zdjęć przedmiotów, których nazwy usłyszał (badacze mówili do niego po angielsku).

To w trakcie wykonywania takiego zadania przeczytano Kanziemu niby-słowa z grupy tych „miękkich" (np. „dodo", „gogo", „nunu") oraz tych „twardych" (np. „zizi", „fefe", „kiki"). Jako że dotychczas otrzymywał nagrodę za poprawne wskazanie banana, kiedy usłyszał z głośnika nazwę tego owocu, to powinien rozumieć, że jego zadaniem jest wskazanie tego obrazka, który najlepiej oddaje znaczenie słyszanych dźwięków. Musiał wybrać spośród dwóch ilustracji pojawiających się na monitorze. Należały one do różnych kategorii „miękkości" – figur obłych albo ostrych. W odróżnieniu od znanych mu słów, w przypadku niby-słów Kanzi był dość niezdecydowany – dźwięki, które uznalibyśmy za okrągłe, raz uznawał za pasujące do figur o ostrych kątach, raz do tych o gładkich konturach. Te obserwacje przeprowadzone przez Konstantinę Margiotoudi z zespołem sugerują, że Kanzi nie dostrzegał związku pomiędzy formą niby-słów a kształtem przedstawianych mu rysunków. Reagował na nie szybciej niż na pozostałe ilu-

stracje, więc dostrzegał różnicę, ale wybierał odpowiedzi losowo.

Wcześniej testowano zdolność symbolicznego dopasowywania dźwięków u szympansów i goryli, ale były to osobniki, których nie uczono żadnego ludzkiego języka. Mogłoby się wydawać, że w opisanym zadaniu Kanzi będzie miał nad nimi przewagę, bo obserwował już różne związki formy słów z treścią. Nie miał co prawda styczności z wyrazami dźwiękonaśladowczymi ani słowami odnoszącymi się do wrażeń zmysłowych, ale jak wskazywał David Sidhu ze współpracownikami, sam język angielski nie jest pozbawiony symbolicznych zależności, np. nazwy okrągłych przedmiotów częściej zawierają łagodnie brzmiące fonemy (np. /u/, /b/, /m/), a ostre – szorstko brzmiące (np. /k/, /t/, /i/). Sama ekspozycja na język jednak nie wystarczyła, by Kanzi słyszał słowa w sposób analogiczny do naszego.

Wydaje się, że nieczułość Kanziego na te intuicyjne dla nas podobieństwa może świadczyć na korzyść teorii postulowanej przez zespół Konstantiny Margiotoudi. Integracja sygnałów motorycznych z informacjami pochodzącymi ze zmysłów jest możliwa dzięki rozbudowanym sieciom połączeń pomiędzy przetwarzającymi te dane obszarami mózgu. Tymczasem autorzy eksperymentu z udziałem Kanziego przytaczają doniesienia, które sugerują, że w mózgach naczelnych (innych niż ludzie) nie występują takie połączenia umożliwiające integrację sensomotoryczną. Kanzi może nie mieć skłonności do narzucania słowom znaczenia na podstawie brzmienia, bo informacje dotyczące wykonywanych ruchów nie przenikają się u niego z informacjami z innych modalności zmysłowych tak sprawnie jak u ludzi. Łamana linia nie przywołuje ruchu dłoni lub przedmiotu kreślącego jej formę ani dźwięków, jakie temu towarzyszą. To linia – nie „kiki" ani „buba".

Warto byłoby natomiast sprawdzić, czy Kanzi, tak jak dzieci, byłby w stanie nauczyć się takich zależności oraz czy uczyłby się ich łatwiej w warunkach (wedle naszych intuicji) spójnych. Być może to pozwoliłoby lepiej zrozumieć naturę jego ograniczeń lub dostarczyć nowych argumentów dla teorii powstania języka, którym się posługujemy. © KATARZYNA DZIADOWICZ

# Śmierć na żywo

PIOTR SZYMANEK

**Zespół neurologów przypadkowo zarejestrował pracę mózgu umierającego człowieka. Wyniki sugerują, że ostatnie chwile pacjenta mogły być wypełnione złożonymi przeżyciami.**

87-letni mężczyzna zostaje przyjęty na ostry dyżur po tym, jak upadł i stracił przytomność. Lekarze stwierdzają śpiączkę, a dzięki rezonansowi magnetycznemu mózgu lokalizują podtwardówkowe krwiaki, które następnie usuwają chirurgicznie. Jednak stan pacjenta pogarsza się raptownie i wkrótce umiera on z powodu zatrzymania akcji serca. Dzieje się to, gdy mężczyzna wciąż podłączony jest do elektroencefalografu (EEG), nieprzerwanie mierzącego aktywność jego mózgu. W taki oto sposób międzynarodowy zespół neurologów kierowany przez Raula Vicente z Uniwersytetu w Tartu dostał w swoje ręce najbardziej drobiazgowy jak dotąd zapis aktywności mózgu z pogranicza życia i śmierci.

Z wyników zaprezentowanych niedawno w czasopiśmie „Frontiers in Aging Neuroscience" trudno wyciągać uniwersalne wnioski, ponieważ mówimy wyłącznie o obserwacji jednego pacjenta z uszkodzonym mózgiem. Ale i tak pokazały one co najmniej tyle, że jedno z popularnych założeń neurobiologów było błędne.

Chodzi o nieustającą aktywność mózgu, która towarzyszyła śmierci podłączonego do EEG pacjenta jeszcze przez kilka chwil od momentu, gdy zatrzymało się jego serce. Wcześniej uważano, że wraz z ustaniem akcji serca aktywność neuronów robi się chaotyczna i stopniowo zanika. Tymczasem u badanego 87-latka, mimo braku pulsu, w niektórych obszarach mózgu przez jakiś czas wciąż generowane były nowe, skoordynowane fale.

O czym mogły one świadczyć? Czy umierający człowiek czegoś doświadczał? Autorzy raportu z badania są oczywiście ostrożni, zdając sobie sprawę z ograniczeń pojedynczej obserwacji. Niemniej, jak zaznaczają, zaobserwowana u umierającego aktywność mózgu wygląda podobnie do tej, którą rejestruje się, gdy dana osoba coś sobie przypomina.

Na bazie tej obserwacji spekulują oni, że zgodnie z popularnym przekonaniem i z relacjami osób, które przeżyły tzw. doświadczenia bliskie śmierci, tuż przed zgonem rzeczywiście może nam przelatywać przed oczami nasze życie. Trudno oczywiście powiedzieć, czy chodziłoby tutaj o odtworzenie kluczowych momentów zapisanych w naszej pamięci długotrwałej, czy też o spontaniczny powrót do jednego, mniej lub bardziej losowego wspomnienia. Potrzeba, rzecz jasna, więcej danych, by zacząć rozważać, na czym dokładnie polega ta przedśmiertna retrospekcja. Jednak nawet precyzyjne zbadanie aktywności mózgu w chwili śmierci nie da nam pewności co do tego, jak wygląda doświadczenie umierającego – jest to naturalne ograniczenie badań neurobiologicznych, które mówią coś o stanie materii, ale niekoniecznie o stanie umysłu.

Autorzy wspomnianej publikacji zaznaczają, że mówimy o mózgu dalekim od stanu „normalnego" – ze względu na obecność krwotoku i obrzęku. Poza tym 87-latek był pod wpływem wielu leków, które mogły mieć istotny wpływ na jego aktywność neuronalną. Jednak, co ciekawe, wyniki częściowo przypominają te uzyskane w badaniach neuroobrazowych nad umierającymi gryzoniami.

Być może dalsze badania porównawcze i symulacje komputerowe dostarczą nam więcej danych dotyczących tej zaskakująco złożonej aktywności mózgu w momencie śmierci. Kontrolowane eksperymenty z udziałem ludzi – złoty standard nauki – z oczywistych powodów nie wchodzą tu w grę. ©

# SKOŃCZONY PISARZ

**ARKADIJ BABCZENKO:**

Wielu z nas strzelało do wszystkiego, co się rusza, a sami byliśmy tylko mięsem armatnim. Pojęcie „rosyjska armia" oznacza hordę agresywnych, uzbrojonych w ciężką broń niewolników.

**MAŁGORZATA NOCUŃ: W pierwszej wojnie czeczeńskiej walczył Pan jako żołnierz poborowy, w drugiej już jako ochotnik. Gdy wtedy pytano Pana: „Dlaczego wróciłeś na front?", padała odpowiedź: „Nie wiem, nie pytajcie, nie umiem tego wytłumaczyć".**

**ARKADIJ BABCZENKO:** Dziś już łatwo mi odpowiedzieć. Bardzo silnie przeżywałem zespół stresu pourazowego. To zaburzenie psychiatryczne, występuje u osób, które doświadczyły głębokiej traumy. Choroba częsta u weteranów. Wróciłem z wojny do Moskwy. Nie mogłem pogodzić się z faktem, że istnieje zwyczajne życie. Nienawidziłem stolicy, mojego rodzinnego miasta, nienawidziłem ludzi w moim otoczeniu. Bo tam, w Groznym, zaledwie dwie godziny lotu z Moskwy, ludzie się nawzajem wyrzynają. Dzieci giną pod ruinami przedszkoli, bo nagle spadły na nie pociski. Przechodzisz obok i wiesz, że pod gruzami, na które patrzysz, pogrzebane jest ludzkie życie. Setki ludzi. A w Moskwie? Przepych: kasa, kasyna, mercedesy, imprezy. Zaciągnąłem się więc ponownie do Czeczenii i chyba miałem nadzieję, że już stamtąd nie wrócę.

**W „Dziesięciu kawałkach o wojnie" pisał Pan, że wojna to narkotyk.**

Myślałem tak owładnięty lękiem pourazowym. Obecnie nie jestem w stanie oglądać doniesień z frontu. Nienawidzę wojny całym sobą, kiedy patrzę na telewizyjne kadry, na których jest pożoga, zrównane z ziemią miasta i morze trupów, czuję fizyczny ból. Niestety, wraz z rosyjską agresją na Ukrainę wojna do mnie wróciła. Z całym swoim okrucieństwem.

**Pana książka to antywojenny manifest.**

Napisałem ją, mając zaledwie 24 lata. Szczeniak byłem. Co ja mogłem wiedzieć o świecie? O życiu? Wróciłem z frontu. Starałem się zrozumieć otaczającą mnie rzeczywistość. Uporządkować ją. Jakoś ją sobie wytłumaczyć. Od wydania „Dziesięciu kawałków" minęło dwadzieścia lat. W tym czasie Rosja napadła na Gruzję (sierpień 2008 r.), sześć lat później anektowała Krym i zaczęła wojnę w Zagłębiu Donieckim. W „Dziesięciu kawałkach" wiele pytań pozostawiłem bez odpowiedzi. Dziś już te odpowiedzi znam. Zrozumiałem całe okrucieństwo rosyjskiej polityki.

**To jedna z książek, które pokazują całe okrucieństwo wojny.**

Muszę pani przerwać. Ta książka straciła swój sens 24 lutego 2022 r. „Dziesięć kawałków" można oddać na makulaturę. Pisząc, kierowałem się misją. Postawiłem sobie cel: „udowodnię, że wojna w Czeczenii była przestępstwem". Ta książka miała obwieścić ten fakt nam – rosyjskim żołnierzom, a także rosyjskim obywatelom-laikom. Chciałem, by Rosja już nigdy więcej na nikogo nie napadła. Nie zabijała. Remarque wydał „Na Zachodzie bez zmian" w 1933 r. i zapewne także miał nadzieję, że opisuje ostatnią wojnę. Ale przyszedł rok 1939.

**A teraz?**

Rosja, o której i dla której pisałem „Dziesięć kawałków", już nie istnieje. Do kraju, w którym się urodziłem, przyszedł faszyzm. Żołnierzy, z którymi walczyłem w jednym pułku, z którymi jadłem z jednej miski i których uczyniłem ↦

WIKIPEDIA.ORG

**ARKADIJ BABCZENKO** jest pisarzem i dziennikarzem. Uczestnik pierwszej (1994-1996) i drugiej (1999-2009) wojny czeczeńskiej. Opublikował książkę „Dziesięć kawałków o wojnie. Rosjanin w Czeczenii" (Warszawa 2009). Był dziennikarzem „Nowoj Gaziety" (współpracował m.in. z Anną Politkowską). W Rosji został uznany za terrorystę, jest ścigany listem gończym. Mieszka na Ukrainie. Na zdjęciu: Cchinwali, Gruzja, sierpień 2008 r.

↦ bohaterami mojej opowieści, dziś nienawidzę. A byli mi bliscy – Andriucha, Wania – piszę o nich dobrze. Niestety, wielu z nich wzięło do ręki karabin i walczy dziś na Ukrainie.

Po wojnie starałem się wspierać weteranów. Organizowałem zbiórki na kupno wózków inwalidzkich. Redagowałem pismo im poświęcone. Tej działalności przyświecała jedna myśl: „nigdy więcej wojny". Niestety, moi koledzy-weterani wychowali swoje dzieci na przyszłych żołnierzy. W „duchu patriotycznym". Nic mi się nie udało. Jako pisarz jestem skończony. Jestem nikim. Moja literatura nie spełniła żadnej roli. Rosja, moi dawni przyjaciele w cywilu i przyjaciele-weterani należą do przeszłości. Nie chcę do tych wspomnień wracać.

**Porozmawiajmy jednak – na mnie Pana książka zrobiła ogromne wrażenie. W jednym z opowiadań wspomina Pan Szarika, udomowionego pieska. Przybłąkał się do Pańskiego pułku. „Ładna, mądra morda, puszysta sierść". Kiedy tylko zaczął się przymilać, ostrzegaliście go. Zrozumiał i odszedł. Ale wrócił. Zjedliście go.**

Miły piesek. Rzeczywiście ładny. Przyjemnie było go podrapać za uchem. Kończyły się nam zapasy żywności. Przeżylibyśmy może jeszcze dwa dni, a potem przyszedłby głód. Wahaliśmy się. Piesek leżał na naszych nogach, a my rozmawialiśmy, kto go zabije. Przecież lubi się zwierzaki, w domu się je trzyma. W końcu zastrzeliliśmy go, powiesiliśmy na drzewie i oprawiliśmy. Tak, było nam go żal. Wiem, że to okropne, ale wtedy poczułem, że my – rosyjscy żołnierze biorący udział w napastniczej wojnie – wciąż mamy w sobie jakiś ludzki pierwiastek.

**Wielu z was nie żałowało ludzi.**

Cóż w tym dziwnego? Hitler też nie żałował ludzi i lubił pieski. W rosyjskiej armii służyłem dwadzieścia lat temu. Zapamiętałem ją jako zupełnie zezwierzęconą. Ludzkie życie nie miało w niej żadnej wartości. Wielu z nas strzelało do wszystkiego, co się rusza, a sami byliśmy tylko mięsem armatnim. Pojęcie „rosyjska armia" oznacza hordę agresywnych, uzbrojonych w ciężką broń niewolników. Sądząc z doniesień z Buczy, Irpienia, Mariupola, dziś podobnie wygląda armia Putina. Zdjęcia rozstrzelanych ludzi z podkijowskich miasteczek to te same obrazy, które codziennie oglądałem w Groznym. Dlaczego świat jest zdziwiony?

**Władza nie musi zatajać liczby zabitych żołnierzy.** Aby zaczęły się antywojenne protesty, liczba trupów musiałaby sięgnąć setek tysięcy. I musiałby zapanować głód. Teraz rosyjskie społeczeństwo jest wciąż gotowe składać do trumien swoje dzieci.

W miejscowości, w której zjedliśmy psa, miał miejsce jeszcze jeden incydent. Przybłąkał się do nas młody Czeczen. Chciałem przypomnieć sobie jego twarz, ale nie mogę. Nasi go złapali, przywiązali do drzewa. Mówili, że jest szpiegiem, że za nami chodzi. Arkadij – były milicjant, uzależniony od narkotyków – wypytywał tego Czeczaka (bo tak nazywaliśmy mieszkańców republiki), gdzie można dostać narkotyki. Był na głodzie. Czeczen nie odpowiadał. Więc Arkadij postanowił go rozstrzelać. Ot tak. Nie pozwoliłem na to.

**W Groznym znalazł Pan sobie mieszkanie. Jego właściciele uciekli przed bombardowaniem, zostawili w drzwiach klucze. To był rodzaj zaproszenia: „Nie wyważaj drzwi, wejdź, skorzystaj".**

Tęskniłem za zwykłym życiem. Po rosyjsku mówi się „mamo, przyjmij mnie do swego łona". Te słowa znaczą o wiele więcej niż „zabierz mnie stąd", „chcę stąd uciec i być bezpieczny". Po jednym dniu spędzonym w Czeczenii pragnąłem wrócić do Moskwy. Zdezerterować. Być w domu. Nie chciałem umierać. Tęsknota za zwykłym życiem potęgowała się każdego dnia, ponieważ Grozny był praktycznie zrównany z ziemią. Zaledwie kilka bloków, domów i budynków użyteczności publicznej przetrwało bombardowania. I nagle znalazłem to mieszkanie... W Groznym – podobnie jak dziś na Ukrainie – ludzie mieli na ucieczkę zaledwie kilka minut. Zostawiali wszystko: ubrania, regały pełne książek, zdjęcia bliskich oprawione w ramki. My, żołnierze, wchodziliśmy do tych cudzych mieszkań z karabinami w rękach, w wojskowych buciorach. Pod stopami gruba pokrywa śniegu, wpadał przez wybite okna, tygodniami. Myślałem: „Co my tu, do cholery, robimy?".

**I co Pan tam robił?**

To „moje" mieszkanie było wyjątkowe, okna wciąż oszklone. Siadałem w fotelu, paliłem papierosy. Zamykałem oczy. Wyobrażałem sobie, że jestem w domu, wśród swoich. Podchodzi do mnie ukochana kobieta, coś szepcze. Tu udawało mi się myśleć, poczuć coś. Było przytulnie. Nikomu nie mówiłem o tej swojej kryjówce. Inne mieszkania wykorzystywaliśmy w celach utylitarnych: gdzieś trzeba zjeść, przespać się i zadbać o potrzeby fizjologiczne. Niektóre mieszkania służyły za toalety, były usłane fekaliami, zaszczane. Ciężko załatwić się na ulicy – tam, gdzie strzelają.

**Wojskowe buty były towarem. Wymienialiście je za jedzenie.**

W rosyjskiej armii nikt nigdy nie uważał żołnierzy za ludzi. Dowódcy mieli nas za bydło. Niewolników. Po co takich karmić? W XIX w. Aleksander Suworow mówił, że „po to baby rodzą mężczyzn, by służyli w wojsku", podobnie było podczas II wojny światowej i w czasie wojen czeczeńskich. Nie sadzę, by dziś wyglądało to inaczej. Rosyjska armia idzie przez Ukrainę i kradnie, co się tylko da: jedzenie, pralki, dywany, klimatyzatory. Wszyscy dziwią się, dlaczego zabijają psy? Myślę, że podobnie jak my po prostu są głodni i się nimi karmią.

Dzisiejsze oddziały – wnioskuję ze zdjęć – są chyba tylko lepiej od nas ubrane. My szliśmy na front goli. Kaukaska mroźna zima, a my umieraliśmy z zimna. Byłem szczęśliwy, kiedy w czyimś domu znalazłem ciepły sweter. Grube skarpety były towarem pierwszej potrzeby. Chłopak z mojego oddziału nie otrzymał onuc. Miał wyjątkowo delikatne stopy. Całe pokryły się krwawymi ranami, nie był w stanie chodzić. Pojęcie higieny osobistej w ogóle nie istniało. Pierwszy raz umyłem się po miesiącu pobytu na froncie. Wszy ściągaliśmy sobie z karku garściami. Śmialiśmy się, że są tak tłuste, że zupę można na nich ugotować. Cały oddział chorował na czerwonkę – krwawą biegunkę. Na nogach robiły nam się głębokie na kilka centymetrów gnijące rany. Zostawiły blizny na całe życie.

**Z Rosją nic mnie już nie wiąże.**
O fakcie, że formalnie pozostaję obywatelem tego państwa, przypomniałem sobie teraz. Rosyjski paszport uniemożliwia mi bowiem wjazd do Kijowa. Reprezentuję naród agresora.

***Diedowszczyna* – czyli coś więcej niż fala w polskiej armii – ma służyć wypracowaniu posłuszeństwa?**

Nie umiem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego człowiek, który otrzymał władzę nad drugim człowiekiem, demonstruje siłę. Znęca się. Gwałci. Zabija. To pytanie do psychiatry. Morderstwa były w Czeczenii na porządku dziennym. Podobnie bicie. Nocą poszedłem do toalety. A tam wszystko zalane krwią. „No i znów kogoś pobili" – myślałem sobie. Złamane nosy czy szczęki, kto by się tym przejmował?

**Mówi Pan o tym tak, jakby się Pan do tego przyzwyczaił.**

Przyzwyczaił? Jak mogliśmy się do czegoś takiego przyzwyczaić? Znosiliśmy to, bo nie mieliśmy innego wyjścia. Dowódcy nas katowali. Tłukli nawet i po dziesięć razy dziennie. Stałem sobie, obok przechodził facet, mówiliśmy na niego Timocha. I nagle – z całej siły – uderzył mnie łokciem w szczękę. W dziąśle zostały korzenie, połamane resztki zębów wyplułem na dłoń razem z krwią. Podszedłem do niego, zapytałem: „Dlaczego to zrobiłeś?". Zdziwił się, że zadaję takie pytania. Bolało mnie całe ciało. Wszystkie organy wewnętrzne: wątroba, żołądek, płuca. Armię wspominam jak obóz koncentracyjny. Czy można przyzwyczaić się do bycia w obozie koncentracyjnym? Prędzej można było popełnić samobójstwo.

**Albo zabijać swoich dowódców.**

Mnóstwo było takich przypadków, ale ja nie byłem w stanie. Na wojnie przekonałem się, że nie jestem mordercą. Tak, dowódcy to byli moi kaci. Jednak nie mogłem i nie umiałem w nich wycelować i nacisnąć spust.

**Pojawiają się informacje, że w Buczy byli młodzi rosyjscy żołnierze. Nie zdołali „wypełnić" zadania polegającego na pacyfikacji wioski. Wszedł więc batalion Kadyrowa.**

Wątpliwe. W XIX w. generał Jermołow zalał krwią Europę i Kaukaz. Nie potrzebował pomocy „batalionu Kadyrowa". W 1999 r. w Groznym także nie było „kadyrowców" ani słynnych iskanderów. I bez tego miasto wymordowano i zamieniono w gruzy. W pierwszym uderzeniu na Kijów brał udział desant i specnaz. Tam nie było niedoświadczonych osiemnastoletnich żołnierzyków.

**Skąd pewność?**

Kiedy trafiłem z poboru do Czeczenii, miałem osiemnaście lat. Mleko pod nosem, odbyłem tylko szybkie szkolenie – pokazali nam, jak się trzyma w rękach karabin i strzela. Nikogo tam nie rozstrzeliwałem. Żołnierze z poboru są o wiele mniej zbydlęceni niż kontraktowi, a kontraktowych jest więcej. Oni wypełniają wszystkie zadania, im powieka nie drgnie. W Buczy było kilka grup katów. Świat obiegła fotografia mężczyzny, którego śmiertelny strzał dosięgnął podczas jazdy na rowerze. Nie spodziewał się, że za chwilę umrze. Żołnierze strzelili do niego, ponieważ czują się bezkarni. Nie mają hamulców. Przecież toczy się wojna, a na wojnie się strzela. A kim jest dla nich facet na rowerze? Niech będzie, że szpieg. No to bach. Innych zamordowano, ponieważ stawiali opór podczas plądrowania mieszkań. Zapewne w Buczy byli i kadyrowcy. Oni lubią sobie postrzelać. Mówi się, że tej masakry dokonano na rozkaz Putina, mordowali jednak żołnierze. Inicjatywa poszła z dołu, bo taka jest i zawsze była rosyjska armia. Nie musi jej wspierać Kadyrow. Wśród katów było zapewne także FSB, oni posiadali listy proskrypcyjne. Przychodzili do konkretnych mieszkań i szukali konkretnych ludzi. Wykonywali wyrok. Zresztą i ja figuruję na liście osób do zlikwidowania.

**Znów pojawia się to słowo – „zaczystka". Używane było w każdej informacji z Czeczenii.**

Teraz „zaczystki" przeprowadza ukraińska armia. „Zaczystka" to termin wojskowy, oznacza wypieranie wrogiej armii. Ale w Czeczenii oznaczał coś zupełnie innego – operacje prowadzone przeciwko ludności cywilnej. Wchodzili do wsi, mówili: „A ten na pewno jest bojownikiem" i zabijali. Zresztą strzelali do wszystkich, którzy im się nie spodobali.

**W Pana książce jest taki fragment: „Teraz też na pasie startowym układają pięć srebrzystych worków w rzędzie, jeden za drugim. Ładne, błyszczące pakunki oślepiająco lśnią w słońcu, jak cukierki, są takie jasne, aż nie chce się wierzyć, że w te odświętne sreberka zawinięci są rozerwani na strzępy ludzie". Do Rosji znów trafia „ładunek 200".**

Trafiają. Nie chce mi się wierzyć w samochody-krematoria. Wydaje mi się, że to miejska legenda. Rosyjscy żołnierze odczuwają chyba wciąż coś w rodzaju braterstwa broni i szanują ciała poległych – mimo wszystko. Chowają ich w masowych grobach – znaleziono je na terenie Ukrainy. Podczas ciężkiej walki pozostawiają trupy na polu bitwy. Tak zawsze było. Nikt nie będzie szczególnie ryzykował, żeby zabezpieczyć ciało i posłać je matce, która chce pochować syna.

**Te trupy robią wrażenie na obywatelach Rosji?**

Władza nie musi zatajać liczby zabitych żołnierzy. Aby zaczęły się antywojenne protesty, liczba trupów musiałaby sięgnąć setek tysięcy. Musiałby także zapanować głód. On zawsze wypcha ludzi na ulicę. W tej chwili rosyjskie społeczeństwo jest wciąż gotowe składać do trumien swoje dzieci.

Podczas pierwszej wojny czeczeńskiej (1994-1996) liczba poległych rzeczywiście wpływała na opinię publiczną. Opowiadano się przeciwko wojnie. To był 1994 r., Związek Radziecki dopiero co się rozpadł. Ludzie chcieli cieszyć się wolnością. „Po co nam ta Czeczenia?" – pytali. Ale już druga interwencja (1999-2009) wzbudziła entuzjazm. W 1999 r. wrócił – obecny do dziś – szowinizm i imperializm. Hasło, którym w kontekście drugiej operacji w Czeczenii posłużył się Putin: „terrorystów dogonię nawet w kiblu", wzbudziło zachwyt. Podobny zachwyt obserwowałem w 2014 r., po aneksji Krymu. Miałem wrażenie, że cały naród zwariował. Ludzie, których uważałem za swoich przyjaciół i ceniłem, nagle poczęli wrzeszczeć: „Krym nasz!". I to zacietrze- ↦

↦ wienie! Ich twarze przypominały pyski kopulujących psów. „Krym nasz!" – powtarzał lubiący popijać dozorca i profesor renomowanej uczelni.

**W Rosji został Pan uznany za terrorystę. Ukraińska Służba Bezpieczeństwa udaremniła zamach na Pańskie życie. Rosja już nie jest Pana krajem?**

Jestem Rosjaninem, urodziłem się w Moskwie. To pewnie pozwala mi więcej zrozumieć. Umiem wytłumaczyć, skąd bierze się rosyjski imperializm. Kolejną książkę chcę poświęcić procesowi narodzin faszyzmu w mojej byłej ojczyźnie. Utożsamiam się jednak z Ukrainą, mieszkam tutaj i uważam się za ukraińskiego dziennikarza, piszę do tutejszych gazet. Ukraina to mój kraj. Tu zresztą są moje korzenie – dziadek był rdzennym Ukraińcem. Dziś jego dom znów znajduje się pod okupacją. Z Rosją nic mnie już nie wiąże. Pięć lat temu stamtąd wyjechałem. O fakcie, że formalnie pozostaję obywatelem tego państwa, przypomniałem sobie teraz. Rosyjski paszport uniemożliwia mi bowiem wjazd do Kijowa. Reprezentuję naród agresora.

**Agresja może się różnie skończyć, choć z każdym dniem wierzy się w zwycięstwo Ukrainy coraz mocniej.**

Jestem przekonany, że Ukraina zwycięży. Z Czeczenią Rosja walczyła piętnaście lat, a republikę tę zamieszkiwało zaledwie 1,2 mln ludzi. Tylu obywateli liczy aglomeracja Charkowa. Ukraina walczy już osiem lat – tak długo trwa wojna w Zagłębiu Donieckim. W 2013 r. na Majdanie odrodził się ukraiński naród. Jak Moskwa ma podbić kraj tak mocno chcący wolności i liczący 40 mln obywateli? Jest skazana na klęskę, ale zanim to nastąpi, niestety rosyjscy żołnierze „popiją jeszcze ukraińskiej krwi" – jak mówi się w ich żargonie.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

RADIO KRAKÓW

**Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".** Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM Nowy Sącz – 90,0 FM | Gorlice – 97,4 FM Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM Rabka Zdrój – 87,6 FM **www.radiokrakow.pl**

# Boska kontrkultura

KAROLINA FELBERG

**Świat Dantego trawiły te same konflikty, które rozpalają naszą codzienność. Istniała jednak ścieżka z piekła do raju.**

Zmarły 700 lat temu Dante Alighieri (1265-1321) uchodzi za jednego z największych Europejczyków w dziejach. Ale właściwie dlaczego? Włoski historyk i pisarz Alessandro Barbero, autor biografii Dantego, która właśnie ukazała się po polsku, skreślił obraz człowieka niespełnionego, uwikłanego w konflikty charakterystyczne dla naszej – zachodnioeuropejskiej – cywilizacji. Jarosław Mikołajewski, autor nowego przekładu „Divina Commedia", porównał epos do „reportażu". Obaj widzą w Dantem przede wszystkim obywatela i świadka – twórcę, którego znaczenie nie potrzebuje mitu, bronią go bowiem fakty.

Mikołajewski dokonał nawet korekty zapisu tytułu – „Boska Komedia" (drugi człon z wielkiej litery), by zbliżyć go do kształtu, jaki nadał mu Dante (określenie „boska" przylgnęło do książki w wiekach późniejszych). Szkoda zresztą, że tłumacz wstrzymał rękę i nie skreślił epitetu tak, by została sama „Komedia", jak w oryginale. Gdyby to uczynił, urzeczywistniłby swój zamiar, by w tłumaczeniu konsekwentnie przedkładać prawdę Dantejskich czasów nad (ponadczasowe) „piękno" oraz „tradycję". Wszak wielowiekowej sławy nie przyniosło Dantemu uwznioślanie ziemskiej rzeczywistości, ale jej gorzka krytyka.

Barbero skomponował swoją biografię z danych ze skrupulatnie przebadanych źródeł historycznych. Krąży wokół pochodzenia, statusu społecznego, majątku i aktywności publicznej Dantego. Trzynastowieczna Florencja była komuną ludową, co oznacza, że władzę w mieście sprawowała szeroka reprezentacja ludności pracującej. Około 1294 r. Dante Alighieri (właściwie „Durante, olim vocatus Dante", czyli „Durante, niegdyś zwany Dante" – „Dante" bowiem to ściągnięcie imienia) włączył się w miejską politykę, za co zapłacił niewspółmiernie wysoką cenę: poznał otaczającą go rzeczywistość jako piekło na ziemi. Zapisem tego odkrycia była poczyniona przezeń kilka lat później ekspozycja „Piekła": „W połowie wędrówki naszego życia / znalazłem się w ciemnej dziczy, / bo prosta droga była zgubiona. // Ach, jak ciężką rzeczą jest mówić, jaka była ta dzicz dzika i surowa, i mocna, / która w myślach odnawia strach!". W przekładzie Mikołajewskiego „nadwzroczność" Dantego traci walory poetyckie, idealistyczne i teologiczne na rzecz dojmująco realnej prozy życia.

### Awans z lichwy

Dante nie miał szlacheckich korzeni, ale pochodził z rodziny legitymującej się nazwiskiem. Był „najstarszym synem człowieka interesu". Zainwestował rodzinne pieniądze w posiadłość ziemską, dzięki czemu, żyjąc z renty, mógł „oddawać się zajęciom właściwym arystokratom" (cytaty z Barbero). Pieniądze, które zapewniły mu ten awans, pochodziły najpewniej ze spekulacji i pożyczek lichwiarskich. Jak to było możliwe w świecie kontrolowanym przez strażników prawa kanonicznego?

Agresywny obrót gotówką chętnie zaliczano wtedy w poczet działań „dla dobra ogółu". Cel uświęcał środki. Dość przypomnieć, że florenccy bankierzy zarządzali wówczas finansami papieża, „czyli najpotężniejszym wielonarodowym przedsiębiorstwem na świecie". „Zyski były zawrotne – pisze Barbero – bogacenie się nadzwyczaj szybkie, mobilność społeczna większa niż gdziekolwiek indziej, a jednak wśród florentczyków chciwość, zawiść i strach zamiast słabnąć, stawały się coraz gwałtowniejsze, zatruwając współżycie". Bity od 1252 r. ze złota floren szybko stał się twardą walutą w Europie.

Poeta, nieskrępowany koniecznością pracy zarobkowej, wyjechał w latach 80. na studia filozoficzne do Bolo-

TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS

*Kontenery na odpady szklane wykorzystane do przedstawienia scen z życia Dantego Alighieri i „Boskiej Komedii" w ramach projektu Urban Galleries of the Ideal City. Rzym, listopad 2021 r.*

nii, gdzie dobrze poznał pisma starożytników. Wróciwszy do domu, zgłębiał we florenckich szkołach zakonnych filozofię naturalną („naukę") i moralną („etykę"), które wespół stanowiły w tamtych czasach „nowy sposób rozmyślania nad ludzkim losem i nad sensem życia, szlak alternatywny wobec szlaku teologii". Zaczerpnięte od Arystotelesa rozróżnienie na substancję (naturę i prawdę rzeczy; realność ideału) i akcydensy (błędy, ekscesy, zmienne kalające substancję) pozostało jego „kluczem do ogólnej interpretacji świata fizycznego i moralnego". Wobec sobie współczesnych Dante stał się etykiem w pełni „nowoczesnym" – moralistą nierezygnującym z racji rozumu na rzecz wiary, nieuprzedzonym przy tym do idei nieweryfikowalnych.

„Czytelnik będzie mógł rozpoznać Dantego jako poetę kryzysu Kościoła i jednocześnie poetę chrześcijańskiego humanizmu przechodzącego dziejową próbę. Dante patrzy na upadek chrześcijaństwa w swej epoce z punktu widzenia jego najwyższych osiągnięć moralnych, intelektualnych i duchowych, to znaczy w optyce rozumu i wiary" – zapowiedział na łamach „Gazety Wyborczej" konsultant teologiczny i filozoficzny nowego przekładu, ks. prof. Alfred Wierzbicki. Czy jednak nie jest tak, że we wszystkich znanych nam poprzez źródła epokach pojawiali się genialni artyści/odkrywcy/wizjonerzy/myśliciele, którzy, dostrzegłszy identyczne procesy, swoją działalnością próbowali w nie, często w podobny sposób, ingerować? A jeżeli tak właśnie jest, to czy kryzysu instytucji religijnych, nieodmiennie pociągającego za sobą ich „upadek", nie należy uważać za stan permanentny lub, co gorsza, nieprzekraczalny?

Jeśli odpowiedzi na to pytanie szukać w „Boskiej Komedii", czytanej zresztą, i za tłumaczem, i za komentatorem, jako „Dantejskie »reportaże«", to pozostanie ona twierdząca. Rozkład i rozpad instytucji społeczno-politycznych ówczesnej Florencji był bowiem wprost proporcjonalny do jej rozkwitu cywilizacyjnego i pomnażania bogactw, które jednak w żaden sposób nie przekładały się na dobrostan mieszkańców miasta.

### Reportaż z piekła na ziemi

Włochy były wtenczas jedną z aren ciągnącego się od dziesięcioleci sporu między Państwem Papieskim a Świętym Cesarstwem Rzymskim. Stronnictwem wspierającym papieża w walce z cesarzem byli gwelfowie, natomiast cesarzowi sprzyjali gibelini. Ludowy rząd Florencji składał się wówczas z gwelfów. W połowie 1295 r., czyli niedługo po tym, jak trzydziestoletni Dante rozpoczął wreszcie karierę polityczną, w targanej wewnętrznymi konfliktami metropolii omal nie rozpętała się wojna domowa.

Poeta wyznawał umiarkowane poglądy polityczne, a przy tym reprezentował ustrój, którego zasadniczy cel stanowiła „obrona ludu przed przemocą wielkich", lecz jednocześnie jego żona i przyjaciele wywodzili się z rodów magnackich, między którymi, wskutek coraz gorzej postrzeganej polityki umiarkowanego rządu ludowego, rozpętała się właśnie bezpardonowa walka o wpływy. Dante, choć „zaliczał się do warstwy najbogatszych podatników", w gruncie rzeczy był nadal człowiekiem z ludu, co w czasach tak ogromnych napięć musiało skończyć się dlań tragicznie.

Gwelfowie z Florencji podzielili się na prowadzonych przez ród Cerchich i skorych do ugody z cesarzem Białych oraz fundamentalnie antycesarskich Czarnych, na czele których stanął ród Donatich. Konflikt dodarł do uszu papieża i mocno go zaniepokoił, jego bankierzy bowiem należeli do Czarnych, tymczasem większość w rządzie mieli Biali. Na papieskim tronie zasiadał wówczas ↦

Bonifacy VIII – człowiek niezwykle podstępny i zachłanny, przy tym bezwzględny polityk. Mocą bulli z 1302 r. uznał on, że poza Kościołem katolickim nie ma zbawienia ani odpuszczenia grzechów. Nadał też sobie prawo, by sądzić wszelką władzę ziemską, osąd nad władzą duchowną natomiast wyznaczył li tylko Bogu.

Wiosną 1300 r. Bonifacy VIII wysłał do Florencji swojego kardynała, „aby zaprowadził pokój". Wtedy też Dante został wybrany do rządu ludowego i piastował, w imieniu Białych, urząd priora, co z pewnością nie umknęło papieskiemu wysłannikowi. Watykańska „misja pokojowa" nie przyniosła żadnych rozstrzygnięć. Kardynał, wyjeżdżając, obłożył miasto klątwą. Odtąd jednak problemy florenckich gwelfów jeszcze silniej angażowały papieża, co tylko wzmogło je i skomplikowało.

W listopadzie 1301 r. „wezwany" przez papieża Karol Walezjusz (brat króla Francji) wkroczył z 1200 rycerzami do Florencji „w celu zaprowadzenia pokoju i zgody". Naturalnie wspólnymi wrogami Czarnych i Bonifacego VIII okazali się Biali – prawdziwym zaś celem było ostateczne wyeliminowanie ich z życia publicznego. Miasto ogarnęły zamieszki. Białych więziono pod wydumanymi zarzutami i niszczono ich mienie, a w początkach 1302 r. wielu z nich wygnano z Florencji – w tym oskarżonego o łapownictwo i malwersacje priora Dantego.

Dwie ostatnie dekady życia poeta spędził na wygnaniu. Nigdy nie przyznał się do zarzucanych mu czynów i nie skorzystał z ogłoszonej w 1315 r., a obwarowanej rozmaitymi warunkami amnestii. Banitów, którzy ją wówczas odrzucili, skazano zaocznie na ścięcie. Nawet Dantego, który wiele lat wcześniej, także zaocznie, otrzymał wyrok śmierci przez... spalenie na stosie. Barbero skomentował ten werdykt krótko: „przy tych zbiorowych wyrokach nie dbano zbytnio o szczegóły".

**Dante nigdy nie przyznał się do zarzucanych mu czynów i nie skorzystał z amnestii.** Zaocznie skazano go na ścięcie, choć już wcześniej otrzymał wyrok śmierci przez... spalenie na stosie. Jak pisze biograf: „przy tych zbiorowych wyrokach nie dbano zbytnio o szczegóły".

### Realność polityki

W powstałej na wygnaniu „Boskiej Komedii" poeta wszczął własny proces rehabilitacyjny, ale i postulował odkupienie życia na ziemi. Bonifacy VIII męczy się w piekle Dantego za symonię oraz kupczenie odpustami. Obraz ten jest czymś więcej niż tylko rewanżem za własne krzywdy. To opis stanu rzeczy i sąd (ostateczny) nad polityką, która, pozostając dla możnych cyniczną grą o władzę, zyski i wpływy, życie ludzi od nich zależnych nieodmiennie zamienia w piekło. I to pod pozorem „misji pokojowej" czy „stabilizacyjnej".

Z dojmującą realnością polityki zderzył się Dante na półmetku swojego życia, co nazwał „zgubieniem prostej drogi" przez tych, którzy powinni byli bezwzględnie jej pilnować. Mikołajewski we wstępie do przekładu wykłada rzecz bardzo jasno: „człowiek będzie cierpiał katusze piekielne osobiście, choć wina nie jest tylko jego: współodpowiedzialna za jego zagubienie jest niemoralna władza...", konkretnie zaś papież i cesarz.

Tłumacz twierdzi, że Dante nigdy nie nazywał swojej wędrówki po zaświatach snem, fantazją czy dziełem wyobraźni, natomiast w wielu miejscach napisał „znalazłem się", „byłem", „zobaczyłem", „usłyszałem", „poczułem". Mikołajewski uważa go więc za świadka, obserwatora, reportera i (zachowując strukturę tercyny oraz zaniedbując metrum) prowadzi czytelnika przez takie realności piekła, czyśćca i raju, jakich na własnej skórze doświadczył poeta z Florencji. Tłumacz postawił na prawdziwy kształt języka włoskiego z początków XIV w., czyli z czasów, kiedy oryginalna literatura dopiero w nim raczkowała.

Literacki język włoski był wówczas nieporadny, ale i wynalazczy, a w wielu aspektach pozostawał jeszcze plastyczny – niedookreślony. To dlatego „Boska Komedia", oddając niedoskonałości ówczesnego języka toskańskiego, jest tak wiarygodna, zrozumiała i bliska. Autor najnowszego przekładu nie opatrzył go przypisami ani komentarzami, czym naraził się na zarzut o dezynwolturę oraz lenistwo. Poświęcił własną reputację i potencjał erudycyjny eposu na rzecz tej młodzieńczej energii języka. Dante Mikołajewskiego to człowiek porażony względnością ziemskich ideałów i cnót oraz relatywizacją dobra i zła w życiu publicznym. Mistrz z Florencji uchyla się od realizacji podstawowych założeń kultury oficjalnej i zmierza w rzeczywistość alternatywną – w mistykę miłości, czyli żywioł w każdej epoce kontrkulturowy.

Późne średniowiecze trawiły te same konflikty, które rozpalają naszą codzien-

TP W KOLEJNYM WYDANIU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

pierwszy numer MAGAZYNU CONRAD

A w nim:

- HASŁO i IDEA PRZEWODNIA nadchodzącej, 14. edycji Festiwalu Conrada
- Sylwetki wybranych gościń i gości
- Zmiany w NAGRODZIE CONRADA
- Projekt festiwalowych lekcji czytania
- Drugi sezon festiwalowych rozmów online NATURA PRZYSZŁOŚCI

CONRAD FESTIVAL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ność, ta sama krytyka instytucji publicznych, od której startują wszystkie kolejne epoki, a zepsuty u zarania świat od wieków nęci nas obietnicą „światła wiecznego”. W „Boskiej” pojawia się jednakowoż charakterystyczne dla odrodzenia *novum*, a jest nim perspektywa osobistej przemiany – wyzwolenia, którego gwarantem nie są instancje zewnętrzne, a tylko „wzrok, który się wzmagał / we mnie, kiedy patrzyłem”.

### Radość alternatywy

Ziemska miłość Dantego do przedwcześnie zmarłej Beatrycze to piekło i czyściec jednocześnie: palące żywym ogniem pragnienia, niesłabnące tęsknoty, niecierpliwe wyczekiwanie ponownego spotkania. Rajska miłość to z kolei bezgraniczne spełnienie: światłość, w której rozpływają się kształty, różnice i nierówności. To niewymowna wręcz ulga: wolność od jakichkolwiek pragnień.

Raj Dantego stanowi jedyne antidotum na (nie)ludzką interesowność. To domena ekstatycznej i nieskończonej bezinteresowności. To czysta radość z takiego stanu rzeczy. To też jedyna dlań gwarancja: „Uniwersalną formę tego węzła / myślę, że ja widziałem, bo rozleglej / mówiąc to, czuję, że ja się cieszę”. Dante myśli, że widzi, bo czuje, że się cieszy. Mamy tu, owszem, młodzieńczą nieporadność języka toskańskiego, lecz przede wszystkim trudności, na jakie napotkamy, gdy w języku, który od zarania stanowi medium ekspansji oraz wyzysku, próbujemy wyrazić idee z porządku alternatywnego.

„Boska Komedia” w nowym przekładzie brzmi naiwnie, kontrkulturowo, wręcz newage’owo. I w tym właśnie tkwi jej potencjał. Jej „boską” siłą nie są wcale „sceny dantejskie”, ale nakreślona w niej perspektywa źródłowo ewangelicznej odnowy. Dopiero w tym kontekście ufność Dantego w „zobaczone” i „doświadczone” staje się wreszcie realną miarą dla świata trawionego przez język spekulacji, manipulacji i hipokryzji. © KAROLINA FELBERG

*Alessandro Barbero,* **DANTE**
*przeł. Krzysztof Żaboklicki, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2022*
*Dante,* **BOSKA KOMEDIA**
*przeł. Jarosław Mikołajewski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021*

ANDRZEJ OLSZANOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE

*Hubert „Spięty” Dobaczewski, lipiec 2021 r.*

# Lao, cześć!

KRZYSZTOF STORY

**Powszechnie używany pseudonim „Spięty” wymyślił sobie sam, bo jest uzależniony od tego, żeby mieć nad wszystkim kontrolę, nawet nad ksywką.**

Pochodzi z Płocka, rocznik 1974. Skończył studia ekonomiczne, pracował jako kierowca ciężarówki w firmie u brata. Gdyby nie brać pod uwagę muzyki – typowy *everyman*. Spotykamy się na kilka godzin przed koncertem w warszawskiej Stodole. Siedzi na kanapie w garderobie, po rozmowie wyjdziemy na papierosa.

To był jeden z ostatnich koncertów Lao Che. Zespołu, który przez ponad 20 lat nie wydał dwóch podobnych do siebie albumów. Łączył rock z folkiem, piosenką aktorską, electro, wykorzystywał w muzyce dźwięki z filmów, wiersze i fragmenty historycznych przemówień.

– Nie słucham płyty po jej wydaniu. Wracam do niej rok później i mówię: wszystko zrobiłbym inaczej – mówi Hubert „Spięty” Dobaczewski, lider Lao Che. – Taki ze mnie Neron z Płocka, co zawsze musi za sobą wszystko spalić. ↦

↦ **KOMIKS** Zaczynał w heavymetalowym zespole Aberration, później nagrał hiphopową płytę „Szemrany" z zespołem Koli. Razem z kolegami z Płocka skakali po gatunkach, szukali swojego stylu. I chyba nigdy do końca nie znaleźli, bo powstałe w 1999 r. (podczas prac nad „Szemranym") Lao Che też co chwilę zmieniało skórę. W 2020 r. zespół ogłosił ostatnią trasę koncertową, bilety rozeszły się błyskawicznie. Pożegnanie trwało jednak długo, ze względu na pandemię koncerty wielokrotnie przekładano. „Wygaszanie reaktora", jak to nazwali, trwało aż do grudnia 2021. „Spięty" zdążył w tym czasie wydać solowy krążek „Black Mental", znów niepodobny do ostatniego w dorobku Lao Che albumu „Wiedza o społeczeństwie".

Na „Black Mentalu" jest głośniej. Jest więcej złości. Człowiek, którego tam słychać, jest wściekły. Żyje w świecie, który przywala go kolejnymi problemami, bez przerwy każe się przejmować. A jednocześnie przetwarza go na biomasę, z której – z kolei – generuje pieniądze. Karmi jakąś ideologiczną paszą i doi. A ten człowiek nie ma na nic wpływu, może tylko wydrzeć się na całe gardło: „To może jeszcze zróbcie komiks"!

– Albo pornosa – dopowiada Dobaczewski. – Dla mnie „Black Mental" jest przedłużeniem „Wiedzy o społeczeństwie". O ciągłym wyborze między indywidualnością a masą. Na poprzedniej płycie myślałem o porozumieniu, subtelności, więcej było smutku, a tutaj wyszło ze mnie... nie, poirytowanie nie jest dobrym słowem. Złość wyszła.

Ten dylemat między indywidualnością a masą, wybór między byciem panem własnego losu a spokojnym wtopieniem się w tłum będzie przewijał się przez całą naszą rozmowę: – Największe bitwy rozgrywają się w mojej głowie. Dopiero potem widzę, że one toczą się nie tylko na poziomie jednostki, mnie, Huberta Dobaczewskiego, ale też rodzin, religii, narodów. Świat ma problem z tożsamością: nie wie, czy ma się wziąć za siebie, krótko trzymać i zrobić ze wszystkim porządek, czy puścić lejce i dać wolność bez żadnych zahamowań. I czasem okazuje się, że wolność jest bardziej przerażająca od ciągłej kontroli.

**KOZIOROŻEC** Często odpływa w dygresje, filozofuje. I w piosenkach (w jednej nazywa filozofię swoją żoną), i w rozmowie: – Od zawsze dzieliliśmy świat na naturę i kulturę. Pierwsza była dzika, niezależna, poza naszą kontrolą. Drugą tworzyliśmy sami, miała nam służyć. Teraz myślę, że ten podział szlag trafił. Naturę kontrolujemy coraz brutalniej, a nad kulturą, nad własnym światem tracimy panowanie, nie nadążamy. A w dodatku system, który stworzyliśmy, powiela wszystkie ciemności i brudy, które w nas siedzą od zawsze.

Pytam: – Nie jesteśmy tacy fajni, jak nam się wydaje?

– Na tym się skupiłem na płycie, ale naprawdę widzę też drugi koniec kija. Cały świat to trzy kroki naprzód, dwa w tył. Widzę, że to jest chropowate, czasem beznadziejne, zasmuca mnie to. A jednocześnie mówię: ja się na ten nieładny chaos zgadzam – mówi niejasno.

– Zgadzasz się na bycie częścią wielkiej masy? – dziwię się jednak.

– Od dawna już siedzę okrakiem na tym płocie. Z jednej strony głos: rozwijaj się, idź do przodu, dbaj, żeby ten głos był twoim własnym, indywidualnym. Z drugiej: potrzebujesz ludzi, sam nie dasz rady, nie wal głową w mur. Cały chaos świata bierze się z pytania: na co postawić? Ja dopiero niedawno poczułem, co to znaczy „globalna wioska". Na przykład: graliśmy koncert w Wielkiej Brytanii, przyszedł stary kolega z Płocka. Pytam, co u niego, a on mówi: „spier... z tego kontynentu"! Nie miasta, nie kraju, tylko kontynentu! Poczułem, że naprawdę jesteśmy coraz bliżej siebie i fizycznie, i dzięki technologii. Przyglądamy się sobie z tak bliska, że coraz trudniej nie zauważyć, że jesteśmy tacy sami. Z drugiej strony budujemy grupy, antagonizmy, polityka się tym karmi, szarpie za lejce. Ta szarpanina jest chaotyczna, zasmuca mnie, ale ma sens. Na jej końcu nie widzę rewolucji, zagłady, burzenia wszystkiego, tylko proces i powolne zgadzanie się na siebie. Bo nie będzie innego wyjścia – mój rozmówca z niepokoju przechodzi w spokój.

Nietypowa jest ta rozmowa, bo „Spięty" często nie zgadza się sam ze sobą, podważa to, co dopiero powiedział, szuka innej perspektywy. Definitywnych odpowiedzi sam sobie nie oferuje, jakby wręcz nie chciał, tylko pytania. W końcu mówi, cytując Jeremiego Przyborę: – Jestem za krótki na długą drogę przez świat (tak, to jest z niezapomnianego utworu „Bez ciebie", który śpiewał w Kabarecie Starszych Panów Wiesław Michnikowski).

**2002 GUSŁA** Słowiańskie demony, czyli podróż do polskiego średniowiecza. Choć miała wywoływać duchy, przeszła niemal bez echa.

**2005 POWSTANIE WARSZAWSKIE WYJĄ SYRENY.** Pełna punkowego krzyku, strachu i walki. Od kilku lat pomijana na koncertach. Zaczęła zbyt mocno dzielić.

**2008 GOSPEL** Sacrum schodzi do profanum. Teologiczne teksty w towarzystwie głupkowatej, skocznej muzyki.

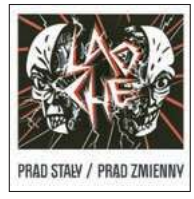


**2010 PRĄD STAŁY / PRĄD ZMIENNY** Powrót do Jarocina. Rockowa, głośna, twarda. Prosty gitarowy riff bierze ślub z elektroniką.

**2012 SOUNDTRACK** Jest jak w filmie, który miał na podstawie płyty powstać. Nie powstał. Została po nim stylistyka kolorowa jak pawi ogon.

**2015 DZIECIOM** „Spięty" jak Brzechwa. Dla dorosłych, którzy chcą spojrzeć na świat oczami dziecka. Chcesz aniołka, to ci tata kupi.

**2018 WIEDZA O SPOŁECZEŃSTWIE** Sen w prowincji raju. Saga o perypetiach i problemach Człowieka, Polaka, Ziemianina.

„Za krótki" – z tego poczucia wziął się pewnie pseudonim „Spiętego". Dawno temu wymyślił go sobie sam, bo jest uzależniony od tego, żeby mieć nad wszystkim kontrolę, nawet nad ksywką. Uwalnia się dopiero w muzyce.

– Działam według programu: chcę występować, więc muszę zrobić muzykę, która mi się podoba. Muzyka domaga się tekstu, a tekst musi być o czymś dla mnie prawdziwym. Dopiero z tym mogę wyjść na scenę. Moje tworzenie przypomina grę na flipperze, bez przerwy się od czegoś odbijam i – brzdęk, brzdęk – kończę w miejscu, w którym nigdy nie planowałem być. Patrzę, słucham, co tam ze mnie wypłynęło, i zawsze mnie to zaskakuje. Tylko w muzyce mogę puścić lejce. A jak już coś ułożę, to nie chodzę i nie dopytuję: a co o tym myślisz? Fajne? Nie? Poprawić? Może to aroganckie, ale moje i... myślę, że dojrzałe. Nawet jeśli jest niezdarne, trudno, ja też bywam niezdarny. Długo z tym walczyłem, a potem w horoskopie wyczytałem, że Koziorożce późno dojrzewają.

Szczerze nie dowierzam: – Rozgrzeszyłeś się za pomocą horoskopu?

Pozostawia mnie w niepewności: – Wiara w numerologię nie miała tu w ogóle znaczenia. To zdanie uzdrowiło mnie z wielu kompleksów. Po prostu spojrzałem na siebie i zapytałem: czy ja, prywatnie, mogę taki być? Mogę! Wolny kraj mamy.

**JASIENICA** Gdy pytam przyjaciół o wspomnienia związane z Lao Che, większość mówi o tekstach, mniej o muzyce. Znajoma pisze: „Mogłam rodzić syna w bardzo komfortowych warunkach, mogłam m.in. słuchać własnej muzyki w trakcie porodu. Przygotowałam dwie płyty – jedną spokojną, drugą rozrywkową. Nie wiedziałam, czy będę potrzebowała wyciszenia, czy dodania energii. Na tej drugiej znalazło się »Hydropiekłowstąpienie« i taki tekst: »Płyń, chłopaku, płyń. Płyń, nie odwracaj główki. Chłopaku, ty płyń«, który Bóg wyśpiewuje do Noego, wydawał mi się doskonale pasować. Wczoraj minęło 6 lat od tego dnia".

Zaczyna zawsze od muzyki. „Spięty" mówi, że bez niej umie napisać tylko wierszyk dla dzieci z przedszkola, w którym pracuje jego żona. Potem zaczyna się mozół: – Przy „Black Mentalu" przez rok chodziłem i zmagałem się ze sobą, zanim odpaliło. Pierwszego dnia powstała „Zwiezda Śmierci", a w ciągu dwóch miesięcy cała płyta. Im jestem starszy, tym ta rozbiegówka jest dłuższa.

Pisanie tekstów opisuje jak wyprawę na inną planetę. Nie ma go wtedy dla rodziny, znajomych, świata. Wychodzi plątanina znaczeń, patchwork metafor i kontekstów, słowa powykręcane na lewą stronę. O Polsce: „twardy orzeł do zgryzienia", o klimacie: „błękitna planeta żółte ma papiery", o miłości: „mielibyśmy jedno ciało naraz, więc gdybym cię wołał, nie istniałoby zaraz".

– Chodzę po świecie i zbieram zupełnie na oślep, a potem sklejam i kojarzę. To jest kolaż, zbieranina. Nie jestem typem intelektualisty. Ani oczytany, ani osłuchany, film czasem obejrzę, malarstwa nie rozumiem w ogóle. Miałem w życiu okresy po 10 lat, kiedy nie mogłem słuchać muzyki, bo zawsze mi coś nie pasowało. Na literaturę jestem zbyt przebodźcowany, zostawiam ją sobie na emeryturę. Nie jestem z tego dumny, ale taki jestem, mam ograniczoną pojemność dysku. Kiedy w tekście odwołuję się do Pawła Jasienicy, to wcale nie znaczy, że go kiedykolwiek czytałem. Ot, stała „Polska Jagiellonów" w domu na półce, może zerknąłem, zostało mi. To wszystko jest zrobione z krótkich dotknięć, przelotnych romansów – opowiada, jakby się tłumaczył.

**MATEMATYK** Pierwszym dużym sukcesem komercyjnym Lao Che była (platynowa) płyta „Gospel" z 2008 r. Tekstowo to opowieść o relacji między Bogiem a człowiekiem: – Czułem wtedy olbrzymie nieporozumienie między duchowością a religią. Bóg „Spiętego" jest mój, indywidualny. Niektórzy by powiedzieli, że w ogóle go nie ma, i trudno. Dla mnie nauczanie lub, co gorsza, pouczanie o Bogu to jakiś potworny nietakt. Wspólnoty są potrzebne, ale nie zmuszajcie mnie do nich, na Boga.

Bóg w „Gospelu" zostaje zabrany na wycieczkę po szaroburym świecie. Okazuje się, że Bóg wielu rzeczy nie umie, bywa nieporadny, bywa „piekielnie sfrustrowany", a Jezus „mamrocze coś o jakimś niebie", choć „w piątek krzyżują mu plany".

„Spięty" pyta sam siebie: – Jeśli już personifikuję Boga, to z całym obciążeniem. A może Bóg jest gejem? Może się jąka? Może jest Pani Bóg? A skoro jest Matka Boska, to jest też Babcia Boska? A co, jeśli Bóg jest tylko zwykłym księgowym i niewiele może?

Podobnego Boga miał już dość dawno temu Jacek Kaczmarski w utworze „Śniadanie z Bogiem". Tamten nie radził sobie z brakiem wszechmocy, czasem się nawet upił, a podopieczny pisał: „szukam Go wtedy po melinach i sam podsuwam rano klina, bo On szaleje, ja mam kaca".

„Spięty" się uśmiecha. Córkom mówi: „nigdy go nie spotkałem". Pytam więc, czy chciałby.

– Jestem beznadziejny z matematyki, boję się jej. Ja nawet nut nie umiem czytać, jedynego przecież matematycznego zapisu muzyki. Ale czasem z tego powodu myślę o sobie jako o genialnym matematyku. Bo do twojego pytania podchodzę badawczo. Rozważam. Jeśli chcę, żeby istniał, to po co? Co mi to da? Pokrzepienie, otuchę? A może ucieczkę od świata, zwalenie winy na kogoś innego? Może chciałbym być zmanipulowany? A jeśli uznaję, że Go nie ma, to dlaczego? Poczuję się wolny? Albo boję się, że chaos mnie zmiażdży. Albo chciałbym zaraz wszystko wiedzieć. Czy jestem zachłanny? Ostatecznie to, czy wierzę, czy nie, to moja decyzja. Więc może to ja jestem Bogiem? To są tylko dotknięcia, pojedyncze myśli. Delikatne i intymne, zawsze w ruchu. Jak można o tym nauczać? Wystawiać oceny? Jak można wyjść na ambonę i mówić: „ja wszystko wiem, słuchajcie mnie"? Ja słyszę, że obojętne mu to nie jest – szamocze się w odpowiedziach Dobaczewski.

**PŁOCK** Mówi, że dobry tekst powinien być współczesny, ale nie doraźny: – Lubię, kiedy mija dziesięć lat, a słowa dalej mają swoją siłę. Nie chcę być muzycznym publicystą, który wszystko definitywnie skomentuje na zawołanie. Ktoś, kto był dla mnie autorytetem, powiedział mi kiedyś, że relatywność by go zabiła. Wtedy się zorientowałem: ja tak nie mam i nie chcę mieć. Że trzeba w życiu coś przyjąć i za tym podążać. Dobrze się czuję, zadając pytania i nie mając odpowiedzi. Dla niektórych to nie do zniesienia, a ja w tych właśnie momentach czuję się silny.

– Siła jest twoim marzeniem? – prowokuję.

Odpowiada: – W szkole podstawowej usłyszałem anegdotę: „Pani od fizyki pyta, co to jest siła i czym się charakteryzuje. Wstaje Jasiu i mówi: »siła jest silna«". Do dzisiaj nie mogę zbić tej ↦

↦ prostackiej tezy. Jakoś nikt na świecie nie chce być słaby. Czemu właściwie?

Zbliża się koncert. Proponuję, że zagramy w skojarzenia.

– Dawaj.

– Wolność.

– Kocham i rozumiem, oddać nie umiem.

– Rodzina.

– „Rodzina nie cieszy, gdy jest, lecz kiedy jej nie ma, samotnyś jak pies" (znowu Przybora).

– Patriotyzm.

Milczenie. Długie milczenie. A przecież wszystkie teksty Lao Che są na wskroś polskie, polskością i Polską przeżarte do szpiku. Pełne „ojcowizn", codzienności i Płocka. Choćby: „koniec baśni, koniec nocki, do gniazda wracam, gdzie powiat płocki. Kominy jak minarety... ląduję na ganku. Uwielbiam zapach benzenu o poranku".

W końcu mówi cicho: – Pustka.

– Naprawdę? – jakoś nie dowierzam.

– Bo tyle w tym dobrego, co i złego. A bez przerwy nas o tym pouczają. Ja bym chciał inaczej. Jeśli ktoś się chce po prostu podzielić, to drugi może przystanąć i posłuchać. Bez narzucania. A dzisiaj słyszę ciągłe chwalenie się, jak to ten czy inny kocha Boga i ojczyznę, jaki jest oddany. I od razu myślę: a ja wiem, czemu ty jesteś taki oddany, czemu tyle o tym gadasz? Może tylko załatwiasz jakieś własne gówniane interesy, a rozpowiadasz, jaki jesteś godzien naśladowania i w ogóle godzien? Nie chcę za tym podążać – mówi cicho, jakby zmęczony.

– A lubisz ten kraj? Bo jak jechałem tu dzisiaj i oglądałem szarość za oknem, to sam zwątpiłem – pewnie przesadzam, ale zależy mi na odpowiedzi.

Znowu komplikuje: – Przecież wiem, że to wszystko chwilowe. Przyjdzie wiosna i będzie pięknie, podobnie jest z polityką. A potem znowu będzie plucha. Ja się na to godzę.

– No to ostatnie skojarzenie: szczęście.

– To akurat proste: szczęście w nieszczęściu. I to, że szczęśliwym się bywa. Ja na pewno nie jestem nieszczęśliwy. W moim świecie to bardzo dużo – słyszę, że wreszcie mówi z ulgą.

©℗ KRZYSZTOF STORY

MATERIAŁY PRASOWE

*Kadr z filmu „Duch śniegu", 2021 r.*

# Nie jesteśmy sami

ANITA PIOTROWSKA

**W filmie „Duch śniegów" rozmawia się wyłącznie szeptem – nie tylko po to, by nie spłoszyć pantery schowanej przed człowieczym wzrokiem gdzieś między skalnymi półkami.**

Ten film działa jak kąpiel w gongach albo samotna kontemplacja górskiego pejzażu. Jego czyste linie i surowa zawartość nie domagają się natychmiastowego zachwytu – żadnego National Geographic. A jednak „Duch śniegów" to dzieło złożone z samych epifanii. Objawieniem może być spotkanie z antylopą tybetańską, stadem jaków lub z manulem stepowym. Bo głównym tematem i zarazem motorem akcji jest czekanie. W pustce, zimnie, w prószącym śniegu, często na czworakach, bez obietnicy, że gdzieś w pobliżu można się spodziewać zasłużonej nagrody. Wypatrując pantery śnieżnej, twórcy dokumentu wyposażeni w nowoczesne narzędzia optyczne, notatniki i własną wiedzę, sami stają się obiektem czyjegoś patrzenia. Marie Amiguet i Vincent Munier z udziałem minimalnej ekipy stworzyli obraz, w którym kino przyrodnicze zamienia się bez mała w kino religijne.

Drugi z wymienionych, znany fotografik przyrody, okazuje się również bohaterem filmu. Towarzyszy mu pisarz-podróżnik Sylvain Tesson, który po wypadku sprzed ośmiu lat ma sparaliżowaną połowę twarzy, a u nas znany jest z książek „W syberyjskich lasach", „Na dzikich ścieżkach" czy właśnie „Duch śniegów. Śladami tybetańskiej pantery". Słowo „bohaterowie" wyjątkowo nie pasuje do nich obu, bo grają jedynie role pośredników czy akuszerów tego, co czeka nas w pustkowiach Tybetu, na wysokości 5 tys. metrów. Mimo że opowieści towarzyszy słowny komentarz i czasami pobrzmiewa w nim jakiś „coelhizm", narracja różni się od zatroskanego gawędziarstwa sir Davida Attenborougha. Jest w niej dużo większa pokora i niepewność. „Duch śniegów" jawi się jako zaprzeczenie ekologiczno-kinematograficznego safari. Poprzez wspomniane wyżej odwrócenie spojrzeń Amiguet, Munier i Tesson przestają być typowymi łowcami obrazów.

Wiadomo, że w religii, sztuce, ale i w przekornej naturze ludzkiej to, co ukryte, promieniuje najsilniej. Owa zasada, tak świetnie sprawdzająca się w kinie, nie tylko poprzez twórcze wykorzystanie przestrzeni pozakadrowej, rządzi

światem filmu o poszukiwaniu tybetańskiego leoparda – ginącego gatunku, który fascynuje swą niedostępnością i dzikim pięknem. Autorzy dokumentu, choć zdeterminowani, chcieliby uszanować jego tajemnicę. Mają świadomość bycia intruzem, barbarzyńcą w skalistym ogrodzie. To ich zapach jest tutaj obcy. I choć czasem pojawiają się w kadrze sylwetki miejscowych pasterzy, człowiek może czuć się raz na zawsze wygnany z tego raju. Zresztą religijna metaforyka wciąż powraca w „Duchu śniegów": „modlitwa", „boski dotyk", „święty Graal". W tym filmie rozmawia się wyłącznie szeptem – nie tylko po to, by nie spłoszyć pantery schowanej przed człowieczym wzrokiem gdzieś między skalnymi półkami.

Warto zaznaczyć, że francuscy dokumentaliści, choć są regularnymi uciekinierami z ludzkiego świata, codziennej gonitwy, z „teatru marionetek", jak nazywają swoją ojczyznę, przesadnie nie idealizują natury. Chwilami patrzą na jej piękno wręcz podejrzliwie, nie wierzą też w utopię całkowitego do niej powrotu. Przed nimi toczy się wszak walka o przetrwanie – rozkoszny manul ma ciało maskotki, ale spojrzenie i uzbrojenie zabójcy. Tesson i Munier próbują zaakceptować prawidła tego świata, nie ingerują więc w jego kształt i jedynie cierpliwie czekają, aż uchyli on przed nimi rąbka swojej tajemnicy. Wielotygodniową wyprawą w poszukiwaniu górskiego kota kieruje przede wszystkim głęboka wiara (tak, podkreślmy to słowo), że ów świat odwdzięczy się im kiedyś czymś naprawdę niezwykłym.

„*We are not alone*" – śpiewa Nick Cave na ścieżce dźwiękowej napisanej specjalnie do filmu przez Warrena Ellisa, kolegę z grupy The Bad Seeds. Dalej mowa o tym, że natura lubi się przed nami schować, że jesteśmy przez nią obserwowani i że jest to w sumie dobra wiadomość, bo dzięki temu „nie jesteśmy sami". Zazwyczaj nie słychać głosu Cave'a, a jedynie dyskretną muzykę instrumentalną ze smyczkową dominantą. Te minimalistyczne, oszczędnie dawkowane brzmienia pozwalają w filmie wygrać ciszę, lecz także inne naturalne dźwięki, jak szmer nadchodzącej burzy piaskowej, skrzypienie śniegu czy odgłosy rzadkich ptaków. Albowiem fonosfera, ta z natury i ta „z kultury", stanowi nierozerwalną całość. Towarzyszy wielogodzinnemu czuwaniu, wzmacnia poczucie spowolnienia czasu, pozwala nasycić się nieoczywistą urodą tybetańskiego krajobrazu. Autorzy zdjęć pracują w podobny sposób, nie starając się obezwładniać nas widokami ani popisywać się dzisiejszymi możliwościami ich filmowania. Jeśli uznać ten dokument za opowieść o człowieku z kamerą, to o takim, który wreszcie przestał być na chwilę władcą spojrzenia.

W jednej ze scen, godnej Wernera Herzoga, mistrza ekranowej eseistyki, bohaterowie trafiają do jaskini, gdzie znajduje się legowisko niedźwiedzia i gdzie być może nocuje także pantera. Instalują tam kamerkę noktowizyjną, która będzie podpatrywać śpiące zwierzęta. Oglądany zapis staje się esencją tego, czym jest „Duch śniegów". Można rozpisywać się o medytacji czy doznaniach mistycznych – nie bez kozery jeden z bohaterów wspomina o buddyjskim pustelniku Milarepie, który w takich miejscach jak ta grota spędził całe lata. Francuski film z pewnością ma w sobie takowy potencjał, nade wszystko jednak potrafi rejestrować i wyzwalać ogromne emocje. Prócz dreszczyku wielkiej przygody pojawia się wzruszenie spowodowane bliskim spotkaniem z tym, co byłoby dla nas nieosiągalne w warunkach naturalnych. To jednocześnie rewers sytuacji z ogrodu zoologicznego.

Na szczęście tropiciele pantery (a myśliwskie nazewnictwo wyjątkowo tu zgrzyta) mają do siebie sporo dystansu i umieją nazywać rzeczy po imieniu. Stanięcie oko w oko ze śnieżnym „duchem" jest dla nich tyleż marzeniem, co obsesją, a stąd już tylko krok do arogancji czy wybujałych ambicji. Tymczasem twórcy doskonale zdają sobie sprawę z pułapek, jakie kino przyrodnicze zastanawia na filmowców (a poniekąd i na widzów), gdy próbują złapać zwierzę w ładny kadr. Pewnie dlatego na tle innych filmów o naszej ginącej planecie dokument Amiguet i Muniera oszczędza widzowi rozbuchanego spektaklu i mentorskiego tonu. Woli być doświadczeniem intymnym i po prostu dostarczać silnych przeżyć. Pozwala na moment złapać pion pośród szaleństwa tego świata. ©

**DUCH ŚNIEGÓW** *(„La Panthère des neiges") – reż. Marie Amiguet, Vincent Munier. Prod. Francja 2021. Dystryb. M2 Films. W kinach.*

## WARTO ZOBACZYĆ

### 1. Film balkonowy

*Dokumentalny, reż. Paweł Łoziński, Polska 2021, HBO Max*

**Jak stworzyć arcydzieło dokumentu, nie wychodząc z domu? Przez ponad dwa lata Łoziński filmował z balkonu swoich sąsiadów i przypadkowych przechodniów. Przede wszystkim jednak rozmawiał z nimi, czego owocem jest filmowy esej o różnych odcieniach naszego życia, a także o potrzebie komunikacji i bliskości, nie tylko w okresie pandemii.**

### 2. Hazardzista

*Dramat, reż. Paul Schrader, USA/ Chiny/ Wielka Brytania 2021, VoD*

**Dawny scenarzysta Martina Scorsese powraca do formy. Bohaterem jego filmu jest straumatyzowany weteran wojny w Iraku (świetny Oscar Isaac), który żyje z gry w kasynach. Chcąc uporządkować sprawy z mrocznej przeszłości, pozostaje rozdarty między pragnieniem zemsty i odkupienia. W indywidualnej historii przegląda się także dzisiejsza Ameryka.**

### 3. Najpiękniejszy chłopiec na świecie

*Dokumentalny, reż. Kristina Lindström, Kristian Petri, Szwecja 2021, vod.mdag.pl, e-kinopodbaranami.pl, canalplus.com*

**Był odkryciem Luchina Viscontiego i dziecięcą gwiazdą „Śmierci w Wenecji", dziś jest starszym mężczyzną po ciężkich przejściach. Portret Björna Andrésena to nie tylko przejmująca opowieść o chłopcu, który stał się maskotką dorosłych. To także krytyczne spojrzenie na funkcjonowanie przemysłu filmowego i kult wielkich reżyserów z perspektywy ich bezbronnych ofiar.**

### 4. Ballada o białej krowie

*Dramat, reż. Maryam Moghadam, Behtash Sanaeeha, Francja/Iran 2020, VoD*

**Jeszcze jeden przykład „kina moralnego niepokoju" z kraju rządzonego przez ajatollahów. W tle mamy fałszywe oskarżenie i system sprawiedliwości praktykujący karę śmierci. Na pierwszym planie jest historia młodej wdowy (gra ją współreżyserka), która postanawia zawalczyć o prawdę i własną godność. Dla samotnej kobiety będzie to walka szczególnie trudna.**

JAN

# Klata:
## *Mniejsza o większość*

Mimo wszystko jednak, mimo putinflacji, glapinflacji, obajtkinflacji, morawieckinflacji oraz ponadczasowej katastrofalnej antoninflacji – nadchodzi wiosna. A wiosną niech wiosnę, nie inflację zobaczę... No, ale jednakowoż się nie da, niemal. Oczywiście, wiosnę ujrzą z bliska rolnicy i leśnicy – i niech im wyjdzie na zdrowie. Natomiast jeśli ktoś mieszka w mieście, w polskim mieście, to na codzień wiosny raczej nie dozna. Zdaję sobie sprawę z apodyktyczności mojej oceny, być może spowodowanej rozgoryczeniem zamieszkiwania w – za przeproszeniem – stolicy, ale spędzam dużo czasu w wielu innych polskich centrach cywilizacji, skądinąd niejednokrotnie bardzo zacnych, ale i tam często sytuacja zdaje się oscylować na granicy załamania.

Niby po pandemii nic nie miało być takie samo, wszyscy mieliśmy żyć w jednym wielkim Sopocie – tylko bez turystów – ale dalej jest jak zawsze: mieszkamy na stacji benzynowej z monstrualnym parkingiem. Nieszczęśni przechodnie przemykają między żelastwem, przepraszając, że tarasują drogę pojazdom, kompensacyjnie nawalając się z rowerzystami. Demokratycznie wybierane władze miast zdają się hołdować zasadzie, że suweren jest fanatycznie zmotoryzowany, a zatem lepiej się z niczym śmielszym nie wychylać, bo przecież dla władzy nie ma nic bardziej katastrofalnego niż utrata władzy na koniec kadencji. Skoro elekcje odbywają się w trybie *drive-in*, *ergo* nie wolno się narażać, najlepiej po prostu nic nie robić, z pewnością nic kontrowersyjnego, odrobinkę symulować działanie, gracko i bez strat dosiedzieć do kolejnych wyborów, w kampanii postraszyć faszyzmem, wygrać i powtórzyć operację mimikry.

Mniejsze zło! Hasło paraliżujące każdą wiosnę w mieście, każdą większą potencjalną zmianę na lepsze. Nie ma co narzekać, zawsze może być gorzej, przynajmniej miastem rządzą nasi. Po co rządzą? O to mniejsza. ©

# Lektor:
## *Obcy*

▪ *Anna Arno*
**PAUL CELAN.**
**TAM, ZA KASZTANAMI, JEST ŚWIAT. BIOGRAFIA**
*Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022, ss. 638.*

„Jego ciało wyłowiono z Sekwany 1 maja 1970 roku; miał niespełna 50 lat, w Paryżu mieszkał od ponad dwóch dekad. Żyd urodzony i wychowany w Czerniowcach na rumuńskiej wtedy Bukowinie, jeden z największych poetów języka niemieckiego. Poeta, dla którego „język matki *(Muttersprache)* był zarazem językiem jej morderców (*Mördersprache*)" – pisze autorka. I w niemczyźnie właśnie zbudował pomnik nagrobny zamordowanej w 1942 r. matce – jedyny, jaki otrzymała – czyli swój najsławniejszy wiersz, „Fugę śmierci". Znamy go w tłumaczeniu Stanisława Jerzego Leca; książkę otwiera nowy przekład autorstwa Julii Juryś.

Anna Arno jest prozaiczką, krytyczką, tłumaczką i biografką Gałczyńskiego, niemieckiej malarki Pauli Modersohn-Becker i Konstantego A. Jeleńskiego. Teraz podjęła się zadania szczególnie trudnego, bowiem życie Paula Antschela, czyli Celana, toczyło się na pograniczu kilku światów i żadnego z nich – poza przestrzenią poetyckiego języka – nie można uznać za jego ojczyznę, może prócz nieistniejącej już w chwili jego narodzin wielokulturowej monarchii habsburskiej, której tradycje trwały w Czerniowcach. Przedwojenna Rumunia zmierzająca w stronę autorytaryzmu i faszyzmu, epizod sowieckiej okupacji miasta, czas Zagłady, obóz – a po wojnie Bukareszt, Wiedeń, Paryż i podróże do Niemiec, w których czuł się obco. Języki: niemiecki, rumuński, francuski (język domowy, bo żona Celana, graficzka Gisèle Lestrange, była Francuzką), hebrajski. Skomplikowane relacje uczuciowe, dynamika miłosnych „światów równoległych": wieloletni związek z poetką Ingeborg Bachmann, korespondencyjna, ale bardzo intensywna przyjaźń z inną poetką, mieszkającą w Sztokholmie Nelly Sachs, odnowiony podczas izraelskiej podróży kontakt z przyjaciółką z lat szkolnych Ilaną Shmueli; lista nazwisk jest znacznie dłuższa. I rosnące poczucie osaczenia, przeradzające się w stany chorobowe – do czego przyczyniła się wdowa po zmarłym w 1950 r. poecie Yvanie Gollu, Claire Goll, obsesyjnie prześladująca Celana fałszywymi oskarżeniami i organizująca przeciw niemu prawdziwą nagonkę...

Czytałem tę książkę z podziwem zarówno dla erudycji autorki, jak i dla architektury jej narracji. Zdołała ująć w ramy zarówno dramatyczną biografię zewnętrzną, jak i wewnętrzne konflikty trawiące jej bohatera. No i nie traci nigdy z oczu najważniejszego – że pisze o wielkim poecie. ©℗

PAWEŁ

# Bravo:
## *Słonina nie szkodzi*

Łyk oskoły – i jest pewność, że zagrasz znowu w zielone. Brzoza już tłoczy w górę swój sok, który geniusz jakiś, kształtujący w słowiańskim tyglu naszą mowę, obdarzył nazwą przenikliwie sugerującą żywotność. Jest mdły i z lekka tylko słodkawy, trudno oczekiwać, by surowa wydzielina – czy to drzewa, czy to zwierzęcia – cieszyła wyrazistym smakiem. Dlatego niektórzy dodają do oskoły kwasku cytrynowego. Ale ja wolę wersję surową, nie ze sklepowej butelki. Ostatnio taką prawdziwą niedoprawianą, mętną ciecz z rurki wbitej pod korę drzewa zaczęła sprzedawać pijalnia ziół przy warszawskim placu Zbawiciela (co na krakowski tłumaczy się jako Salwator). Sześć złotych za szklankę – tak niewiele trzeba, żeby w głowie eksplodowało „Święto wiosny".

Chociaż nie, Strawiński póki co zostaje na półce. Jakoś na razie mi się nie chce słuchać, nie teraz, może za pół roku. Zresztą wybory muzyczne lub czytelnicze są tak nieistotne dla dalszych losów tej masakry, którą Moskale urządzają za naszą granicą, że naprawdę już ani słowa o zemście na dawno zmarłych artystach. Podejrzewam niektórych bliźnich o lans na bojkocie – kiedy epatują tym, jak trudną życiową decyzją było zdjęcie znad otomany reprodukcji Riepina. A ten magnes z kwadratem Malewicza na lodówce? Hm, zostawmy, on był prawie Polak.

Większy ciężar polityczny miewają decyzje konsumenckie czynione z intencją wyrządzenia szkody jak najbardziej żywym producentom oraz pośrednio ich państwu. Nie znam ludzi, dla których prawdziwy kawior stanowi codzienne smarowidło na bagietkę, zatem kwestia bojkotu rosyjskich produktów spożywczych nie zaistniała na moim horyzoncie. Pojawił się jednak ważny obiekt zastępczy: Węgrzy, których ponad połowa znów poparła Orbana. Tak na chłopski rozum: czemu oni tacy straszni, skoro we Francji np. ponad połowa głosów tydzień temu poszła na polityków równie „populistycznych" i niebezpiecznie *filo-russe*? O tym, ilu Włochów głosuje na moskiewskie kukły w koszulkach z Putinem, nawet nie wspomnę.

Nigdy nie pojmę, dlaczego ludziom z Zachodu zawsze więcej uchodzi w kwestiach „niedojrzałości politycznej" – jakby nam tutaj zawsze bardziej śmierdziało z gęby. Kiedy jednak z poziomu kanapowej geopolityki schodzi się na postulat bojkotu tego co węgierskie w naszych sklepach, wtedy zaczynam czuć, że warto podjąć dyskusję. Z Węgier sprowadzamy wprawdzie malutko w przeliczeniu na pieniądze, ale są to rzeczy kapitalnej wagi dla definicji środkowoeuropejskiego smaku.

Od pierwszego kontaktu z węgierskimi wędlinami doznałem objawienia – odkryłem nową ekspresję wieprzowiny i zrozumiałem, że jest jeszcze inny niż włoski czy hiszpański sposób na to, by ze świniaka uczynić rzeczy niebywale wyrafinowane: nie tylko toskańskie, bardzo kosztowne *lardo di Colonnata* rozpływa się na języku – to samo, jak się okazuje, potrafi cienko krojona słonina z mangalicy. Co więcej, ponieważ ta genialna tradycja masarska jest nam kilometrażowo bliska, to możemy zjadać jej bardziej krótkotrwałe produkty, których nie sprowadzimy raczej z Francji czy Hiszpanii.

Z winem nie było nagłych objawień, lecz narastający podziw dla efektów powolnej pracy winiarzy z Egeru, Tokaju czy Somló. Odzyskują wreszcie czucie w palcach – zniszczone przez gospodarkę rabunkową za komuny, a potem przez małpowanie cudzych stylów i metod w okresie wczesnej postkomuny. Umieją tym dotykiem wyczuć potencjał swoich szczepów, z kekfrankosem i furmintem na czele. Gdybyśmy je zignorowali i mieli ich nie pić, to tak, jakbyśmy się odzierali z jednej z warstw obecności na zadanym nam przez los kawałku ziemi europejskiej, która jest środkowa, a nawet wręcz wschodnia, i taka już zawsze będzie.

Odmawiając wędlin czy wina z Węgier, nijak Orbanowi nie zaszkodzimy. Ani nawet jego wyborcom. Szlachetne wędliny z mangalicy to jakieś dwa-trzy procent ogólnej produkcji wieprzowej na Węgrzech i nawet gdyby ich eksport totalnie zamarł, to kleptokraci z Fideszu nawet nie zauważą ciosu. Podobnie z winem – zwłaszcza, jeśli chodzi o czerwone, to na eksport trafia ich niewielki ułamek. Oberwą za to mimochodem oddani swojej pasji ludzie, którzy importują do nas te rzeczy.

Węgry mają w finansowaniu ruskiej machiny wojennej udział mały proporcjonalnie do faktu, że są krajem drugorzędnym i biednym. Ich sprzeciw wobec sankcji gazowych byłby piskiem myszy spod miotły, gdyby nie stały za nimi Niemcy, których władze po cichutku wycofują się z pustych na razie obietnic składanych parę tygodni temu i grają na przeczekanie. Tylko że bojkot wszystkiego, co wzmacnia niemieckie imperium eksportowe, to samo, które stanowi fundament prorosyjskiego lobby w Berlinie, oznaczałby dla nas potężny regres i niemożliwe do odrobienia straty. Nie ma czystych i dobrych rozwiązań. Na tego kaca na pewno nie pomoże wylanie furminta do zlewu. ©℗

*Jeśli nie macie dostępu do kiełbasy, której Węgrzy używają do leczo, i nie macie pod ręką dobrego smalcu lub się nim brzydzicie (niesłusznie!), albo po prostu nie jecie mięsa, to możecie użyć bakłażana – ważne, żeby dodać dużo wędzonej papryki, która stworzy lekki wieprzowy miraż. Kroimy dwa małe bakłażany w centymetrową kostkę, obsmażamy przez ok. 5 min na średnim ogniu na oleju. Na osobnej patelni wolno dusimy pokrojoną w piórka cebulę, doprawiamy łyżeczką wędzonej papryki, zwiększamy ogień i dodajemy dwie słodkie papryki pokrojone w paski. Obsmażamy dwie minuty, zmniejszamy ogień, dodajemy bakłażany i puszkę pomidorów bez skóry, dusimy pół godziny, mieszając co jakiś czas. Na końcu regulujemy ostrość zmieloną papryczką wedle upodobania.*

TIM UR / ADOBE STOCK

ZMYSŁY

# SZTUKA ŻYCIA WEDŁUG MNICHÓW

Bezrefleksyjne naśladowanie średniowiecznych zakonników raczej nie przyniesie nam szczęścia. Warto jednak przyjąć generalną zakonną zasadę, by wyznaczyć sobie w życiu cel. Nie musi nim być zbawienie.

MACIEJ MÜLLER

Danièle Cybulskie, kanadyjska mediewistka i autorka podkastów, rozmyślać nad życiem mnichów zaczęła podczas lockdownu ogłoszonego w związku z pandemią COVID-19. „Musieliśmy zamknąć się w swoich domach niczym zakonnicy w klasztorach" – wspomina. Odkryła m.in., że w samotności o wiele trudniej trzymać się planów, łatwiej za to ulegać pokusom – i, zaniedbując obowiązki, zgłębiać na przykład kolejne sezony netfliksowych seriali. Owoc tych refleksji, książka „How to Live Like a Monk: Medieval Wisdom for Modern Life", ukazał się kilka miesięcy temu.

Jako specjalistka od kultury średniowiecznej Cybulskie postanowiła przestudiować teksty na temat codziennego funkcjonowania w klasztorach i wyczytać z nich zasady dobrego, szczęśliwego życia dla ludzi żyjących w zsekularyzowanym świecie.

Destylując je z treści religijnych.

### Nowa stara reguła

„Wiesz, jaką nagrodę Bóg da ci za psy, a jaką za mnichów?". Takie retoryczne pytanie usłyszał w 910 r. książę Akwitanii Wilhelm Pobożny z ust opata Berna. Ceniony na książęcym dworze zakonnik kierował dwoma klasztorami, w których wprowadził surowe zasady. Niewielkiej trzeba było przewiny (wystarczyło wyjeść okruszki z talerza), by zostać poddanym chłoście, głodowemu postowi lub czasowemu uwięzieniu. Klasztorów benedyktyńskich w karolińskiej Europie było sporo, ale mieszkańcy większości z nich zmiękczali Regułę, z czasem wypaczając nie tylko jej poszczególne zalecenia, ale i najgłębszy sens. W końcu przyszedł czas na reformę polegającą na powrocie do pierwotnej surowości: miała ona nadać ton życiu mniszemu w całej Europie na kilka następnych wieków.

Berno zażądał od Wilhelma, by podarował mu pod budowę nowego konwentu tereny swoich posiadłości łowieckich w Burgundii. Książę nie chciał na to przystać: co zrobi ze stadami hodowanych tam psów myśliwskich? Przyparty do muru ostatecznie spisał stosowne dokumenty. Miejscowość, której dotyczył spór, nazywała się Cluny.

Wilhelm obdarzył mnichów licznymi przywilejami, z których najważniejsze zapewniały niezależność od władz świeckich i biskupów. Wzór był atrakcyjny: w rezultacie coraz więcej klasztorów przyjmowało model kluniacki. Półtora wieku później, za rządów Hugona, szóstego z kolei opata Cluny, kongregacja liczyła półtora tysiąca klasztorów.

ARNAUD FINISTRE / AFP / EAST NEWS

*Reguła pozwalała mnichowi na posiadanie dwóch habitów. Benedyktyn z francuskiego opactwa w Solesmes, październik 2019 r.*

### Ideał

Średniowieczna teologia uważała życie mnisze – w którym wszystko, tak czas modlitwy, jak i jedzenia, było ściśle uporządkowane – za najdoskonalszą i najprostszą drogę do zbawienia (ze skutkami monastycyzacji teologii moralnej katolicy zmagają się do dziś). W XVI w. takie myślenie odrzuci Luter, dowodząc, że żadnymi uczynkami, łącznie z poświęceniem życia, nie da się wypracować zbawienia.

Danièle Cybulskie nie zachęca jednak do patrzenia na mnichów jak na wzór osobowy. Nie łudzi się, że ich bezrefleksyjne naśladowanie przyniosłoby nam szczęście i zadowolenie z życia. O takich elementach ich codzienności, jak „brak snu, ścisła dieta, bezwzględna rutyna i ciągłe skupianie się na własnych błędach" wiadomo, że nie są zdrowe dla ciała ani ducha. Warto natomiast wzorować się na generalnej zasadzie ich życia, jaką było wyznaczenie sobie celu. Bo „każdą chwilę życia średniowiecznego mnicha przenikał sens". Mnich – tłumaczy mediewistka – służył Bogu całym życiem i całym sercem, a jego celem było zbawienie. Greckie określenie grzechu, *hamartia*, oznacza minięcie się z celem. Grzechem było więc wszystko, co odwodziło uwagę od Boga i do Niego nie prowadziło.

Według Cybulskie współczesny człowiek chce żyć według własnego przepisu, ale często brakuje mu refleksji nad tym, co właściwie chce osiągnąć. „Powinniśmy – radzi – tak jak mnisi budować nasze życie wokół precyzyjnie sformułowanych celów i wyznawanych wartości". Obserwacja ich życia może nam pomóc żyć *ad regulam* – a więc „ku regule", ale takiej, którą spisujemy sobie sami.

### Minimalizm

Nie potrzebować, a wręcz nie chcieć wszystkiego, co nie jest niezbędne – przestrzegając tej zasady, mnisi zabezpieczali się przed pokusą, by dbać o życie doczesne, a nie wieczne. Św. Benedykt zezwalał na posiadanie dwóch tunik i tyluż kukulli (wierzchnich okryć habitu), „żeby je prać i zmieniać na noc". Wszystko ponad to „jest zbyteczne i należy to usunąć" – oddając ubogim.

Reguła zobowiązywała opata do regularnego przeszukiwania łóżek swoich podwładnych. Gdy u któregoś z nich odkrył coś, co wykraczało poza listę wymienionych w Regule rzeczy niezbędnych (habit, pończochy, buty, pas, nóż, rylec, igła, chustka do nosa i woskowe tabliczki do pisania), wyznaczał „bardzo ciężką karę".

↦

Nie o naśladowanie średniowiecznej gorliwości tu chodzi, lecz o zrozumienie sensu tych zasad – pisze Cybulskie. Mnich, którego fascynowało gromadzenie przedmiotów, popadał w pychę i chciwość, a więc dwa z grzechów głównych (zdefiniowanych nb. w V w. przez Jana Kasjana, jednego z prekursorów zachodniego monastycyzmu). My również, rozpraszając się, rozdrabniając i rozglądając na boki, tracimy cel z oczu, pogrążamy się w chaosie – co czyni nas nieszczęśliwymi. Chcesz osiągnąć cel – cytuje Cybulskie psychologów pozytywnych – zacznij od uporządkowania szafy. A to, co nie jest niezbędne, oddaj potrzebującym.

### Złote kielichy

Z mniszym minimalizmem różnie bywało. Znane z „Imienia róży" spory o ubóstwo franciszkańskie miały swoje przedpremiery u benedyktynów. Sukces klasztorów kluniackich sprawił, że życie ich mieszkańców z czasem oddalało się od założeń, czyli pokornego szukania Boga w miejscu odosobnienia i ciszy. W klasztorach działały szkoły, przybywali tam pielgrzymi (wędrując przez Europę do Santiago de Compostela, można było niemal każdą noc spędzić w którymś z konwentów), opiekowano się chorymi, udzielano porad duchowych. Opatów łączyły mocne więzi ze światem wielkiej polityki. Klasztory, sowicie wynagradzane pieniędzmi i ziemią przez władców tego świata za modlitwy o ich zbawienie, opływały w zbytki. Bogactwo klasztoru nie oznaczało oczywiście, że mnich miał wygodne życie: przeciętny benedyktyn z Cluny był na nogach nawet 19 godzin na dobę, z czego 14 poświęcał rozmaitym zadaniom liturgicznym.

Kluniacy nie uważali się za potentatów. Bogaty klasztor, ubogi mnich – tłumaczyli. Opat Suger, mąż stanu, zausznik królów Francji i budowniczy katedry Saint-Denis, ułożył całą teologię liturgicznego przepychu. „Wydało mi się słuszne, aby wszystko, co tylko jest najcenniejszego, służyło celebrowaniu Eucharystii – pisał. – Skoro zgodnie ze Słowem Bożym i z nakazem Proroka do złotych kielichów, złotych flaszeczek i małych moździerzy ze złota zbierano krew kozłów, cieląt i czerwonej jałowicy, o ileż bardziej przystoi używać naczyń ze złota, szlachetnych kamieni i wszystkiego, co uchodzi za cenne wśród stworzenia, kiedy mamy przyjąć w nie krew Chrystusa".

Uprzedzając cisnącą się na usta oczywistą odpowiedź, argumentował: „Ci, co nas krytykują, twierdzą, iż do składania ofiary wystarczy świętość duszy, czystość myśli i wierność intencji, i zgadzamy się, że w istocie to właśnie liczy się przede wszystkim. Stwierdzamy jednak również, iż zewnętrzne ozdoby naczyń świętych także należą do posługi, a już szczególnie do posługi w Ofierze Świętej, którą należy sprawować w całej czystości wewnętrznej, w całej szlachetności zewnętrznej".

Suger sporo miejsca w swoich traktatach poświęcił też teologii światła – uważał, że nic lepiej nie obrazuje tego, jaki jest Bóg. Ucieleśnieniem tych rozważań były witraże w Saint-Denis, naśladowane potem w katedrach gotyckich Francji i reszty Europy. Treści przedstawień umieszczanych w kościołach miały nieustannie przypominać mnichom o celu ich życia i o tym, co grozi za zboczenie z drogi – pisze Cybulskie. I, sięgając po współczesną psychologię sukcesu, podkreśla: „Badania pokazują, że wyznaczanie celów i wizualizacja wyników ma kluczowe znaczenie dla osiągnięcia dobrego wyniku". Dekoracje Saint-Denis i notatki przypięte pinezką do tablicy korkowej nad biurkiem mają wiele wspólnego.

### Wiarygodność

Miarka przebrała się po prawie dwustu latach sukcesów Cluny. W 1098 r. grupa mnichów z klasztoru w Molesme w Burgundii zdecydowała, że czas powrócić do pierwotnej ascezy, pracy własnych rąk – i odizolować się od spraw światowych. Rozmach buntowi przeciw kluniackiemu bogactwu nadał kilkanaście lat później Bernard z Clairvaux, największa osobistość XII w., doradca królów i papieży, ideolog krucjat. Odnowieni benedyktyni nazwali się cystersami (od jednego z pierwszych konwentów) i zasłynęli z surowości życia. Bernard radykalnie uprościł liturgię, niechętnie patrzył na zdobienie budynków klasztornych, a nawet kościelnych, potępiając kluniacki przepych. W efekcie kuźnia cysterskiego opactwa w Fontenay była z zewnątrz nie do odróżnienia od świątyni.

Do śmierci Bernarda w 1153 r. w duchu cysterskim funkcjonowało ponad 300 klasztorów; w szczycie popularności mieli ponad 700 domów. Cóż z tego, skoro i oni padli ofiarą sukcesu. Popularność ściągała patronów, mnożyły się nadania, łagodzono zasady. W początkach XIII w., kiedy cystersi usiłowali nawracać katarów, ci wyśmiewali ich, że przyjeżdżają wozami wypełnionymi mięsem, winem i zbytkami.

Ale za rogiem czekali już inni, znów wzywający do powrotu do ewangelicznego ubóstwa – święci Franciszek i Dominik. Ich zakony nie miały już charakteru mniszego, za główne zadanie przyjęły kaznodziejstwo. Stanowiły jednak kolejny dowód, że właściwym zapleczem do osiągania celów – oraz źródłem wiarygodności – jest minimalizm.

### Chleb z grubej mąki

Dla jakości życia nie jest obojętna przestrzeń, w jakiej się obracamy. Nie chodzi tylko o wielkie idee, o których przypominają malunki w kościele (lub notatki na tablicy). W klasztorze były też miejsca, służące uspokojeniu myśli. Takie jak wirydarz, niewielki ogródek zakładany na kwadracie otoczonym przez klasztorne krużganki, po którym mnisi spacerowali, modląc się czy oddając (o ile był na to czas) pogawędkom.

„Zieleń odżywia oczy i przywraca chęć do studiowania" – pisał w XII w. Hugo z Fouilloy, autor traktatów o zdrowiu duszy. Żeby ten efekt harmonii wzmocnić, w centrum wirydarza stawiano czasem fontannę (chlupot wody miał nastrajać do medytacji nad Trójcą Świętą) lub sadzono morwę. To jeden z wielu przykładów starej mądrości odkrywanej dziś na nowo: przebywanie wśród zieleni pomaga w uzyskaniu spokoju, w zmaganiach z depresją czy stanami lękowymi. I nie potrzeba do tego lasu ani nawet wirydarza: wystarczy gęsto zastawić mieszkanie doniczkami.

RDC POLSKIE RADIO

**MACIEJ MÜLLER** opowie Grzegorzowi Chlaście o szkole dobrego życia według reguł zakonnych. Słuchaj rozmowy w Polskim Radiu RDC w środę 20 kwietnia o godzinie 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

DOMENA PUBLICZNA

*Mnich ulegający pokusie, miniatura z kodeksu „Le Régime du corps", koniec XIII wieku, British Library, Londyn*

Mnisi wiedzieli też, jak zaspokoić inny ze zmysłów: smak (choć gorzej z tym było u cystersów). Zgodnie z zaleceniem św. Benedykta, ograniczali do minimum spożywanie mięsa. Rozumowanie, które za tym stało, może nam wprawdzie wydać się osobliwe. Człowiek jedzący mięso – uważano – zaczyna myśleć o zwierzętach, a więc i o tym, w jaki sposób się parzą, w rezultacie przypomina sobie niepotrzebnie o własnej seksualności. Pożądliwych skojarzeń nie przywodzą natomiast ryby, a tym bardziej warzywa – dlatego mnisza dieta była przede wszystkim jarska, znakomicie na ogół doprawiona ziołami uprawianymi w ogrodzie. Chleb wypiekano z grubo mielonej mąki (białe pieczywo bez otrębów i na wpół zmielonych ziaren było najdroższe i trafiało tylko na stoły możnych panów).

Współczesne zasady zróżnicowanej diety mającej zapobiegać chorobom kardiologicznym czy neurodegeneracyjnym – zauważa Cybulskie – dość dokładnie odpowiadają daniom serwowanym w średniowiecznych refektarzach.

### Dobre nawyki

Samotność wzmaga pokusy – co odkryła w pandemii kanadyjska historyczka. Truizm, że bycie we wspólnocie pomaga się z nimi mierzyć, nie był odkryciem ani św. Benedykta, ani poprzedzających go bliskowschodnich ojców pustyni. Benedykt cenił pustelnictwo, ale wiedział, że prowadzi do niego długa droga. Eremici bowiem przeszli „długą próbę w klasztorze, od wielu uczyli się, jak należy walczyć z diabłem, a dobrze przygotowani w szeregach braci do samotnej walki na pustyni i dość już silni, by obejść się bez pomocy bliźniego, są w stanie, z pomocą Bożą, zmagać się w pojedynkę ze złem czającym się w ciele i w myślach".

Reguła Benedykta afirmuje wspólnotę: jej wewnętrzna solidarność wzmacnia wszystkich we wspólnej drodze i pomaga pokonywać indywidualne trudności. Dotyczy to nie tylko konwentów klasztornych. „Nauka dowodzi, że działania naszej grupy rówieśniczej wpływają na nas w bardzo dużym stopniu – pisze Cybulskie. – Kiedy jeden z jej członków zaczyna uprawiać sport albo się rozwodzi, zwiększa się też nasza skłonność do tych zachowań". Zjawisko to można wykorzystać, otaczając się ludźmi, którym udaje się wcielać w życie wartości przez nas cenione. „Dom zakonny to model dobrych relacji, które służą nam, naszym przyjaciołom i całej społeczności".

Utrzymaniu tych benefitów służył Benedyktowy zakaz small-talków, plotkowania i narzekania. Zakonny patriarcha zdawał sobie sprawę, że słowa kształtują rzeczywistość. A że życie monastyczne jest, obiektywnie rzecz biorąc, trudne, malkontenci mogliby doprowadzić wręcz do rozpadu wspólnoty. „Dlatego jest tak ważne – pisze Cybulskie – byśmy świadomie decydowali, kogo i czego słuchamy".

Innym wartym naśladowania nawykiem zakonnym było dziękczynienie. Mnisi dziękowali Bogu wiele razy dziennie za małe i wielkie rzeczy: służyło to przypomnieniu samemu sobie, że wszystko dzieje się za Jego przyzwoleniem. Niedaleko stąd do współczesnej praktyki wdzięczności, która nie musi mieć nic wspólnego z modlitwą, a której adresatem jest „wszechświat" czy po prostu „życie".

O dobrodziejstwach medytacji, uważności, planowania czasu, słuchania zamiast mówienia, skupiania się na jednej rzeczy naraz – nie będziemy się tu rozpisywać, bo trudno opowiedzieć o tym lepiej, niż zrobił to tydzień temu na tych łamach Michał Cichy. Dość powiedzieć, że wszystko to są elementy sztuki życia średniowiecznych mnichów.

### Skarbiec

W 2009 r. Benedykt XVI odwiedził najbardziej zateizowany kraj europejski: Czechy. Usiłował znaleźć wspólny język ze społeczeństwem wychowanym przez liberalną demokrację. W przemówieniu do polityków ani razu nie cytował Ewangelii, sięgał za to do Arystotelesa. Nie próbował nawracać ani być apologetą chrześcijaństwa, wskazywał natomiast, że zawsze pilnowało ono takich wartości, jak prawda, dobro, piękno i wolność, które służą każdemu – bez względu na to, czy wierzy w Boga.

Idąc o krok dalej, można było wysnuć z tego myśl: chrześcijaństwo stworzyło skarbiec wartości i postaw, z którego warto czerpać, nawet jeśli nie interesuje was wiara. Benedykt zapewne by się zdziwił, jak daleko ten proces już zaszedł. Prawie 20 lat temu ekonomista Chris Lowney w książce „Heroiczne przywództwo" dowiódł, że z zasad działania zakonu jezuitów można wyprowadzić skuteczne metody zarządzania korporacją (i że zjawisko inteligencji emocjonalnej jako pierwszy opisał Ignacy Loyola). Danièle Cybulskie przez podobne świeckie okulary przeczytała średniowieczne źródła monastyczne. Od Ratzingera różni ją to, że nie operuje w kategoriach najwyższych, tylko szuka w chrześcijańskiej tradycji przepisu, jak żyć zdrowo i szczęśliwie.

Nadużycie? Może raczej sposób na to, aby aktualne pozostały słowa wypowiedziane w XII w. przez Bernarda z Clairvaux – że „świat jest pełen mnichów". ©℗ MACIEJ MÜLLER

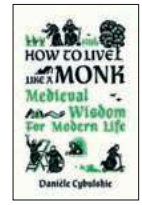


*Danièle Cybulskie*
**HOW TO LIVE LIKE A MONK: MEDIEVAL WISDOM FOR MODERN LIFE**
*Abbeville Press 2021*

STANISŁAW

# Mancewicz:
## *Przeszłość jako przyszłość*

Ten znakomity tytuł wyjaśnia w zasadzie wszystko, co mamy do powiedzenia na temat dzisiejszej sytuacji politycznej i społecznej. Przeszłość jest naszą przyszłością, czy tego chcemy, czy nie, a ten porządek rzeczy ustanawia wielu – użyjmy tego pięknego słowa – zgredów świata tego.

Nic, niestety, nie wskazuje, by na decydowanie o naszych losach chciał się teraz zgodzić ktoś, kto zgredem nie jest. Niezgred jest dziś – popatrzmy – bez szans. Oczywiście, płeć i wiek nie mają tu większego znaczenia. Szokująco wielu zgredów i zgredek znajdziemy w siłowniach, na pływalniach i na bieżniach wszelakich karier, w tym oczywiście politycznych. Uznają oni, że przeszłość to ślicznie wyposażony warsztat do kreacji przyszłości. A zatem, by rzec coś bardzo smutnego, przyszłość jawi się nam jako otchłań pełna przeszłych słów, idei już bez pokrycia, ale też identyfikowania dzisiejszości i ewentualnej przyszłości ze starymi wydarzeniami, głównie oczywiście strasznymi.

Od dawna bolejemy w tym miejscu nad ubożuchnością powszechnego przekazu. Sarkamy na większość, której zadano arcyłatwą zabawę przeszłością, a więc także ćwiczenia w potęgowaniu ukrzywdzenia i w historycznych bekach. Wszystko, co widzimy – i to nam bardzo przeszkadza – opisywane jest za pomocą porównań do wydarzeń i zjawisk sprzed kilkudziesięciu lat, często sprzed blisko wieku albo głębiej, bądź takoż do ludzi, na których wspomnienie cierpnie skóra. Czujemy z tego powodu wielką czczość i jałowość, bowiem niby nazywanie Putina nowym Hitlerem coś nam mówi, ale przecież Putin Hitlerem nie jest. Jest zwykłym, najzwyklejszym Putinem. Aktualność Putina ma się nijak do zarówno nieaktualności, jak i ewentualnej aktualności Adolfa Hitlera. Owszem, wadę takich porównań dostrzega chyba coraz więcej ludzi wypowiadających się publicznie, więc starają się oni być nieco oryginalniejszymi niźli ci widzący w dzisiejszym prezydencie Rosji kanclerza „Tysiącletniej Rzeszy". Dlatego też Putina porównuje się już – na wszelki wypadek – do pierwszych nadwołżańskich władców czy Dżyngisów, a więc niebawem, tak to wygląda, zabraknie do owej żonglerki postaci z historycznych słowników biograficznych. Powtórzyć więc tu trzeba, że Putin jest Putinem i to starczyć musi, choćby po to, by go nie banalizować i nie rozwadniać w porównaniach tego wszystkiego, co czyni. Szkoda na to czasu, jest to bowiem zwykły Putin i tyle.

Wrócimy jeszcze do ustanawiania przeszłości jako przyszłości. Jest to zjawisko w wielkiej skali i dla naszych nieco zramolałych pokoleń absolutnie nowe. Nasza młodość upłynęła jednak w innym klimacie. No więc Polska – tak się wydaje – odgrywa w tych czynnościach rolę w świecie niemałą. Ale to – szczęście w nieszczęściu – złudzenie. Wszędzie, gdzie się rozejrzymy, na wszystkich kontynentach prócz słodkiej Antarktydy, ludzie chuchają sobie prosto w nosy dawnością, co wywołuje, zdaje się, natychmiastową, odruchową konieczność wstania z kolan. No więc wstają, jak to *homo* – za przeproszeniem – *erectus*, i w pozycji stojącej patrzą w przyszłość. A tam? A tam przeszłość, panie dziejku. Słowem – jak okiem sięgnąć – humorek się raczej nie poprawia, choć malkontentom obiecuje się, że już zaraz, niebawem, gdy przeszłość porządnie się z przyszłością zespawa, to humorek wam wróci. Ale nie wraca. Na domiar złego – popatrzmy – zmora dzisiejszości, czyli *fake news*, oparty jest na fejkowej opowieści o przeszłości, a wszystko to razem wzięte projektuje nam przyszłość.

Ktoś tu teraz ziewnie, ktoś powie, że nie łapie. Ktoś wyzna, że rzeczywistość składa się jednak z faktów, a nie z fejków. Wypada się wreszcie obudzić, wypada włączyć państwową telewizję, a w niej oglądnąć jakąkolwiek konferencję Antoniego Macierewicza i jego podopiecznych. Fakt, że się w ogóle odbywają, że ktoś tego słucha, że ktoś to na serio analizuje – wszystko to świadczy o miejscu, w jakim znalazła się Polska i jej mieszkańcy. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

# Napisz własną historię kuchenną

**Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.**

## ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

| PRENUMERATA | EKONOMICZNA | PRIORYTET |
|---|---|---|
| Roczna (52 numery) | 480 zł | 590 zł |
| Półroczna (26 numerów) | 270 zł | 330 zł |
| Kwartalna (13 numerów) | 155 zł | 190 zł |
| Pokolenia* | 415 zł | |
| Karta Dużej Rodziny** | 415 zł | |
| Roczna + 4 wydania specjalne | 565 zł | 680 zł |
| Pokolenia* + 4 wydania specjalne | 500 zł | |
| Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne | 500 zł | |
| 4 wydania specjalne na 2022 r. | 85 zł | |

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

REKLAMA

# WYSTAWA CZASOWA

POLIN

Muzeum
Historii
Żydów
Polskich

# ŻYDOWSKA KULTURA KULINARNA

11.03–12.12.2022

polin.pl

Współorganizator:

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Mecenas:

Jankilevitsch Foundation

Wsparcie finansowe wystawy:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Partnerzy wystawy:

ARCHIWA PAŃSTWOWE NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

JEWISH FOOD SOCIETY

ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY

Partnerzy medialni:

zwierciadło, sens, TYGODNIK POWSZECHNY, VOGUE, wyborza.pl, wyborza.pl WARSZAWA, ams, TOK FM, VIVA!, Newsweek, HISTORIA, KUKBUK.pl, K MAG, onet